

Józef Ignacy Kraszewski

Krzyżacy 1410 Tom 2



calibre 0.9.27

Józef Ignacy Kraszewski

KRZYŻACY 1410

OBRAZY Z PRZESZŁOŚCI

TOM DRUGI

KRZYŻACY byli już o kilkoro staj od obozu polskiego, gdy ich straż

postrzegły... i Hanko pobiegł do króla. W mgnieniu oka rozeszła się wieść po całym wojsku: Nieprzyjaciel tuż! — i w mgnieniu oka zaczął się lud, choć nie wołano jeszcze, do boju szykować. Czeladź powłaziwszy na drzewa, które na polu stały, mogła z nich dojrzeć lepiej nie tylko szyszaki i proporce zza krzaków i zarośli wyglądające, ale całe zbroje, szyki i tabor, który stał pod wsią Grunwaldem.

Litewskie wojsko na prawym skrzydle sam Witold natychmiast sprawił, nie czekając rozkazów, i kazał mu się nieco naprzód dla wygodniejszego posunąć stanowiska.

Zyndram Maszkowski biegł do swoich chorągwi. Jedni, co byli zbroje dla skwaru poodpinali, drudzy, co je wieźli i nieśli, poczęli co żywiej okrywać się nimi.

Wiele kopii było na wozach, więc i po te śpieszył, kto w Boga wierzył, bo serca wielkie mieli wszyscy do spotkania z Niemcami, a ochotę i niecierpliwość niezmierną.

Dziwnym cudem, wśród pośpiechu tego zamieszanie się nie wznieciło, a

nieprzyjaciel, który wcześniej na stanowisko przyszedł i dawniej był w gotowości, gdyby naówczas na nieprzygotowanych i na niewiedzących prawie o nim uderzył, niewątpliwie by był zadał klęskę.

Ale w obozie krzyżackim cicho było, nieruchome szeregi czekały. Jagiełłowe zaś wojska, choć bardzo szybko pod wzniesione chorągwie gromadzić się zaczęły, nie miały rozkazu do poruszenia się naprzód.

Król wszedłszy do kaplicy spokojnie słuchał mszy świętej, którą ksiądz Bartosz odprawiał z wielką gorącością ducha. Dwóch dworzan króla zbrojnych do mszy służyło. W głębi namiotu stali pisarze, duchowni i kilku ze starszyny, nie odstępujących króla, reszta przebiegała szeregi i leniwych nagliła do pośpiechu.

Na twarzy króla nie widać było nic oprócz powagi, jaką wyrażała chwila, którą wszyscy czuli stanowczą; błydy był nieco, czoło miał zasępione, ręce złożył i gorąco zdawał się modlić duchem, choć usta jego się nie poruszały. Przy podniesieniu upadł

król na kolana i głową dotknął aż ziemi. Właśnie kielich ksiądz do góry uniósłszy trzymał go w rękach, gdy Witold wpadł w chrześzczącej zbroi i zbliżył się ku Jagiełłę.

— Bracie! — zawołał — czas wielki! wychodź! Należy radzić, trzeba uderzyć, jeśli im damy pierwszym począc, biada nam, zginęliśmy.

— Daj mi się modlić! — odparł Jagiełło. — Bogu dnia pierwociny należą.

Witold postawszy chwilę wybiegł zniecierpliwiony.

Przed namiotem stała cała rada wojenna, oprócz Zyndrama.

— Na miłość Boga! — zawołał Szafraniec — a już by dość było nabożeństwa.

Czas płaci, czas traci! Króla gwałtem by wyciągnąć z kaplicy, bo jest o czym innym myśleć. Lada chwila uderzyć mogą.

— Król nie odejdzie z kaplicy, dopóki mszy nie wysłucha — zawołał Witold

— żadna go siła nie weźmie, to darmo.

Ruszył ramionami Szafraniec. '

— Tak samo, jak teraz z modlitwą, będzie z bitwą — przerwał Zbigniew z Brzezia — myślmy, aby się król nie naraził. Obstawić go należy i nie puszczać, bo go potem utrzymać będzie trudno, gdy raz się do boju puści, a nie jego rzecz bić się, tylko rozkazywać.

— Tak, głowy strzec należy — zawołał podkanclerzy — wszystko

przewidzieć. Któż wie, jak bitwa wypadnie?

— Po ludzku, co rozum dyktował, uczyniło się — mówił marszałek —

rozstawione są po drodze poczty i konie, na wypadek nieszczęścia, aby choć król cało wyszedł, póki my piersiami zasłaniać go będziemy.

— Ja już dłużej tu nie mogę! — zawołał Witold bijąc zbrojną ręką po żelazie, w które się cały odział — ja muszę śpieszyć do moich.

To mówiąc wszedł powtórnie do kaplicy. Msza święta, którą kapelan zwolna odprawiał, jeszcze się nie kończyła. Nadchodziła komunია. Jagiełło pochylony bił się w piersi. Witold szepnął mu:

— Bracie! gore! wojsko potrzebuje widzieć cię, śpiesz. — Nie odejdę bez krzyża i błogosławieństwa — mruknął Jagiełło niecierpliwie. — Czyńcie, co chcecie, władzem zdał...

— Ależ to księzowska rzecz się modlić — zawołał Witold.

— I królewska — dodał Jagiełło spokojnie.

Zrozpaczony niemal wyrwał się Witold z kaplicy. Chorągwie widać było

ustawiające się do boju. Spoza krzaków gwałtowny wicher, który nie ustawał i niósł

w oczy Krzyżakom pył i piasek spod koni, powiewał silnie proporcami

nieprzyjaciela, które zza zielonych gąszczy przeglądały.

Szmer jak mruczenie strumienia słychać było w szeregach zakonników:

odmawiano modlitwę przed bojem.

Całym chórem odzywały się niekiedy zakonnym trybem wygłaszane

Responsoria.

Ze strony polskiej jeszcze się nie odezwała Bogurodzica, wojsko w milczeniu czekało na wodza, ten i ów modlił się po cichu. Wódz modlił się też, leżąc pochylony na ziemi.

Witold wziął za ramię Zyndrama Maszkowskiego.

— Mieczniku, chodź ze mną; Janie hrabio z Tarnowa, idźcie proszę, razem może więcej u króla zyszcemy. Mnie nie słucha, przypisując mi krew za gorącą.

Weszli wszyscy po trzeci raz do kaplicy. Ksiądz składał dopiero naczynia ofiarne, nie wyrzekł jeszcze: „Idźcie, ofiara spełniona”, nie odczytał ewangelii ostatniej.

Jagiello klęczał pochylony i zatopiony w modlitwie.

Jan z Tarnowa zbliżył się do ucha jego.

— Najjaśniejszy Panie, wszyscy was błagają, pośpieszcie stanąć na czele naszym. Krzyżacy już gotowi, a nie godzi się, by uderzyli pierwsi.

— Nie godzi mi się bardziej jeszcze odejść bez błogosławieństwa —

odpowiedział król. — Nie pójdę, nie pójdę!

Zdawało się, że ksiądz Bartosz jakby naumyślnie powoli bardzo mszę czytał, powoli wymawiał słowo każde, obracał się zwolna, zamyślał i stawał, modląc duchem. Jagiello też schylony bił się w piersi i jęczał, jakby z grzechów spowiadał, choć tegoż rana spowiedź już odbywał.

Na ostatek wstał król.

Dworscy już przygotowaną trzymali zbroję. Posepny jak zawsze, ale dziwnie spokojny postępował z kaplicy ku krzakom, w których mu siedzenie naprędce zgotowano dla uzbrojenia. Miał król na sobie kaftan i spodnie suknie, ino blach brakło. Pacholeta rzuciły się natychmiast rzemyki i sprzączki opinać. Zbroję na ten dzień przygotowano lekką, ale z najprzedniejszej stali i pozłocistą. W pośrodku jej świecił krzyż. Napierśniki, nagolenniki, naramienniki, wszystko było jednakie, roboty przedziwnej i piękne, gdyż rycerz do boju iść musi jako na uroczystość największą, a tam, gdzie się święci krew i życie za sprawę Bogu miłą, sercu drogą, obchodzi każdy dzień swojego kapłaństwa, dzień ofiary, do której przystępuje w białej szacie.

Wszystko też, co otaczało króla, błyszczało, wdziawszy najdroższe rynsztunki.

Na tarczach widać było stare rodowe znamiona: Topór, Leliwę, Podkowy

Jastrzębców, Gryfy Jaksów, Nałęczce krwawe. Róże, Strzały i Lemieszce. Tak samo na hełmach unosiły się dlatego, by widne były z dala żołnierstwu godła herbowe: Kanie Jastrzębców, Pióra, Trąby, Gryfy. Niektóre z nich złożone połyskiwały świetnie, inne czarnym okryte szmelcem, inne barwami różnymi malowane, służyły za chorągwie i jak chorągwi strzec ich musiano.

Błyszcząły na niektórych pasy rycerskie, inni jeszcze na nie zarabiać musieli.

Na zbrojach co kto miał droższego zawiesił, relikwiarz, obraz, łańcuch, krzyż, bo się nikt dla bezpieczeństwa z dostojnością nie taił, ale owszem, jak najświetniej pragnął

wystąpić. Niektórzy poodziewali się w stare żelazne siatki od stóp do głów i pobrali lekkie tarcze, aby lżej im było harcować z nieprzyjacielem; inni konie nawet mieli zbrojami poosłaniane, bo konia każdy strzegł jak siebie.

Szły więc rumaki w stalowych okryciach i nałebkach, a chrapały bój czując, bo koń żołnierski zapalał się jak on do bitwy i nieraz nieprzyjacielskiego gryzł, gdy dopadł.

Zbroi różnych tyle niemal było, co ludzi, każdy się odziewał, jak chciał i mógł, sam o swe bezpieczeństwo dbając i kopii sobie a drzewca lekkiego i mocnego dobierał.

Niektórzy mieli łuki na plecach i strzały, inni po obu stronach siodła miecze proste i krzywe. Tarcze były płaskie i dziobate, żelazne i skórzane od nich nie gorsze.

Dla króla kilka stało koni gotowych. Szyszaka jeszcze nie kładnąc siadł Jagiełło, nie patrząc, na pierwszego, co się nastroczył, i jechał.

Jeden z dworzan niósł hełm biegnąc za nim, drugi, Zbigniew Czajka, złożoną włócznię królewską.

W orszaku króla, z małym proporczykiem pańskim, jechał Mikołaj Morawiec z Kunoszówki Powąła. Pozostali przy nim Ziemowit Mazowiecki siostrzan, Fedko kniaź i Zygmunt Korybut synowcowie, podkanclerzy Mikołaj, Zbyszek z Oleśnicy Dębno, Jan Mężyk, Czech Żoława i wielu komorników.

Witolda już utrzymać nie było można, bo konie zmieniając, nieustannie szyki przebiegał. Jemu i wielu innym zdało się wszystko stracone, wojsku jeszcze nie odtrąbiono hasła, król zwłóczył i lada chwila Krzyżacy uderzyć mogli; Jagiełło tymczasem na wzgórze jechał, skąd cały obszar przez oba wojska zajęty widać było dość dobrze. W prawo sterczały nad gąszczami różnobarwne chorągiewki litewskie i ruskie, które najwięcej naprzód wysunięte były.

Po twarzach panów rady i Zyndrama Maszkowskiego znać było, jak boleli nad zwłoką; lecz Jagiełły niczym do pośpiechu skłonić nie było podobna. Jechał zwolna i jakby z obojętnością, pewny zwycięstwa, czasu nie mierząc wcale. Coraz obijały mu się o uszy nagłaćce prośby dowódców, zdawał się ich nie słyszeć.

Gdy się to działo, chorągiew z trzystu Czechów najemnych złożona ku tyłowi posunięta stała. Tu właśnie za nią jeńcy krzyżaccy trzymani byli pod strażą, między którymi Brochocki Ofkę kazał umieścić, a za nią ksiądz Jan poszedł. Ze dziewczęciu dodano dla straży starego żołnierza, który pod Dąbrownem rękę miał kamieniem z murów puszczonej zgniecionej, ksiądz Jan, który ani mógł, ani

chciał teraz czynić jej wyrzutów, spoglądając z dala na szykujące się wojsko, gorąco począł się modlić.

Oczy jego od tego widoku przygotowań do walki oderwać się nie mogły. W

całym obozie zdawał się jeden duch panować, rwał się żołnierz, szarpały niecierpliwie konie, a wiatr, dmący z tyłu, chorągwiami naprzód miotał, jakby nimi drogę pochodu wskazywał.

Trębacze królewscy stali gotowi, przy ustach trzymając trąby swe, a znaku nie dawano. Z obozu też krzyżackiego nic słychać nie było, oprócz chrzęstu zbroi i rżenia koni.

Stary żołnierz z ręką przewiazaną, który miał Ofki pilnować nie mogąc iść z drugimi, duszą przynajmniej był z nimi. Gorzały mu oczy, otworzył usta i spiąwszy się na osmoloną kłodę, starał się dojrzeć swej chorągwi, którą musiał opuścić. Nie bardzo się troskał o chłopaka oddanego w dozór, bo wiedział dobrze, iż takiej chwili ująć nie może. Ofka korzystając z tego, dawno się rozglądawszy już, gdzie stali, ujrzała Czechów, których chorągiew tuż prawie czekała. Wiedziała ona, że między nimi byli tacy, co przyrzekli, iż bić się nie będą. W sercu jej ta potęga nieprzyjaciela, której widziała i czuła przewagę obudzała gniew, który łzami tryskał z oczu. On to ją skłonił do niebezpiecznego a śmiałego kroku, który z zuchwalstwem niewieścim spełnić postanowiła.

Dowódca Czechów, nieco wysunawszy się naprzód, stał niedaleko. Dziewczę obejrzawszy się i postrzegłszy, że jej nie śledzą, pomknęło ku niemu.

Z konia swego spojrział dowódca na słabe pacholę z ciekawością. Twarzy mu spod hełmu niewiele widać było.

— Hej! — zawołała Ofka — dobry będziecie mieli taniec miłościwi panowie.

O! zaprawdę! niełacna to rzecz drugi podobny zobaczyć; po obu stronach was Czechów przynajmniej równa siła, brat z bratem walczyć będzie i brat brata zabijać!

Rozkosz na to patrzeć, jak się rzezać będziecie.

— A ty skąd o tym wiesz, chude ptaszę? — zawołał Czech.

— Alboż nie widzicie, że do jeńców należę, że choć ciało moje tu, serce moje tam! — Wskazała ku Krzyżakom. — Wiem ja — dodała — i więcej jeszcze, wiem i to, żeście wzięli złoto i przyrzekli, i poprzysięgli, iż się przeciwko krzyża bić nie będziecie

Wstrząsał się dowódca i zbroja na nim chrzęśla zdawało się, że za miecz pochwyci. Obejrzał się dokoła, czy kto go nie słucha.

— Któż ci mówi, że my się bić będziemy? — rzekł cicho.

— A po cóż stoicie w szeregach, po co w oczach nieprzyjaciela je zwiększacie?

Zmilkzał zagadnięty głowę spuściwszy, potem popatrzał na szczebiocącego chłopca.

— Skądś ty? — zapytał.

— Z dworu wielkiego mistrza! — Odparło śmiało dziewczę. — Zakon mocen

i silny jest, i pomścić się potrafi. A kiedyż wam łatwiej ujść, jeśli nie w tej chwili, gdy wojsko całe w szeregu oczekuje hasła, gdy nikt was gonić nie będzie śmiał, ani mógł? Dlaczego nie korzystacie z tego. Droga wolna, idźcie precz stąd! Idźcie, jakeście dali słowo!

Czech uskoczył z koniem w bok ku swoim. Ofka została w miejscu, patrzała tylko nakazującym wzrokiem. Zdawało się, że Czesi obradowali między sobą, zebrała się ich kupka i żywo rozprawiać zaczęli. Jeden konia w tył nawracał, drugi parł naprzód. Trwało to dobrą chwilę, gdy Ofka ujrzała, że Czesi ruszają nie pytając nikogo, i ciągną w tył niepostrzeżeni.

Dumna z tego, co się jej zdawało dziełem własnym, uskoczyła wnet na dawne miejsce.

W istocie garść ta z trzystu ludzi złożona, wprzód jeszcze nim otrąbiono hasło, poczęła uchodzić i odbiła się na kilkaset kroków, gdy Mikołaj podkanclerzy postrzegł ją w pochodzie.

Domyślając się zdrady, podbiegł co żywiej.

— Co czynicie? co to jest? ustępujecie w chwili bitwy?

Dowódca zmieszał się.

— Żołdu nam nie wypłacono! — krzyknęli niektórzy.

— Fałsz to jest — z oburzeniem przerwał ksiądz Mikołaj — kłamstwo i

zdrada! Wiem, że żołd z góry otrzymaliście na rękę, ale podli najemnicy cofacie się przed niebezpieczeństwem. Jeśli nie odebraliście żołdu, dlaczegoż nie żaliliście się przed królem, przed nami? a dopiero, gdy hasło dać mają do boju, zajęcze serca w tył

was niosą. Idźcie — dodał podkanclerzy z gniewem — idźcie, na takim żołnierzu nie zależy nam; lecz jeśli was dogonią, a w pień wysieką jak zdrajców, słuszny to będzie żołd za podłość waszą.

Słowy tymi wstrzymani Czesi stanęli. Niektórzy głośno krzyczeć zaczęli i na dowódcę się rzucać z mieczami dobytymi, inni chcieli go bronić. Zmieszała się chorągiew cała i zwinęła w kłęb, który chwilę zdawał się chcieć między sobą bój rozpocząć, aż większa jej część, na powrót konie zwróciwszy, ku obozowi biec zaczęła, a kilku, co oporni byli, za większością ciągnąć musieli, choć nieradzi.

Mikołaj podkanclerzy śpieszył też do króla, choć ani jemu, ani nikomu z otaczających o Czechach mówić nie chciał. Król w otoczeniu panów poglądał

jeszcze z góry na szyk bojowy. Na prawym skrzydle u Witolda ruch się już poczynał, w środku

chorągwie, nieruchome jeszcze, czekały ostatniego hasła.

Na samym przedzie szła wielka chorągiew ziemi krakowskiej, najwspanialsza ze wszystkich i najdzielniejszym rycerstwem obsadzona, żołnierz stary, wyćwiczony, chłodny a niezłomny. Sam wódz wszystkiego wojska ją prowadził, słoneczny pan, jak go tam zwano (bo w tarczy miał słońce złote), Zyndram z Maszkowic. Niósł znak Marcin Półkozic z Wrocinowic i tu stało czoło rycerskie, dziewięciu jako jeden mążów, z którymi o pierwszeństwo nikt walczyć nie mógł: Zawisza Czarny z Garbowa, Florian Jelitczyk, Domarat Grzymała, Skarbek z Góry, Paweł Niesobia, Jan Nałęcz, Staszko Sulima, Jaksa Lis.

Chorągiew gończą prowadził pan Andrzej z Brochocic, w której też mężowie byli dzielni i poczty doborowe; dalej szła nadworna, także obsadzona rycerstwem najlepszym, potem świętego Jerzego z takim samym znamieniem jak krzyżacka, pod którą szli Czesi, Sokół i Zbislawek, ale nie ci, co z pola uchodzili; za nimi chorągwie ziem i rodów, bo nie było ani jednego szlacheckiego godła, co by chorągwi swej nie miało.

Na końcu szła zbierana drużyna zaciężnych Gniewosza z Dalewic, podstolego krakowskiego, a było ich wszystkich pięćdziesiąt sownie osadzonych, pięćdziesiątą pierwszą wiódł Zygmunt Korybut, czterdzieści z okładem Witold z bojarami swymi.

Na samo spojrzenie linia bojowa, jak ława ludzi żelazem okutych, kopiami najeżona — groźną była i zdawała niepożyta. Na wszystkie strony, kędyś okiem rzucił, błyszczała stal, chrzęszczało żelazo, ale głosów ludzich słyhać nie było prawie; szmer ledwie cichy, jak modlitwa, unosił się ponad tym tłumem, którego serce biło oczekiwaniem.

Wedle rycerskiego zwyczaju, król, który już na koniu siedział, począł

młodzież wybraną na rycerzy pasować. Zbiegło się ich i napraszało wielu tego zaszczytu, gdy inni mocno byli przeciwni całemu obrzędowi, nową za sobą pociągającemu zwłokę. Nie odbywał się też jak w innych razach z ceremonią rycerską, ale z pośpiechem wielkim, tak że ledwie król mieczem dotknąć miał czas, a było tego dosyć. Pas już opiał, kto mógł i miał, a śpieszył do szeregów, aby go ochrzcić w boju.

Wojska, chociaż się nie widziały jeszcze, bo zarośla szeregi jedne drugim zakrywały, czuły się wzajem i oczekiwanie to niecierpliwość a zajadłość mnożyło.

Pod wsią Grunwaldem, gdzie Krzyżacy dalej się podsunęli, już kilku, wytrzymać nie mogąc, wybiegło na harce i skruszyli pierwsze kopie, ale ich starszyzna pohamowała, czekając, aż król sam da znak do boju. W niektórych szeregach, stojąc długo, zaczęli się domagać hasła, ale ich do milczenia zmuszono. Król zdawał się ociągać. Myśli jego trudno było odgadnąć, być może, iż pragnął zaczepki dla uspokojenia sumienia, być może, iż natchnienie jakieś miał godziny i chwili.

Siedząc na koniach, podawało sobie rycerstwo żelazne dłonie, przysięgając: umrzeć lub zwyciężyć.

Próżne były nalegania na Jagiełłę; nie odpowiadając na nie, poglądał, liczył, ważył rozchmurzał się, zdawał ożywiać i znowu bladł i serca zdawało mu się braknąć.

W istocie nie na męstwie zbywało, lecz świętego tego rycerstwa żal mu było, jako kwiatu wybranego, który mógł paść pod kosą. Dać znak do boju, było to, dać wyrok śmierci na tysiące i mogła wzdrygnąć się dusza.

Wyrywające się już wreszcie z szeregów bliższych wołania o hasło,

niecierpliwe i błagające ręce, które wyciągano zewsząd ku królowi, skłoniły go, że do siebie naprzód Mikołaja podkanclerzego powołał. Nie zsiadając z konia raz jeszcze odbył spowiedź i otrzymał rozgrzeszenie. Podprowadzono mu wierzchowca dobranego z tysiąca na ten dzień umyślnie. Koń był dzielny, a uchodzony, cisawej maści, z niewielką, ledwie dostrzeżoną łysinką na czole.

Już w siodle król nareszcie o szyszak, który dworzaniin trzymał przy nim, zawołał. Złocony był cały, a srebrny ptak ze skrzydły rozpostartymi z korony nad nim się unosił. Już go w rękę trzymał król.

— Panie podkanclerzy — rzekł — zabierzcie z sobą pisarzy, duchownych,

czeladź bezbronną i co jest dworu do oręża niezdatnego, a prowadźcie ich do taborów i tam na mnie czekajcie.

W istocie nalegali panowie i Witold, ażeby król, który za dziesięć tysięcy ludzi stał, do boju się nie mieszał i w obozie bezpieczny pozostał. Obawiano się go znając, iż jak zrazu powolnym był, tak później, poczuwszy ogień w sobie, niczym się już hamować nie da. Król dla spokoju słowo dać musiał, iż na uboczu zostanie, ale tego na sobie wymóc nie pozwolił, aby, gdy rycerstwo walczyć będzie, on nie widząc nawet, nie wiedząc nic, zakryty i osłonięty miał stać.

Wysławszy podkanclerzego z obietnicą, iż i sam nadciągnie, wcale

przrzeczenia tego dotrzymać nie myślał. Szyszak brał, aby go na głowę włożyć, gdy komornicy, którzy się z podkanclerzym odejść zabierali, poczęli wołać, że od Krzyżaków idą posłowie. W istocie z dala już widać było dwóch heroldów, których trębacz, wiodąc, wyprzedzał.

Szli odziani zwyczajem wysłanników, z tarczami, jeden z godłem króla

rzymskiego, orłem czarnym w polu złotym, drugi z tarczą książąt szczecińskich, gryfem na białym polu. Każdy z nich niósł w rękę miecz obnażony, bez pochew, a że oświadczyli, iż do króla w poselstwie idą, wiedziono ich na pagórek, gdzie stał

Jagiełło.

Odwołano więc co rychlej Mikołaja podkanclerzego i dwór, aby ich okazalej przyjąć. Stanęli obok króla w zbrojach: Ziemowit młodszy, Jan Mężyk, Zolawa Czech, Zbyszek z Oleśnicy, Bogufał kuchmistrz koronny, Zbiegniew Czajka niosący włócznię, Morawiec z proporcem. Daniłko, który strzały za królem nosił, a że Witold już koło swoich był, bez niego się obeszło.

Heroldowie niemiecką mieli butę w twarzy i znać po nich było gniew, z

którym szli, pychę i jakąś pogardę. Nie bardzo też niski pokłon oddawszy królowi, ten, co z

cesarskim orłem niósł tarczę, począł mówić po niemiecku. Jan Mężyk, który język ten rozumiał, musiał go Jagiełłę tłumaczyć.

— Najjaśniejszy Królu! — rzekł herold cesarski. — Wielki mistrz pruski, Ulryk, tobie i bratu twemu śle przez nas, heroldów swoich, te dwa oto miecze w pomoc do zbliżającej się walki, abyś, opatrzony w nie, żywiej wystąpił z ludem twym, nie ociągając się do boju. Nie chowajcie się w tych gajach i zaroślach, prosimy na otwarte pole. Jeżeli Waszej Królewskiej Mości miejsca za szczupłe dla rozpostarcia sił swoich, gotów wielki mistrz ustąpić nieco, byle walkę przyspieszyć.

Daje wybór miejsca, stańcie, gdzie się podoba, byle nie zwlekać bitwy.

W chwili, gdy herold to mówił, a Mężyk tłumaczył, znać umyślnie wojsko krzyżackie poruszyło się nieco i dało wolniejsze pole naprzeciw na strzał mały stojącemu.

Wprawdzie w starych obyczajach rycerskich zachodniej Europy takie przed bitwą wyzwanie na rękę bezprzykładnym nie było — i być może, że ociąganie się Jagiełły powód do niego dało. Zuchwały ton, w jakim heroldowie niemal szydersko wyuczoną mowę powtórzyli, oburzył wszystkich. Królowi widomie krew uderzyła na bladą twarz, ale się rychło pohamował; inni klęli po polsku, czego Niemcy nie bardzo rozumieli, choć z miny domyśleć się mogli.

Podane miecze, wyciągnawszy rękę, Jagiełło ujął spokojnie, oddając je

komornikowi, co stał przy nim; pokraśniała twarz zbladła i z oczu, które ku szykom obrócił, łzy się mu rzuciły obficie. Nikogo się nie radząc, po krótkim namyśle powołał do siebie Mężyka i mówić począł natchniony, z powagą prawdziwie królewską.

— Dzięki Bogu, w wojsku naszym na orężu nie zbywa, nie potrzebujemy go od nieprzyjaciela pożyczać, ale w pomoc dobrej sprawie przyjmuję w imię Boże i te dwa miecze wasze, chociaż je wrogowie łaknący krwi mojej i narodu mego przysyłają.

Tu król coraz bardziej wzruszony, jakby na modlitwie oczy w górę podniósł.

— Do tego Boga sprawiedliwego, który dumnych upokarza, do Marii Matki

Jego, do patronów naszych świętych ucieknę się z prośbą i modlitwą, aby na wrogów mych tak dumnych i bezbożnych, którzy niczym się ubłagać nie dają, ani do pokoju nakłonić, ale krew lać pragną, szarpać nasze wnętrzości i miecze tępić na karkach bliźnich, gniew swój obrócili. Ufam. Bogu, że mnie i lud ten osłoni, że nie dopuści, abyśmy ulegli przemocy wroga, u którego dopraszałem się pokoju, a nawet w tej chwili na sprawiedliwych warunkach nie odrzuciłbym go jeszcze; jeszcze bym rękę cofnął, choć mi Pan Bóg przez was zsyła w tych mieczach dobrą wróżbę zwycięstwa.

Wyboru miejsca i pola do bitwy nie żądam, ale, jak na chrześcijanina przystoi, Bogu polecam. Co Bóg naznaczy, przyjmę. Zuchwalstwo wasze on ukarze, on na tym polu, na którym stoimy, zetrze potęgę Zakonu i upokorzy jego dumę. Pomoże Bóg!

Za królem ozwali się wszyscy głosem wielkim: pomoże Bóg!!

Słowo to jak iskra piorunowa poleciało aż w szeregi i odgłosem swym obito się o hufce krzyżackie:

„Pomoże Bóg!”

Nadzwyczajną moc ducha okazał król w całej tej chwili, nie dając się unieść ani gniewowi, ani zbytniemu poruszeniu, ani zabobonnej obawie. Z cierpliwością bezprzykładną obrócił się jeszcze, modląc, do podkanclerzego:

— Heroldów zdać Dziwiszowi Jelitcykowi. Wszyscy do obozu!... Wytrąbić hasło, w imię Boże!

To mówiąc nałożył król, przeżegnawszy się, szyszak na skronie i gromadka dworska objęła go i otoczyła dokoła.

* * *

Nie dopuścili panowie Rady, aby król z którąkolwiek walczył chorągwią, choć się tego Jagiełło usilnie domagał. Osobny mu orszak złożono i osobne a bezpieczne, choć niedalekie od szeregów wyznaczono miejsce, bo dalej się odsunąć nie dał, tego na nim wyprosić nie było można.

Na hasło pierwsze królewskiego trębacza, które powtórzyli inni po

chorągwiach, długo wstrzymywane szeregi zadrzały, ruszyły się, proporce zaszeleściły i z obu stron zarazem puściły się zastępy zbrojne w dolinę.

Mikołaj podkanclerzy szedł wedle rozkazu królewskiego do taboru, gdy

pisarze, których za sobą prowadził, poczęli go wstrzymywać prośbami:

— Czyż nie dozwolicie nam popatrzeć! wszak ci starcia takiego, sił takich, walki, drugi raz oko ludzkie nierychło zobaczy. Stańmy tu!

Stanął więc podkanclerzy i dał się zatrzymać nieco na uboczu młodzieży i duchownym, w istocie bowiem, w owym wieku dwakroć stotysięczny zastęp, walczący z sobą, mający rozstrzygać o losach mnogich ziem i krajów, drugi raz nigdzie nie wystąpił, ani z obu stron żadne może rycerstwo takim duchem bojowym zagrzone nie było.

Gdy na całej długiej linii bojowej ruszył się lud z obu stron na koniach ciężkich, w zbrojach cały, zdawało się, że ziemia drży pod nim. Tumany kurzawy podniosły się spod kopyt, lecz silny wicher rzucił je na Krzyżaków. Chrząst zbroi, okrzyki, tysiące głosów nucących bojową Bogarodnicę, wystrzały z dział z obu stron zlały się w straszliwy jakiś grzmot zniszczenia.

A gdy na całej linii tej w dolinie tysiące kopii rozbiło się o tysiące zbroi i młoty żelazne uderzyły po hełmach, huk i łoskot rozszedł się na kilka mil wkoło. Z

trwogą usłyszeli go mieszkańcy po lasach i siołach. Były to dwie siły: ludzka i Boża, ścierające się z sobą, aby w potokach krwi wykwitła sprawiedliwość i pomsta nad grzesznymi.

Król i cały orszak jego patrzyli osłupiali. Żaden z szeregów nie został

złamany, popadały konie, obalili się ludzie, ale ściśniony tłum na ciałach ich walczył

zażarcie, z gniewem, z wściekłością niewysłowioną...

Gdy las włóczni potrzaskanych zawałił ziemię, młoty i siekiery, i miecze poczęły kuć po zbrojach. Szczęk jak" by olbrzymiej kuźni, zmieszany z krzykiem bólu i tryumfu, zgonu i zemsty, to wstrząsał powietrzem, to na chwilę przycichał, aby ze wzmożoną siłą się powtórzyć.

Nawała Jagiełłowych chorągwi, które puściły się z góry, była tak silna, że pchnęła nieco zastęp białych rycerzy; lecz nie złamano szeregu i każdy z wojowników miał przeciwko sobie zbrojną rękę i żelazną ścianę. Konie chwyciły się za grzywy i wizgiem zwierzęcym wtórowały ludzkiemu.

Dla patrzących z dala te tysiące, które sprzęgła namiętność do śmiertelnej walki, wystawiały obraz zgrozy przerażający. Duchowni poklękali modląc się, słabsi zamknęli oczy, by nie widzieć tego obrazu, radzi zatulić uszy, aby ryku tego nie słyszeć.

Nie byli to już wojujący ludzie. Cały ten wał ruchomy wydawał się potworem jakimś, z ciała i żelaza złożonym, wijącym się we wściekłych z sobą samym zapasach.

Tu pod oczyma króla kwiat rycerstwa stawił czoło najprzedniejszemu z całej Europy zebranemu i dotrzymywał mu placu boju, cześć czyniąc swoim znakom.

Inaczej poszło z czterdziestotysięcznym wojskiem, które prowadził Witold. Szybko stanęło ono do boju, uderzyło raźnie; ale o żelazny mur i kopie krzyżackie rozbić się musiało, zachwiało i nie wytrzymało ciosu.

Tu uzbrojenie było niedostateczne. Bojarzy i kniaziowie prowadzili lud silny, ale mało zbrojny i wcale do boju rycerskiego nie nawykły. Kopie były krótsze i słabsze, nie dościgały więc nieprzyjaciela, gdy ten już swoimi parł i gniótł piersi.

Jeszcze wojska Jagiełły, nie ustępując kroku, ściąwszy się z Krzyżakami, trwały w walce mężnie, gdy główne szyki Zakonu zwróciły się ku Litwie.

Wiedział Ulryk, że tu słabszy znajdzie opór. Szeregi, w których pierwszymi ustawiono najdzielniejszych i najlepiej zbrojnych, zachwiały się i cofać poczęły. Tu więc wyteżono usiłowania, aby oskrzydlić wojsk resztę. Tatarzy, którzy w pierwszej tylko napaści są straszni, pierzchać poczęli wedle obyczaju swego, ciągnąc za sobą pułki Witoldowe.

Na próżno sam książę zastępował z tyłu pierzchającym i zmuszał ich do boju powracać; popłoch, jaki się wszczął, niczym nie mógł już być pohamowany. Jeden po drugim uchodziły oddziały całe, ginęły chorągwie, złamany szyk dawał

Krzyżakom przystęp, tak że Witold, zrozpaczony sam własnych ludzi zabijał, nie mogąc ich opamiętać.

Jedni Smoleńszczanie dotrzykali placu, reszta pociągnięta przykładem

Tatarów, z częścią Polaków nawet ku lasom uciekać zaczęła, a Krzyżaków oddział

znaczny, sądząc, że już otrzymali zwycięstwo, w pogoń się puścił za uchodzącymi siekąc i mordując po drodze.

Z pagórka, na którym stał Jagiełło, widać było z jednej strony walkę upartą, z drugiej klęskę, mogącą za sobą pociągnąć niepowetowane straty.

Tumany kurzu, uchodzące ku lasom, znaczyły drogę rozpierzchłych pułków Witoldowych.

Chwila to była straszna, w której męstwa i nadziei nawet Jagiełło, ufającemu w pomoc Bożą, zabrakło. Zakon zdawał się odnosić zwycięstwo, hufce jego z prawej strony wybiegłszy za Litwą, okalały już wojsko. Trwoga ogarnęła tych, co przy królu stali.

Pod wielką chorągwią, jak mur stali towarzysze Zawiszy Czarnego i

Zyndrama; tu było serce wszystkich, tu albo mogła podźwignąć się jeszcze nadzieja lub zrodzić rozpacz. W chwili, gdy król i stojący przy nim zwrócili oczy na wielką chorągiew, którą niósł chorąży krakowski Marcin z Wrocirnowic, pochyliła się ona, zachwiała, zwinęła i znikła. Jęk dał się słyszeć w orszaku królewskim.

W niewielkiej odległości, jakby tryumfująca, powiewała wspaniale chorągiew mistrzowska z krzyżem czarnym i złotym.

Gdy Jagiełło oczy zamknął, aby tego sromu nie widzieć, okrzyk dał się słyszeć wkrótce; otworzył je i ujrzał znowu krakowski proporzec wyprostowany nad hełmami rycerzy. Kupka ta, która stała około chorągwi, jakby chwilową jej stratą zagrzana do nowego wysiłku, rzuciła się z niepohamowaną potęgą naprzeciw stojącym Krzyżakom. Przez chwilę sparły się zbroje i piersi, łamały hufce i gięły szeregi, aż białe płaszcze padać i uchodzić zaczęły.

Chorągiew mistrza obalono, proporzec Jagiełły ścigał już uciekających. Reszta wojsk, zagrzana przykładem, z okrzykiem cisnęła Krzyżaków tracących serca i głowy. Zwycięstwo przechylało się na stronę Jagiełły.

W tej chwili właśnie ci, co ścigali uchodzącą Litwę wracać zaczęli z jeńcami, łupem i pieśniami zwycięskimi, przychodząc na plac, gdy wojsk reszta szła w rozsypkę. Musieli więc rzucić swych więźniów i tabor, śpiesząc w pomoc braci.

Na chwilę czeskie pułki zaciężne i niemieccy goście wstrzymali pogoń i przedłużyli walkę... znowu los bitwy zdawał się niepewnym.

Jagiełło patrzył. Kilkakrotnie niecierpliwie zrywał się do boju i chciał iść z drugimi, bezczynność go męczyła; krzyczał i w miejscu konia swego męcząc, ludzi rozpychając, na próżno chciał losy wojska podzielić. Dworzanie chwyтали konia i zastępowali mu drogę.

Walka jeszcze zacięta trwała w dolinie, gdy szesnastu chorągwi krzyżackich, stojących z boku i nie mających udziału w bitwie, rozwinęło się nagle, i część ich, postrzegłszy orszak królewski na wzgórzu, skierowała się ku miejscu temu.

Widocznym było, iż wiedzieli o Jagiełłę i pochwycić go chcieli.

Postrzegłszy to król krzyknął na Zbyszka z Oleśnicy:

— Bież po chorągiew nadworną, niech ciągną a żywo, przecież i my beczynni nie będziemy!

Chorągiew ta stała w bliskości na rokazy króla. Zbyszek nadbiegł wołając na nich, aby szli Jagiełłę osłaniać, gdy przeciwko niemu wyskoczył z szeregów Mikołaj Kiełbasa Nałęcz, z przedniej straży i szablę nawet nań podniósł.

— Czyś ślepy! — krzyknął doń — a toć nieprzyjaciel na nas wprost idzie, a ty chcesz, żebyśmy, walkę rzuciwszy, biegli króla obraniać? Szalony! precz! A toć by była ucieczka sromotna z placu! Tego król nie może chcieć. Wracaj, skądś przyszedł, pókiś cały!

Zbyszek, który był już w pośrodek chorągwi wpadł, wypchnięty i złajany, musiał się nazad cofać i powracać. Lecz nim się to stało, w dolinie do reszty koronne chorągwie Krzyżaków zgmiotły i z placu spędziły.

— Najjaśniejszy Panie! — zawołał Zbyszek powracając — wszystkie

rycerstwo zajęte bitwą, nikt już słuchać nie chce; drudzy do bliskiej walki się gotują; rozkazy dawać darmo. Do innych chorągwi nie ma co biegać, bo w zgiełku i wrzawie nikt nie posłyszysz hasła i nikt go nie posłucha. Nie mam co począć!

Król się na Zbyszka namarszczył, lecz nie było rady; dla bezpieczeństwa zaraz, aby oczu nie ściągać, kazano mały proporczyk, który był rozwinięty, ściągnąć i schować. Stanęli ludzie gotowi na wszystko. Straż przyboczna otoczyła króla końmi i sobą, chcąc go zakryć od oczu, bo hełm i zbroja go zdradzały, a Krzyżacy też dobrze znali Jagiełłę, tak że z postawy go mogli się domyślić.

Najgorzej było z samym królem, który nierad tej niewoli, wyrывał się coraz, za włócznię swą chwycił, konia bódł, aby się przedrzeć przez ludzi, a im walka bliższa była, tym więcej się zrywał.

Zoława Czech widząc to i lada chwila czując, że im się król wyrwie i puści, pochwycił za cugle cisawego, trzymając, aż Jagiełło zniecierpliwiony, rohatyny końcem go trącił.

— Puść, diable jakiś — krzyknął — puszczaj, bo muszę iść!

I byłby im się wysliznął, gdyby razem wszyscy nie poczęli prosić i błagać, ażeby życia swego nie ważył.

Książęta, Ziemowit i Korybut, stanęli przed koniem.

— Bij, królu, a choćbyś i zabić miał, nie puścimy cię!

Inni też powtórzyli; król, mrużąc z gniewu, opamiętał się, choć zrazu był rękę podniósł, jakby siłą się chciał przebijać.

Gdy się to działo w kupce ze strażą przyboczną, z walczących blisko szeregów wyrwał się Niemiec, złotym pasem rycerskim opięty, w białej jubce, cały okryty zbroją, spod wielkiej chorągwi pruskiej, i puścił się na wzgórze, wprost na króla.

Siedział na dzielnym koniu bułanym, okrytym już pianą i pokrwawionym; schylił się na siodle, włócznię do boku wziął i pędził. Dopiero go nacierającego już niemal postrzeżono.

Owych szesnaście chorągwi stało nieopodal, patrząc, równie jak wojska, które bliżej były, i niebezpieczeństwo, w jakim król był, dojrzawszy, boju nawet na chwilę poprzestały.

Jagiełło włócznię też podniósł i stał niewzruszony naprzeciw, kazawszy swoim ustąpić, rad, że się nareszcie zmierzy z nieprzyjacielem.

Zbyszek z Oleśnicy stał właśnie z boku, ale, jako pisarz, bezbronny niemal, chwycił tylko kawał złamanego drzewca na pobojowisku i to w rękę trzymał; ale nie mogąc dopuścić, ażeby na króla nędzny jakiś ciura śmiał się porywać, gdy już miał

kopią ugodzić Jagiełłę, z boku go owym drzewcem z całych sił uderzył i zwałił z siodła.

Spadła z czoła przyłbica od szyszaka, gdy się staczał, a Jagiełło, włócznią w samą głowę go ugodziwszy, zranił, nie chcąc dobijać.

Lecz nim miał czas zawołać, aby mu życie darowano, straż nadbiegła i w mgnieniu oka zuchwalca na śmierć zasiekła. Odciągnęły piesze ciury trupa, aby go na boku obedrzeć ze zbroi i odzieży.

Zbyszek stał skromnie z boku, choć królowi życie ocalił, jakby nic nie uczyniwszy, i wstydząc się swej gorącości tylko, gdy drudzy z orszaku poczęli go sławić i wynosić.

Jagiełło, który go zawsze wielce lubił i od dawna przy sobie miał, odezwał się też, uśmiechając:

— Należy się wam pas rycerski, a Bóg widzi i coś więcej ode mnie, o czym nie zapomnę!

Ale Zbyszek się skłonił i rzekł:

— Najjaśniejszy Panie: ja do żołnierzy Chrystusowych należeć chcę, nie do tych, co za świeckich walczą panów.

— Lepszą część obrałeś sobie — odezwał się Jagiełło — ale gdziekolwiek cię znajdę, pamiętać o was będę.

Zaledwie ów napastnik legł, który na króla godził, owe szesnaście chorągwi, stojących z boku, postrzegłszy klęskę swoich w dolinie i śmierć tego, który się wyrwał z szeregów, poruszyły się do odwrotu. Dowódca, który na białym koniu siedział, począł kopią dawać znaki i wołać: herum! herum!

Ze stanowiska Jagiełły nie tylko widać, ale słyszeć ich było można, tak blisko już byli. Stała w prawo chorągiew wielka królewska, wracająca z boju po złamaniu nieprzyjaciela, właśnie gdy owi nadciągali ku tej stronie; a że się tu już świeżych sił

krzyżackich nie spodziewano, nie poznano idących, tym bardziej, że mieli, miasto ciężkich kopii, którymi wszyscy prawie Niemcy byli zbrojni, lekkie włócznie do rzutu, sulice takie, jakie nosili Litwini. Wzięto ich więc za Litwę i wahano się, czy uderzyć.

— Niemcy! — wołali jedni.

— Litwa! — zaręczali drudzy.

Poczynano się spierać, a tymczasem stali wszyscy, dopuszczając ich coraz bliżej. Dopiero Dobiesław z Oleśnicy, aby mitręgi nie było, kopię przyparłszy do boku, puścił się ku nim sam jeden. Widok był prawdziwie rycerskiego popisu, gdy Dobek z takim sercem na harc wystąpił.

Był ledwie w pół drogi, a tuż z szeregów niemieckich jeden z dowódców

puścił się, konia spiąwszy, przeciwko niemu i lekką swą włócznią podbiwszy mu kopię, przez głowę ją przerzucił. Gdyby nie to, cięższa ale dłuższa Dobkowa włócznia byłaby Krzyżakowi w szyszak trafiła, szczęściem głowy uchylił. Kopię straciwszy, Dobiesław musiał sam, przeciw kilkuset za słabym będąc, konia zawrócić i do swoich biec nazad. Gonił go jeszcze Krzyżak, póki konia kopią nie uderzył i nie okrwawił, po czym do swoich się cofnął.

Nie było już wątpliwości, kogo przeciw sobie miały polskie chorągwie, ruszyły więc, choć znużone, na świeżych z okrzykiem i ochotą. Tu pod oczyma królewskimi powtórzyła się bitwa raz jeszcze, równie zawzięta i krwawa. Stały zrazu jak mur chorągwie nie napoczęte i świeże, długo cisnęli je i parli, póki złamać zdołali, Zawisza, Maszkowski i przednie owo rycerstwo. Nie dostał i ten ostatni sztyk, a wszyscy niemal nie chcąc uchodzić, walcząc do tchu ostatka, jak stali w miejscu, pozabijając się dali. Zmniejszał się ten hufiec, malał, rosła kupa trupów pod nogami, w ostatku i ci, co najmężniej walczyli z rozpaczą, padli.

Reszta chorągwi, które się były rozpierzchły, uciekła w lasy i na pobojowisku zostali tylko jęczący ranni i ci, co już nigdy powstać nie mieli. To pole, z rana jeszcze świeżym i mężnym ludem zarosłe, przedstawiało najokropniejszy widok zniszczenia, jaki oko ludzkie i serce mógł dotknąć. Pomimo okrzyków

dogorywających rycerzy i zwycięzców, ciszą nazwać było można tę chwilę po rannym grzmocie i huku.

Z wyżyny, na której stał król, obraz ten tryumfem się wydawał; w dolinę zszedłszy, okropnością był i zgrozą. Nikt jeszcze rozmiarów odniesionego tryumfu rozliczyć nie umiał, otrzymano plac, zmuszono wroga do ucieczki, lecz zwycięstwo nie wydało się zrazu tak zupełne, tak stanowcze, jak się później okazało. Jagiełło Bogu dziękował, coraz się o coś dowiadując nowym, a niespodzianym.

Kopidlowski Drjo przyprowadził Jagiełłę owego Jerzego Gersdorfa, który chorągiew św. Jerzego

krzyżacką, we czterdziestu z nią zostawszy, oddał, rzuciwszy się na kolana przed nim, o życie prosząc. Czech Jost z Salcu przywiódł pojmanego Konrada, księcia oleśnickiego; Skarbek — księcia Kazimierza szczecińskiego. Co chwila ciągniono kogoś, a tłum wielki w obozie i wozach pruskich plądrował, zabierając łup niezmierny.

Panu Andrzejowi Brochockiemu, który w pierwszym szeregu walczył,

przyszło pod koniec do potykania się z rycerzem, co go tarczą swą znecił. Miał

bowiem na niej -niemal to samo znamię, którego używali Prawdżice Brochoccy.

Puścił się więc nań i dwa razy kopiami się na siebie zamierzyli, nie mogąc ani ich strzaskać, ni z siodeł się wysadzić. Za trzecim spotkaniem, Brochocki, który siłę miał

olbrzyma, rzuciwszy kopię, uchwycił za ramię przeciwnika i ściągnął go z konia. Tu dobywszy miecza, bronić się jeszcze chciał obalony, gdy na piersi mu siadłszy pan Andrzej go do poddania się zmusił. Gdy słowo od niego wzięwszy, z ziemi go już podnosił, opadła przyłbica rycerzowi i twarz się odkryła młodzieńcza, jak na Niemca niebrzydka, z oczyma bystrymi i wyrazem nie wstrętliwym.

Razem z jeńcem podniósł też Brochocki i tarczę jego, pilnie się jej

przypatrując, co zaczęła, że godła jego przypominała. Spytał go kto był, ale zrazu z pobitego słowa dobyć nie mógł. Dopiero do obozu go prowadząc, dowiedział się, że to był hrabia Dienheim, kędyś znad Renu, gdzie na zamczku w skale jako drapieżny sokół się gnieździł. Wziął go więc z sobą a miał tego przyczynę, bo mu owe Dienheimy obce nie były, choć więźniowi się z tego spowiadać nie chciał. Uratował

mu tym życie, bo innych wielu Niemców, z którymi ani się rozgadać, ani do ładu przyjść nie było można, wojsko pobiło na placu, ani ich puścić mogąc wolno, ani się nimi chcąc obarczać.

Ksiądz Jan, przez cały czas owej utarczki modląc się z podniesionymi rękami jak arcykapłan, ze łzami do Boga wołał, aby zwycięstwo dał dobrej sprawie, wreszcie znużony samym widokiem tym padł jako stał na ziemię bezsilny i niemal bezprzytomny. Ani mógł na powierzoną mu Ofkę zważać, ni też by ją powstrzymał, gdy po odejściu Czechów do jeńców krzyżackich spod Dąbrowna pobiegła.

Stary żołnierz, co nad nią miał dozór, wpatrzywszy się w pobojuwisko tak się walką tą, którą przed oczyma miał, przejął i rozgorączkował, że choć ranny, do najbliższej uszedł chorągwi, w miejscu nie mogąc ustać. Pod koniec zwłaszcza tych zapasów śmiertelnych wszystkich opanowała owa wściekłość bojowa, dla której człek w końcu o sobie, o życiu i o wszystkim zapomina.

Ciury i czeladź bezbronna z kijami i drągami, bez mieczów i zbroi, cisnęła się na plac i napadała rycerzy niemieckich, których już męstwo i duch był odbiegł, z jakim rano występowali. I jako króla samego Jagiełłę, ledwie drogę mu zaparłszy, wstrzymać mogli dworzanie jego i bratankowie, tak innych nie powściągnęło nic od udziału w bitwie.

Na wszystkie strony ścigano uciekających, których jasne zbroje świecące przy zachodzącego słońca promieniach zdradzały. Na wszystkie strony widać było hufce pierzchające i gonitwy za nimi.

Ogromna moc ludu w taborze i wozach pruskich gospodarowała. W tym

zamięcie, gdy się późno obejrzał ksiądz Jan i Ofkę chciał znaleźć, na próżno o nią pytał i o strażnika jej, nikogo już w swym miejscu, ani wieści o nich nie mogąc dostać. Sądząc więc, że ucieczka byłaby niepodobna i że skuszona ciekawością zabiegła może gdzie, by patrzeć na to straszne widowisko, pozostał w miejscu czekając co los zdarzy.

Król jeszcze był ze wzgórza nie zjechał, ani też ruszyć mógł, co chwila nowych jeńców i wiadomości otrzymując. Niesiono i wieziono chorągwie, kładąc mu je pod nogi.

Nieopodal od pobojowiska, w Kruczym Lesie, kędy, czekając na trupa, moc wielka czarnego ptactwa wszystkie drzewa była obsiadła, jakby z dalekich ziem na żer dążyła wcześniej poczuły, znaleziono siedem chorągwi krzyżackich w ziemię wetkniętych, przy których oprócz kruków innej straży nie było.

W obozie wielką moc beczek z winem zrazu wojsko znużone odbiwszy — kto czym miał czerpał: kołpakami, rękawicami, hełmami — piło, gdy Zyndram

Maszkowski, obawiając się, aby wojsko upojone siły straciwszy nie rozprzęgło się, beczki wszystkie rozbić i wino wytoczyć kazał.

Działo się to na wzgórzu nad pobojowiskiem, tak że rzeka owego wina, płynąc po krwawych trupach, z krwią zmieszana, wylała się jak potok samej krwi na łąki Tannenbergu i powieść stąd między ludźmi urosła, iż krew poległych strumieniami się toczyła.

Słońce już było nad zachodem, gdy po raz pierwszy od rana i od owej ucieczki sromotnej, którą odbolał tak srodze, nadbiegł Witold, winszując Jagiełłę wygranej tak wielkiej.

— Bogu dziękujmy — rzekł król — nie nasza to sprawa, a Jego.

Witold ledwie mówić już mógł ze znużenia, a Jagiełłę, który od ciągłego krzyku ochrypl zupełnie, ledwie posłyszeć było można. Kazano zwoływać rycerstwo, lecz rozhukanego żołnierza od ścigania i od plądrowania wśród poległych trudno było odciągnąć.

— Zwycięstwo wielkie — zawołał Witold — ale dla mnie ono tym większe,

żem dwóch moich zaciętych wrogów w ręce dostał: Salzbacha i Szomberga, dwóch psów niegodziwych, którzy na owym zjeździe nad Niemnem u Kowna

niepocziwymi językami mnie i matkę moją znieważyli. Moją bym urazę przebaczył, matczynej nie mogę, a łby ich paść muszą.

To była pierwsza myśl Witoldowa po zwycięstwie — zemście dogodzić, ale mu Jagiełło nie dopuścił tego.

— Nie pozwolę — rzekł — pastwić się nad zwyciężonymi, dosyć za swoje

mają. Drugi raz ich pokonajmy ludzkością a łaskawością. Dość Bożej kary i chłosty nad nimi.

Nie odpowiedział nic Witold, ale mu oczy gniewem nabrzmiały.

Z pogoni wreszcie wojsko wracało i ruszać kazano, jak kto stał, zabrawszy z obozów zdobytych, co się dało ocalić, opuszczając pobojuwisko trupem

stutysięcznym usłane. Skwar, który jeszcze dopiekał, widok tych ciał bez pogrzebu leżących, a nie mogących być pogrzebionymi, zmuszał dalej ku Malborkowi na noclegowisko się posunąć. Lecz daleko tak znużonego żołnierza wieść nie było podobna, tak że o ćwierć mili zatknięto obóz nowy.

Rozbito dla króla namiot, chociaż tej nocy ani on, ani nikt spoczynku nie miał.

Przyprowadzono jeńców, znoszono jeszcze proporce, przychodzili z doniesieniami ludzie, a każda wieść nową pociechę niosła.

Zanim namiot rozbito, król z konia zsiadłszy i szyszak zrzuciwszy, jednego przy sobie mając Dobka z Oleśnicy, jak stał, na ziemi legł pod czynowym krzakiem, dłużej na nogach utrzymać się nie mogąc. Podesłano mu tylko liścia świeżego narwanego z jaworów, które blisko stały. Dopiero po chwili dano mu znać, iż namiot był gotów, a król poszedł zbroję odpiąć i głosem, który ledwie do- słyszeć było można, o jedzenie poprosił.

Cały ten dzień na upale, wicherze, w znoju i boju nikt nic nie miał w ustach, aż po zachodzie słońca dopiero poczęto sobie radzić, by głód doskwierający zaspokoić.

A tuż chmury, które słońce było rozbiło u zachodu, zebrały się znowu i puścił

się deszcz ulewny, który i na pobojuwisku rannych resztę podobijał, bo ich ratować nie było można, a po skwarze nastąpił dojmujący chłód, przejmujące wicherzysko zimne. Rozbijano co żywiej płótna, aby schronić się pod nie od ulewy, ogni nawet dla zwarzenia jadał trudno było zrazu rozpalic. Lecz w sercach pociecha wielka z tego zwycięstwa za wszystko stała.

W królewskim namiocie mieniali się całą noc ludzie i opowiadania; każdy przynosił swoją przygodę, każdy miał coś do historii dnia tego dodać. Widzieli niektórzy zjawiska w powietrzu nad wojskiem i jakby unoszące się nad nim postacie; drudzy cudownie życie ocalili, inni na nieprzyjacielu znaleźli bogate łupy. Kto co przedniejszego dostał, królowi niósł i składał, ale najprzedniejszym darem były niezliczone banderie, chorągwie i proporce krwią pobroczone, które ziemię u namiotu zalegały.

W zaciętości, jaka po walce długo w sercach wrzała, wielu poległym

zakonnikom długie ich brody mieczami porzezano i powiązano nimi jak sznurami chorągwie.

Pogoń, co ściagała uchodzący oddział krzyżacki pod Wilgnowo i która go tam rozbiwszy, dowódcę pojmała, przyniosła głowę jego, bo mąż zdawał się znaczny, i chciano wiedzieć, kto by był. Gdy za brodę czarną ująwszy ją, niósł Dobek do królewskiego namiotu ten ohydny znak zwycięstwa, napotkał na drodze księdza Jana, któremu ją okazał.

Poznał w niej staruszek tego komtura, który mu w bramie malborskiego zamku nogę skrwawiwszy, płazem, a później groszem go nagroził. Był to ów Schwelborn, co dwa miecze nosić przed sobą kazał, odgrając się, że ich do pochew nie złoży, dopóki krwi się nie napiją. Wargi jego zbroczone teraz były, lecz własną.

Już późno w noc, gdy z pamięci liczono poległych, wszedł do namiotu

Mszczuj Dunin ze Skrzynna niosąc w ręku pektorał złoty z relikwiami świętych, na łańcuchu złotym.

— Najjaśniejszy Panie! — rzekł oddając mu go — większe zwycięstwo Bóg

dał, niż śmieliśmy się spodziewać. Noszenie to zdjął Jurga, towarzysz mój, z zabitego rycerza, który innym być nie mógł, tylko wielkim mistrzem Zakonu, Ulrykiem, bo są ludzie, co je u niego widzieli, a na płaszczu krzyż miał podwójny.

Słyszając to, Jagiełło załamał ręce wzruszony i potoczyły mu się łzy z oczu.

Wziął relikwie i długo niemy trzymał je przed sobą.

— Tak Bóg pysznych karze — odezwał się w końcu. — Padł więc ten, co

wczoraj marzył, iż zawojuje ziemie i królestwa, i że nas w pęta zwiąże. Cześć i chwała Panu na wysokościach! cześć Ci Boże, coś dumnych zgniótł i miłosierdzie swe nad nami a potęgę okazać raczył. Imieniowi Bożemu niech będzie chwała!

— Amen! — szepnęli przytomni.

Malborski zamek znowu stał ozłocony promieniami zachodzącego słońca i

krwawymi ścianami wznosił się panując okolicy i miastu, ale dokoła niego panowała jakaś cisza złowroga. Nie był to spokój, co zwiastuje dni długie wesela, ale owo milczenie przed burzą, które jest śmierci przecuciem.

Puściej było niż kiedykolwiek: ani zakonnych płaszczów, ani pachołków i knechtów; bramy pozamykane, w dziedzińcach starcy sami i kaleki. Wszystko się wyniosło na obronę granic, na wojnę, na zamki i straże. Malbork zdawał się zostawiony sam sobie. Mała ledwie garść żołnierza trzymała straże po wrotach i murach. Kilku księży śpiewało w chórze godziny, kilku ze służby patrzyło z wież, azali gdzie nie dojrzy gońca na szlaku.

Co chwila oczekiwano jakiejś wieści, a nigdy zwycięskiego zakonu bracia i służba nie trwożyli się tak i nie przeczuwali złego. Wiedzieli wszyscy, iż tam się ważyły losy dwóch krajów, lecz ileż to razy wszedł Zakon zwycięsko z boju, albo go umiejętnie potrafił uniknąć? Nigdy taką trwogą nie biły serca jak .teraz.

We wrotach pod kaplicą św. Anny stał stary knecht na straży. Sparł się na halabardzie i zadumał patrząc przed siebie osłupiałymi oczyma. Siwa broda wpół mu się zwinęła na rękę, a źrenice bezmyślne, nieruchome, wlepione trzymał gdzieś w dal, której nie widział. Na najmniejszy szelest

drgał i oglądał się. Zaczęto dzwonić na wieczorną godzinę w kościele, zamruczał jakąś modlitwę i roztopiła mu się wprędce na ustach — o czym innym myślał.

Wtem, wlokąc się wzdłuż muru o kiju, kulawy, zgarbiony przysunął się żebrak i stanął przed nim. Nierychło go zobaczył strażnik, a ujrzawszy nie zaraz przemówił.

— Słyszałeś burzę nocną?

— A któż lepiej nade mnie, co śpię pod murem w dziurze? — odparł żebrak.

— Całą noc szalone wyły wichry, piorun padał po piorunie, zdawało się, że ziemia spłonie i niebiosą się na nią obalą.

— Mury zamkowe drżały — rzekł strażnik — piorun padł w gdańską wieżę i spłynął jak potok ognia po murze, czarna smuga po nim została. To nic dobrego nie wróży.

Żebrak spojrział nań.

— Wicher i burza — rzekł powoli, z powagą wielkiego znawcy — wicher i

burza, albo szatani duszę wielkiego winowajcy do piekieł niosą, albo na ziemi walka straszna i bój.

— Tak, walka, bój, bitwa. Wszystkie nasze i gościnne chorągwie poszły.

Mówią, że Jagiełło uciekł przed nimi, a drudzy, że z siłą ogromną mieczem i ogniem kroczy na nas.

— Któż Zakon zmoże! — westchnął żebrak. — Kto takich panów potężnych,

co na całym świecie mają braci i opiekunów, odważy się nawet zaczepić. Chorągwie już pewnie ścigają króla Jagiełłę i kraj jego pustoszą za karę.

— Wyszli całą potęgą, nas tu garść ledwie została, ale zamek nie potrzebuje obrony.

— A kto by śmiał się nań targnąć! — odparł żebrak.

— Spaleniznę czuć w powietrzu — mówił żołnierz — tchnąć nie ma czym, na mózgu cięży coś jak ołowiem.

— To na burzę znowu! — odparł żebrak cicho.

— Poszli pod Bratian, ale stamtąd musieli pociągnąć dalej — mówił jakby sam do siebie strażnik. — Od tej pory żadnej wieści! żadnej wieści!

— Musieli pociągnąć dalej — wtórował żebrak — to i nie rychło z łupami powrócą.

— Niechby choć bez nich a cało! — ciągnął stary. — Złe uczynili, że pokoju nie chcieli. Ślali posłów o pokój, czy my mało ziemi mamy? było przyjąć! Wiodło się długo, a nuż się noga obśliźnie!

— To by był koniec świata — mruknął żebrak. — Najświętsza Panna Maria

nasza i Święty Jan Patron nie dopuszczą.

Strażnik wzdychał.

Z dala tętent posłyszeli i zwrócili się w tę stronę obaj. Na nędznym koniu jechało bose chłopię w koszuli, bez czapki, poganiając szkapę prętem. Zoczywszy strażnika w bramie, przychyliło się nisko z pokłonem i minęło. Nie był to posłaniec, był to pastuszek biedny, co z pola powracał.

— Żadnej wieści! — powtarzał machinalnie strażnik.

Wtem nadszedł mnich Krzyżak, z rękami założonymi pod szkaplerz, krokiem powolnym. Stał przed strażnikiem.

— Przybył kto? — spytał.

— Nikogo nie było!

— Żadnej od naszych wieści?

— Nie ma nic, cicho.

— Czegoś niespokój ogarnia. Na ołtarzu dziś świece gasły same, na próżno je zapalano, zły znak.

— Widziałem ogromne stada kruków ciągnące tam! — wskazał ręką — za

naszymi, i to znak niedobry.

— Niech Pan Bóg złe odwróci — szepnął mnich — modlić się trzeba.

Pokiwali głowami, żebrak stał i milczał.

— Nie chciałem ja to mówić — odezwał się cicho — bo nie warto, ale sen miałem brzydki, gdym po burzy usnął... Śniło mi się, że widział w polu dwieście płaszczy z krzyżami leżących, po których dzicz płasała.

— Sny się na odwrót tłumaczą — odezwał się strażnik.

Znowu tętent się dał słyszeć, obejrżeli się wszyscy. Na koniu pianą okrytym, z włosami rozpuszczonymi, bez okrycia na głowie, jechał młody chłopak szalonym pędem. Jechał i patrzył w niebo na chmury jak nieprzytomny, a konia smagał; koń go niósł sam, nie kierowany, leciał do bramy i na wszystkie cztery nogi, chcąc się wstrzymać, padł przed nią. Chłopię młodziuchne, co siedziało na nim, zsunęło się z siodła i omdlałe padło. Mnich, strażnik i żebrak pobiegli ratować. Znużony znać poseł ów leżał bez czucia na ziemi. Piękna twarz okryta była bladością śmiertelną.

Konia poznał zaraz po okryciu stróż, że należał do jednego z braci, co wyszli z wojskiem, chłopca

nikt nie mógł poznać. Mnich długo się w niego wpatrywał, mruzczał coś i zdziwiony i przestraszony stał pochylony nad nim.

— Gdyby nie strój męski! — rzekł do siebie — powiedziałbym, że Noskowej córka, tak do niej podobny. Czysto kobieca twarz i włosy nie po męsku; ale cóż by robiła w tym stroju, na koniu, i... Żebrak, zaczerpnąwszy wody, przyszedł twarz omdlałego pokropić, któremu krew ze skroni ciekła.

Strażnik dzwonił w bramie, aby kogo ze służby od infirmerii przywołać.

Chłopak się ocucił, obejrzał, westchnął, chciał porwać i upadł z jękiem znużony.

Wszyscy z trwogą jakąś i przecuciem nań patrzyli, nikt się o nic nie śmiał zapytać.

Domyślili się, że od wojska przybywał. Wreszcie się zerwał i zawołał:

— Kto starszym został na zamku? kto dowódcą?

— A kimże tu kto ma dowodzić? — zapytał stary żołnierz — przecie ludzi nie ma. bo wszyscy poszli. Wskazał ręką.

Przybyły ręce załamał.

— Skąd jedziecie? — spytał strażnik.

— Skąd? nie wiem! skąd? stamtąd, gdzie pole trupami usłane, gdzie krew się leje potokiem, gdzie chorągwie krzyżackie leżą stosami, gdzie nieprzyjaciel się weseli, gdzie ostatnia dla nas wybiła godzina.

Krzyknęli wszyscy.

— Szalony! zmysły postradał!

Chłopiec jakby sam do siebie mówił ciągle: — Cały dzień trwała walka

zacięta, zabójcza, okropna; jak pioruny biły młoty o zbroje, jak lwy bili się zakonni, jak stado wilków głodnych wpadli wrogowie i jak burzą zmiotli wszystkich. Nie ma wojsk krzyżowych, nie ma! Wybiła ostatnia godzina, wybiła!

Załamał ręce i płakał, potem się zerwał chcąc iść, ale siły go opuściły i osunął się pod murem na ziemię.

Do kupki, która się wprzód była zebrała, przybywali coraz nowi słuchacze, ale nikt uszom wierzyć nie chciał, chłopca miano za obłąkanego strachem boju.

Wtem na koniu rycerskim, lecz pokrwawionym i odartym, ukazał się jakby drugi poseł.

Był to wieśniak bosy, odarty, w koszuli i spodniach, podpasany słomianym sznurem. Twarz jego opalona jeno promieniowała dzikim szałem, niby tłumioną radością. Białe zęby śmiały mu się w ustach szeroko otwartych, ręką machał nad głową konia tak znużonego jak pierwszy.

Strażnik poznał rumaka brata Kuno ze Śląska i ręce załamał. Wieśniak dopadł

pod mur, stanął i z konia się zsunął, niby z rozpaczą bijąc w ręce, ale udanej tej żałości urągały oczy jego i usta.

— Sądny dzień! — zawołał — wszyscy polegli, pobite pany nasze wielmożne, pogruclotane zbroje złote. Kruki się pasą na ciałach dostojnym! Sądny dzień Boży!

Przytomni, marszcząc brwi, słuchali i stali przerażeni słowa nie mówiąc. Stróż, jakby ocknąwszy się nagle, zatrąbił w róg, zadzwonił w dzwon na trwogę. Co było na zamku pozostawionych ludzi, zbiegło się ku bramie patrzeć na leżące chłopię i na wieśniaka, który krzyczał, rękami rozkrzyżowanymi machając.

— Króla Jagiełły ino nie widać! kto mu zaprze drogę! Nie ma wojsk, nie ma ludzi; co życie zbawiło, to po lagach się tłucze. O, sroga klęsko! takie sławne pułki, tacy piękni rycerze, taki lud rosły i silny, taka krew pańska, tyle żelaza i złota...

wszystko to przepadło, trupy leżą nagie, nieprzyjaciel łupami wozy ładuje.

W bramie skupiało się coraz więcej ludu, aż ukazał się zakonnik na kiju sparty.

Był to dawny komtur elbląski, mąż niegdyś sławny i dzielny, z jedną nogą uschłą.

Należał on do rady, ale na wojnę nie chodził.

Namarszczony słuchał krzyku chłopca, wyciągnął pięść ściśniętą i zawrzał

pašowiejąc:

— Milczeć! Dajcie go tu!

Porwano natychmiast wieśniaka, który się mało co opierał.

Stary popatrzał na chłopię i kazał je też na zamek prowadzić.

Za tymi dwoma szło wszystko co żyło, zaciekawione i przelękłe.

Stary komtur dał znak, aby rozeszli się ciekawi i zatrzymali pośród dziedzińca, gdy on sam wieśniaka i chłopię do refektarza wielkiego wiódł z sobą. Lecz nie doszli do drzwi, gdy znowu zatętniało w bramie i krzyk się dał słyszeć, starzec głowę podniósł i o kiju zawrócił nazad do bramy.

Tu widok był nowy.

Leżący, zwieszony, przypięty do konia, znać bezsilny jechał rycerz zakonnik; płaszcz miał we krwi cały pobroczony i podarty, krew ciekła mu po zbroi, krew uchodziła z obuwia, biały koń zbluzgany nią niósł go dobywając sił ostatka. U bramy stanął, zachwiał się i padłby, gdyby go strażnik za cugle nie chwycił.

Rycerz się nie ruszył. Żebrak do niego przypadł; podniesiono mu przyłbicę, twarz była blada i martwa, krew się jeszcze sączyła z ran poza zbroją zadanych, ale człowiek już nie żył. Żołnierz dojrzał dopiero, iż trup był do konia przywiązany.

Słowa już nikt rzec nie mógł, bo wszystko zwiastowało klęskę. Zdjęto ciało z konia, który, chwiejąc się, sam szedł w podwórze; dwaj knechci ponieśli zwłoki i położyli je w krużganku. Stanął nad nimi milczący komtur stary wpatrzony, jakby życie i czucie postradał.

Chłopię, co pierwsze przybiegło, o mur oparte stało drżące. Po chwili skinął na nie zakonnik. Weszli do wielkiego refektarza, który stał pusty, ogromny stół długi zajmował środek jego, przy nim ciężkie ławy dębowe ciągnęły się ze stron obu. Ze ścian patrzyły wizerunki świętych i napisy.

Kilka kroków od drzwi uszedłszy, zakonnik na krzesło padł; mimowolnie

wychudłe ręce podniósł nad głowę i załamał je nad nią — milczał. Potem z wolna położył na piersiach zamię krzyża świętego i odwróciwszy się do chłopca spytał:

— Gdzie nasi? gdzie wojska? gdzie wielki mistrz.

— Na polu leżą pod Grunwaldem.

— Kłamiesz!

— Bóg świadek!

— Ten lud, tyle ludu, rycerzy?

— Drugie tyle było go ze strony Jagiełłowej, ważyło się zwycięstwo i

przechyliło na ich stronę. Sto tysięcy trupa leży na grunwaldzkim polu. Stosy białych ciał. Nie został nikt, oprócz nikczemnych, co uciekli.

— Wielki mistrz, Ulryk? — pytał zakonnik.

— Padł na ostatku, gdy już nic nie było do czynienia, tylko umierać.

Okrzyk stłumiony wyrwał się z piersi zakonnika.

— Wielki komtur? — pytał osłabionym głosem.

— Leży przy nim.

— Wielki marszałek Wallenrod?...

— Jest z nimi.

— Schwarzburg, nasz szatny?

— Zginął śmiercią rycerską.

Zakonnik nie śmiał pytać, głowa mu opadła na piersi, wstał z siedzenia i padł na nie.

— Podskarbi Merheim?

— Zabity.

— Komturowie? komturowie? — począł, jakby litości domagając się, wołać starzec. — Helfenstein...

— I on, i jego żołnierze wyginęli do ostatniego.

— Skądże ty wiesz?

— A! obchodziłem pobojuwisko, patrzyłem, gdy odzierano trupy.

— Ippenburg?

— Zabity.

— Wobecke?

— Zabity.

— Hatzfeid?

— Zabity.

— Milcz! milcz! — krzyknął starzec i z krzesła padł na kolana, a potem twarzą się na ziemi położył, ręce rozkrzyżował i szlochał, wołając bezprzytomnie: — Boże!

Boże! cóżeśmy uczynili, czemeśmy zasłużyli, abyś nas dotknął tak srodze? Za co karzesz dzieci swoje, za co w proch i błoto cisnąłeś krzyż swój z nami.

Chłopię patrzyło na leżącego, gdy w dziedzińcach rozruch powstał i wrzawa.

Tętent nie jednego, ale kilkudziesięciu koni rozległ się na podwórzach. Nie towarzyszyły mu ani krzyki, ani wołania, ale milczenie ponure. Zakonnik podniósł

głowę i dźwignął się z ziemi, poszedł ku oknu. W dziedzińcach postrzegł braci zakonnych i płaszcze białe, i jakby ratunek ujrzawszy Bogu dziękować zaczął.

Wtem na salę wszedł z bladą twarzą, ale męską postawą, hrabia Henryk von Plauen, dawny komtur Swiecia. Starzec poznawszy go z załamanymi rękami, jak do modlitwy, pośpieszył ku niemu.

— Bracie — zawołał — prawdąż to jest, co nam przynoszą wieści? —

prawdąż to jest?

— Wszystko jest prawdą, co złe, a złe przechodzi, co ludzki język powiedzieć może. Z potęgi Zakonu została garść niedobitków... my, kilku... Tryumfują, że Zakon w Prusiech zabili, jutro mogą być pod bramami! Ale Zakon żyje i żyć będzie, póki choć jeden z nas dech w piersi zatrzyma. Zakon żyje... do ostatniej kropli krwi bronić się będziemy.

To mówiąc obejrzał się na drzwi, którymi wchodzili przybyli z nim od granic zakonnicy. Garść była szczupła, a nie wszyscy ożywieni tym duchem co hrabia Plauen.

Refektarz zapełniał się tłumem, płacząc cisnęło się, co żyło.

— Kto płakać chce, do kościoła! — zawołał hrabia — módlcie się i płaczcie.

Kto ratować pragnie, ze mną na radę. Zamknąć bramy, postawić strażę, obcych oddalić. Za mną, bracia!

Z powagą ruszył Plauen, ciągnąc za sobą, co pozostało braci do sali radnej przy mieszkaniu wielkiego mistrza.

Gdy w podwórzach jęki słyhać było i płacze, bo co chwila nowa wieść, nowy zbieg, nowej klęski przybywało potwierdzenie, w sali radnej ścigał już Plauen szczupłą garść pozostałej braci, co z nim przybyła. Objął sam władzę nie pytając; czuł się zdolny ją utrzymać. Z posępną energią wskazał miejsca, wstał i począł

mówić żywo:

— Z tych, co poszli, nikt nie wróci, ratunku musimy szukać w sobie.

Zapowiedziano zagładę Zakonu, jeśli ten zamek wezmą; niemiecki zakon braci szpitalnej w Prusach istnieć przestał. Malborka, stolicy naszej, bronić musimy.

— Z czym? z kim? — spytał jeden.

— Choćby z garścią, do ostatka! Malborka nie zdobędą.

Zmarszczył brew.

— Obronimy go. Miasto należy spalić, niech płonie, lud zagnać na zamek, on bronić go będzie.

Dopóki drogi wolne, dziś, zaraz po ludzi ślać na zamki i po zapasy.

— Ale Jagiełło jutro tu będzie — zawołał jeden — to próżne!

— Ani jutro; ani za trzy, ani za cztery dni — gwałtownie wybuchnął Plauen —

wstrzymać go trzeba, musimy i wstrzymamy!

— Jakim sposobem?

Plauen zamilkł.

Nie rada to już była, ale pośpieszne rozkazy; dwóch starszych pozostawił przy sobie Plauen, resztę rozesłał.

W zamku, w mieście trwoga i popłoch były niewysłowione. Nikt nie miał

nadziei, aby ocalić się można, Plauen ją zachował jeden. We trzech weszli do izby przyległej.

— Nie czas płakać i trwożyć się a rozpaczać. Rozpacz źle radzi, męskim sercem ratować się trzeba. Losy Zakonu w rękach naszych.

— Lecz cóż postawim przeciwko tej zgrai spędzonej z całego świata,

rozwścieczonej zwycięstwem, głodnej krwi naszej. Nie mamy wojska...

— Powinniśmy mieć rozum i przebiegłość — rzekł Plauen. — Jagiełłę znamy wszyscy: pchnąć go trudno, a powstrzymać łatwo. Zabobonny jest, lęka się, aby go poganinem nie zwano za to, że przeciw krzyżowi walczy. Poślemy do niego. Zwłokę trzeba wyjednać. Są przy nim ludzie, co nie bardzo wielkiemu zwycięstwu będą radzi. Witold tam jest. Księżna siostra nam sprzyja; mamy duchownych. Czasu tracić nie godzi się. Ojca Marcina przywołać... Ojca Marcina...

Ksiądz Marcin z innymi kapelanami i duchowieństwem stał w radnej sali; przywiedziono go natychmiast. Był on rodem z Pomeranii, a niegdyś począł żywot zakonny w klasztorze benedyktynów na Łysej Górze. Stąd później dał się nakłonić na zmianę reguły i przywdzianie habitu z krzyżem. Niemłody był, mniejszej postaci, pokorny, cichy, ale wpatrzywszy się w twarz jego zamkniętą wyrazem pokory i spokoju, postrzegł przez siedem pieczęci, którymi była zawarta, życie, co pod nim krążyło. Oczy jego jasno, spokojnie, głęboko wciskały się w każdego, czytały, nie dając się wyczytać.

Skłonił się w progu z pokorą.

— Jestem — rzekł.

Plauen się doń zbliżył.

— Ojcze! Zakon konający doprasza się u ciebie ratunku.

Nic na to nie odpowiedział ojciec Marcin, powiódł oczami i nie wymówił słowa dał zrozumieć, że sam na sam radzić pragnął.

Plauen wsunął się z nim do izdebki, wydawszy ostatnie rozkazy.

Siedli sam na sam.

— Nie mówcie mi, co mam czynić — odezwał się ksiądz Marcin. — Duch

Święty mnie natchnie. Znam Mikołaja podkanclerzego, co jest przy królu, trafię do Witolda, do duchownych. Wiem i czuję, co do czynienia mam.

— Jedźcie, idźcie, śpieszcie! — mówił Plauen.

— Zmienię suknie, wdzienę świeckie, będę zbiegiem, zostanę na chwilę

Polakiem; Bóg przebaczy w dobrym celu użyty podstęp, niech zresztą spadnie to na sumienie moje.

— Na nas wszystkich — przerwał Plauen i zniżył głos. — Wóz, weźcie wóz, weźcie złota, ile chcecie; jeśli są sumienia sprzedajne, kupcie je; jeśli są trwożliwe, zastraszcicie! jeśli są zawistne, podniećcie. Zasjejcie między nimi nieufność, obróćcie ich przeciwko sobie, zrodźcie niezgodę. Skazani jesteśmy, niestety, na użycie tych środków, gdy innych nie mamy.

Marcin słuchał.

— Mówić mi nie potrzebujecie, w ostateczności drogi ratunku są jasne; widzę je, są jedyne. Chytrzy być musimy jako węże, bo z chytrzejszymi od węzów do czynienia mamy.

— Zakon winien ci będzie wybawienie; wstrzymajcie pochód na Malbork,

ocalicie nas. Dziś, natychmiast uciekajcie stąd. Osłońcie swą podróż ucieczką; mówcie z nimi przeciwko nam, abyście ich ufność zyskali, ale czyńcie za nami.

Ksiądz Marcin mówiącemu dłoń położył na rękę.

— Dość — rzekł — nie wszystko przez usta przechodzić powinno. Co czynić, natchnie mnie Duch Święty.

Wstał z siedzenia.

— Księżyc po północy schodzi, przewodnika Polaka wiernego mi dajcie, wóz, konie — jadę.

Zwrócił się od drzwi.

— Na zamku wiedzieć mają, żem do Torunia wysiany. Nikt, wy i ja w tajemnicy.

Plauen głową dał znak potwierdzający.

— Złota! — zawołał — weźcie złota, ile zabrać możecie. Niecni posłowie króla Zygmunta wzięli nam go wiele za te szmaty zdradliwe, które listy wypowiedniami nazwali. Nikczemni! Śmiali się z nich dając je nam, śmiano się, gdy je zanieśli Jagiełłę, a my wierzyliśmy w Zygmunta.

Ręce załamał. Ksiądz Marcin pokornie się skłonił i już wychodził krokiem spieszonym nieco. W sali spotkał współbraci duchownych. Zaczęto go pytać.

— Do Torunia jechać muszę — rzekł. — Bóg z wami, wrócę rychło.

Wyszedł. W godzinę potem, gdy się z celi swej wysunął w czarnej świeckiej sukni kapłańskiej, obwinęty płaszczem grubym, nikt by go był nie poznał, tak potrafił się zmienić. Wóz z ludźmi dwoma czekał w podwórzu.

Księżyc zza chmur białych wysuwał się powoli, gdy na gościńcu sunął już zaprząg wiozący księdza Marcina małymi drożynami w stronę, w której się wojska króla Jagiełły spodziewał.

Chłopak, co pierwszy z wieścią o klęsce wpadł na zamek, zaledwie nieco spoczawszy w nim, wśród tej wrzawy i zamętu wyszedł niepostrzeżony za bramę. Tu stanął zamyślony, osłabły, zbierając myśli i nie wiedząc, co czynić z sobą. To powracał ku wrotom, to się kierował ku miastu, oglądał się, azali mu kto z radą i pomocą nie przyjdzie; lecz nikt nań już nie zważał.

Trwoga miotła całą ludnością Malborka: jedni już z miasta unosić chcieli życie i mienie, drudzy w rozpaczę latali bezprzytomni. Coraz to nowe przynoszono szczegóły z pola bitwy, a coraz gorsze i smutniejsze.

Wiedziano już, że wielki mistrz, marszałek komtur, szatny, podskarbi polegli przy pułkach swoich; że obok nich komturowie: grudziądzki, starogrodzki, engelburgski, nieszawski, bordnicki, głuchowski, gniewski i inni wszyscy, oprócz trzech tylko: wielkiego szpitalnika Zakonu, komtura gdańskiego i Balgi; dwustu rycerzy, sześciuset braci i knechtów, czterdzieści tysięcy ludu leżało na polu pod Grunwaldem. Cały obóz dostał się do rąk nieprzyjaciela.

Mówiono, że Jagiełło poprzysiągł zupełną Zakonu zagładę, że pochwytyanych rycerzy ścinano, że na zamki posłano, by się poddawały w imię królewskie.

Najrozmaitsze uczucia dzieliły lud i mieszkańców w części sprzyjających Krzyżakom lub nienawidzących ich panowania. Potajemnie cieszyli się niejedni, lecz jawnie trwożyli wszyscy. W wojnie winny i niewinny pada ofiarą.

Owo chłopię stało jeszcze u wrót, gdy ulicą pod zamkiem idącą ukazały się niewiasty. Była to żona burmistrza i niezamężna jej siostra, obie dobrze znane Noskowej, a przebrane to chłopię nie kim innym było, tylko zbiegłą z placu i rozszalałą z bólu i trwogi Ofką.

Ciekawe niewiasty ostrożnie naprzód zbliżyły się ku chłopcu, którego strój podróży zdradzał, że niedawno przybyć musiał z daleka. Oprócz tego straż w bramie wskazała go im, aby się czego dowiedzieć mogły. Burmistrzowa, sławetna pani Schutz, średnich lat niewiasta, pięknej tuszy,

przedziwnie wykarmiona na białych bułkach, strojną była, jak na jej stan przystało.

Innym paniom mieszczenkom prawo zabraniało nosić wiele kosztownych ozdób i maneli, ale żona urzędnika pozwolić sobie na nie mogła. Na szyi więc i piersiach łańcuszków złotych było co niemiara i czółko szyte złotem na głowie.

Skromniej nieco przybrana siostra Gizella sutą miała suknię, pasem na biodra podciągniętą, aby się po ziemi me wlekła.

Obie jejmoście trwożliwie się zbliżyły do chłopca, który zrazu się cofał przed nimi, gdy pani Schutz krzyknęła wpatrzywszy się w niego:

— O Jezu miłosierny! gdybym nie wiedziała, że zacna Noskowa więcej nad jedną córkę dzieci nie ma lub gdybym ją posadzać miała, powiedziałabym, że to Ofki brat lub, co się nie godzi, ona sama w męskiej sukni. Czy mnie oczy mylą!

Gizella rękę załamała patrząc. Obie zdawały się tak strwożone, że przemówić nie śmiały, gdy nagle Ofka, odzyskując męstwo, przybliżyła się do Schiitzowej.

— Nie dziwcie się i nie przestraszajcie — rzekła — okropne rzeczy się dzieją, okropne też widoki muszą znosić oczy. Zgroza to, żem w męskim ubraniu, sama!

— To Ofka! Ofka! — zawołały obie.

— Cicho, najłaskawsza pani Schutzowa, a jeśli pozwolicie, pod opiekę się waszą oddaję.

— A matka wasza? o dziecko moje!

— Matka daleko, daleko... Pozwolicie mi iść z sobą?

Spocząć u was chwilę?

— Gdzież kto dziś potrafi spoczywać — przerwała burmistrzowa — chodź z nami, chodź. Wprawdzie, gdyby mnie mój Schutz, choć w tak niespokojny czas, pod wieczór spotkał z takim młokosem, mógłby się pogniewać. Na jakiego ty ślicznego wyglądasz chłopca!

— A, czemuż choć brzydkim nie jestem! — zawołała Ofka — tak mi cięży ta płeć moja!

Krzyknęła słysząc to bluźnierstwo pani burmistrzowa i pociągnęła za sobą Ofkę.

W ulicy nikt na przechodzące nie zważał. Niewypowiedziane panowało

zamieszanie. Stary Schutz, małżonek jejmości, znajdował się na zamku przy Plauenie; ludność jak zburzone morze falami płynęła i odpływała ku murom. Wozy ciężkie wlekły się ku miastu i z miasta, konni przebiegali co chwilę, maleńkie kupki knechtów pospiesznie zewsząd już gromadziły się ciągnąc do twierdzy. Ubogi lud cały niemal wyległ na rynki i na gościńce czując, że ciężar tych klęsk nań całym jak zwykle spadnie ciężarem. Wszystko to tworzyło obraz ruchomy, smutny i

przepowiadający coś straszniejszego jeszcze.

Burmistrzowa gorejąc ciekawością wiodła z sobą Ofkę. Niedaleko ratusza stał

dom pana Schutza. Pokażniejszy od innych, zbudowany był wszakże na sposób miejscowy z cegły i drzewa. Na murach jego, w rozmaite Unie przecinające się z sobą, zarysował się szkielet drewniany budynku, którego górne pięterko nieco wyskakiwało w ulicę, a pod nim szerokie okna i drzwi zajęte były przez sklepy.

Nad jednym z nich wisiały olbrzymie nożyce, oznaczające postrzygacza sukna, nad drugim dwie mosiężne miednice, wypolerowane jak złoto, służyły za szyld balwierzowi.

U niego już paliło się światło i tłum ludzi rozprawiał gwarnie, a przez pół

otwarte okno buchały głośnie mowy i patetyczne narzekania. Po schodach, których poręcze były rzeźbą i słupkami ozdobione, weszli do izb pani Schlitzowej. Ofka, zaledwie się tu dostała, upadła na pierwszym krześle, twarz tułąc w dłoniach.

— Dziecko moje, napij się cokolwiek, to cię orzeźwi — zawołała

burmistrzowa niosąc trochę wina w kubku. — Jakżeś bo porwać się mogła i dać przebrać tak niegodziwie.

— Miłościwa pani — rzekła Ofka, jakby przebudzona — już o tym mówić za późno, jak się to i dlaczego stało! Ogarnął mnie szal jakiś, zapomniałam, że kobiecie miejsce u kądzieli, myślałam, że Zakonowi przydam się na co i służyć mu potrafię.

— A jakże ty mu służyć mogłaś? — bijąc w dłonie przerwała Schutzowa —

ani siły, ani głowy. Alem serce miała i mam, kochana pani — odezwała się Ofka. —

Znać miałam tych nieszczęść przeczucie.

— — I matka cię puściła?

— Nie pytałam się matki.

— Oszalało biedactwo! — z litością przemówiła Schutzowa, a siostra

powtórzyła to za nią — oszalało. I gdzieżeś ty się plątała?

— A! pani moja — krzyknęła Ofka — tam byłam, gdzie żadna kobieta nie

śmiałyby była wejrzeć, na tym pobojuwisku okropnym, wśród tej bitwy, od której serce martwiało, patrzyłam, płakałam i wściekałam się z gniewu na słabe ręce moje.

Kobiety stały przy niej oniemiałe.

— Wzięto mnie jak w niewolę w obozie Jagiełły, stryj ksiądz szukał zbiegłej i pochwycił. Wśród bitwy wyrwałam się im, pacholek, co był ze mną, podał mi konia.

Chciałam, widząc tę klęskę straszną, pierwsza tu o niej oznajmić, poleciałam sama, nie wiedząc, co czynię. Jeden sługa zdążył za mną; padł pod Malborkiem z koniem i nie wstał.

Mówiła i oczy się jej paliły.

— Słabe są niewiasty! tak, ręki do boju nie mamy, ale wytrwać możemy

więcej niż oni... głód, skwar, znój, męczarnie, gdy serce rozkazuje. Zakon ratować trzeba! Zakon ratować!

— W imię Ojca i Syna! Ofko moja! — przerwała burmistrzowa — aleć to nie nasza sprawa. Modlić się, bardzo dobrze, ale cóż więcej? Tu żelaza trzeba i dłoni.

— A! nie! — krzyknęła Ofka — żelazo się skruszyło, dłonie ścierpły na wieki; trzeba przebiegłości, rady, zdrady, chytrności...

— W głowie się biedaczce pomieszało — mruknęła pani Schutzowa.

Ofka przestała mówić.

— Pani moja — ozwała się po długim milczeniu, którego kobiety przerwać nie śmiały — gdybyś widziała ten bój, tę rzeź, ten cmentarz, alboby ci serce pękło lub by wezbrało taką złością, nienawiścią, zemstą jak moje.

— Lecz możeż to być, jestli podobna, aby wielki mistrz, jego wojsko tak potężne...

— Śladu po nim nie ma — zawołała Ofka — padli rycerze mężni. Ostatni

mistrz Ulryk wyjechał do boju ze swoimi, pragnąc paść i szukając śmierci. Wszyscy dali się wybić do nogi, nie pozostał nikt, a rannych dokłuli nieprzyjaciele.

Ofka oczy sobie zakryła, kobiety szlochać zaczęły; posypały się zapytania jedne po drugich, a każdej niemal odpowiedzi płacz towarzyszył.

Noc nadchodziła, w mieście nikt nie myślał o spoczynku. Schutzowa w

trwodze zaczynała być o męża, który z zamku nie wracał; zapalono światło. Ofka przechadzała się po izbie zadumana.

— Cóż ty teraz myślisz począć z sobą? — spytała pani Schutzowa.

— Nie wiem, dziś kątek mi dacie do spoczynku, pomyślę. Siedzieć u krosien nie mogę, któż wie, co pocznę jutro.

Jeszcze rozprawiały, a noc była już późna, gdy do izby, zrazu nie zdejmując czapki, wtoczył się poważny Schutz. Zobaczywszy młokosa w domu poufale obcującego z kobietami, widocznie się zgorszył nieco i na żonę spojrzał zdziwiony.

Ta mu ruszeniem ramion odpowiedziała.

— Nie ma tu co taić — rzekła — toć przecie córka pani Noskowej z Torunia.

— Syn chyba? — rzekł burmistrz.

— Córka — potwierdziła żona.

Schutz się nieco skłonił z lekka, ale mu coś tak na sercu ciążyło, że nawet ta osobliwsza przygoda nie mogła go ani zdziwić, ani w nim obudzić ciekawości.

Westchnąwszy siadł za stołem, ręce obie złożył i twarz w nie zanurzył. Żona położyła mu dłoń na ramieniu łagodnie usiłując go rozbudzić. Nic to nie pomogło, dumał... a gdy dłonie w końcu rozwarł, postrzegły kobiety po męskiej twarzy płynące cicho dwie strugi łez, których nie ukrywał.

— Niewiasty — zawołał — zbierajcie dopóki czas, co droższego macie,

żegnajcie dom spokojny. Nieprzyjaciel idzie, zamku bronić potrzeba... miasto by mu za przytułek służyło, a tego nie możemy ocalić. Sam jutro pod własny dom podłożę pochodnię, niech z dymem idzie Bogu na chwałę.

Burmistrzowa krzyknęła z boleścią wielką. Gizella zaczęła płakać. Ofka stała i patrzyła na Schiitza, który łyzy już ocierał.

— Nie czas na lamenta! zbierać co można, na zamek musimy wszyscy. Żywa dusza nie pozostanie w mieście, gruz i popioły znajdą, niech się nimi karmią. Bogu na chwałę mienie nasze.

— Jak to? ratusz! kościół, miasto całe?

— Wszystko — powtórzył Schutz — czas wam daję do jutra... Noc! przez noc wiele zrobić można. Wozy zaprzęć i ładować!

— Nasz dom! nasz dom! — wołała burmistrzowa — ja go już nie zobaczę.

Nasz dom!

— Cicho! — tupiąc nogą dodał Schutz — aby ludziom dodać serca, pierwszy weń ogień podłożę!

Po nocnej burzy i słońcu wypogodziło się niebo i obmyte zaświeciło słońce nad pobojuwiskiem wczorajszym.

Szerokie pole między Grunwaldem i Tannenbergiem, gdzieniegdzie zaroślami, krzakami i pojedynczymi drzewami okryte, nosiło na sobie ślady walki zaciętej, która się na nim odbyła. Nie

było prawie stopy ziemi nie zoranej kopytami końskimi, na której by się ziomek zbroi, skruszone i podruzgotane kopie lub trupy nie wałały.

Drzewa nawet ucierpiały w tym boju, kule poobłamywały gałęzie, które leżały na ziemi; krzaki zmięte i poduszone wbite były w nią, a słota nocna, która uniosła z sobą krwi ślady, mułem i piaskiem pookrywała ciała i szmaty odzieży.

Ciury od wojsk włóczyły się jeszcze szukając łupu i zbierając na pobojuwisku, co się żywym na coś przydać mogło. Porozbijane hełmy, w których stała woda deszczowa, służyły wróblom za naczynie do napoju. Nad bliskim lasem krążyło stado kruków, które odlatywało za zbliżeniem się ludzi i powracało na żer obfity.

Tymczasem z rozkazu Jagiełły szukano ciał rycerzy poległych. Wybrani jeńcy, pod przewodnictwem chełmińskiego szlachcica Bolemińskiego, szli od jednej kupki ciał do drugiej, mistrza i komturów szukając. Ciała ich nie były rozpierzchłe po polach, lecz wałem, jako stali, leżały w miejscach, gdzie walczyli.

Żołnierska czeladź już je była poodzierała ze zbroi kosztownych i odzieży; bo płaszcz mistrza królowi odniesiono w nocy, mógł więc tylko poznać z twarzy ten, kto znał za życia Krzyżaków.

Wkrótce też Bolemiński, schyliwszy się nad gromadą trupów, które go

przykrywały sobą, poznał Ulryka, choć mu na znak i pamiątkę, jak innym, czeladź

już brodę obcięła. Leżał z rozbitą piersią i z raną na czole, znać po spadnięciu szyszaka otrzymaną. Nieopodal znalazły się zwłoki marszałka Wallenroda, komtura Lichtensteina i wielu innych przedniejszych, które obwinięte w całuny poniesiono i położono przed królewskim namiotem.

Dzień to był uroczysty i dla rycerstwa całego świetny, ale niewesoły, bo wobec tych tysiąca poległych żaden się nie mógł nawet zwycięstwem, co tyle żywotów ludzkich kosztowało, radować, a kto pobojuwisko widział, temu po nim wspomnienie na życie całe zostało.

Tyle tam było do czynienia naówczas, iż nie dziw, że na pobojuwisku zostać kilka dni postanowiono, choć Brochocki i wielu gorętszych domagało się na Malbork iść natychmiast, dopóki by Krzyżacy nie opamiętali się po klęsce.

Gdy słońce wyżej się podniosło, już z ciałami pobitych uczyniono porządek i złożono je przystojnie, czekając pogrzebu. Król sam wniósł, aby ciało Ulryka, wielkiego marszałka i komtura do Malborka odesłać, i wóz na to oraz sukno purpurowe do nakrycia przeznaczył.

Wiele do czynienia było z resztą trupów, które na pobojuwisku grzebać

musiano, z rannymi i jeńcami. Krzyżackich i polskich rycerzy wspólny pogrzeb zarządzono przy kościółku w Timbargu, gdzie ksiądz Jan zajął się obrzędem i nabożeństwem.

Z Polaków, choć wielka liczba padła, znaczniejszych rycerzy ledwie dwunastu zabrakło.

O świcie król kazał sobie podać konia i z księciem Witoldem a mazowieckimi, wspólnie z Zyndramem Maszkowskim, który rozповідаł o bitwie, objechali raz jeszcze pobożowisko. Stawali na nim często, bo ilość ciał i ogrom trupa w wielu miejscach przejazd trudnym czyniły, a i po nieprzyjacielskich trupach król, deptać je, jechać nie chciał. Kołować więc musiano.

Gdy słońce się podniosło, namiot wielki kościelny ustawiono na wzgórzu, zewsząd, oprócz poza ołtarzem, podpiąwszy ściany, aby otaczające wojsko Ofiarę świętą widzieć i w niej uczestniczyć mogło. U trzech ołtarzy razem odprawiały się msze, które czytali kapelani królewscy.

Wokoło kaplicy pozatykane drzewce z mnóstwem zdobytych chorągwi

nieprzyjacielskich dziwnie piękny widok czyniły lekkim wiatrem poruszane. U

głównego ołtarza podkanclerzy czytał mszę o Marii Pannie, drugą ksiądz Bartosz o Duchu Świętym, trzecią wtóry kapelan króla o Trójcy Przenajświętszej. Pod mniejszymi namiotami na ustawionych mensach czytano msze żałobne za dusze poległych.

Rycerstwo po wczorajszym dniu, choć na wielu zbrojach znaki kopii widać było świeże, choć wiele tarczy pokaleczonych miało na rękach, choć niejednemu hełm się na głowie nie trzymał dobrze, wystąpiło, jak na święto i do popisu, odczyściwszy żelastwo i dobywszy, co kto miał najlepszego: pasy złoczone, bindy farbiste, łańcuchy i miecze co najozdobniejsze.

Zaraz po ukończonym nabożeństwie, którego całe wojsko słuchało, wiódł król przednie j szych panów za sobą pod wielki namiot, w którym zastawione były stoły do uczy. Ta choć królewską nazwać się mogła dla tych, co w niej uczestniczyli, przepychem się wcale nie odznaczała, a prosta raczej była i niewykwinna, acz krzyżackie wozy dostarczyłyby do niej wyszukańszych zapasów. Pieczone mięsiwa, polewki, placki, piwo, miód i wino na stołach ustawiono. Brał, kto chciał i jak mógł.

U osobnego stołu na podniesieniu siedział Jagiełło mając obok siebie Witolda, mazowieckich książąt i bratanków.

Jako pan łaskawy i ludzki, kazał też do stołu wezwać pobranych w niewolę: Konrada księcia oleśnickiego i Kazimierza szczecińskiego, którzy się wcale do uczy być wezwanymi nie spodziewali, a gdy ich przywiedziono, nie czynił im nawet wymówek żadnych, ani się okazał gniewnym, litując się nad ich upokorzeniem. Obaj oni siedzieli wprawdzie u stołu, lecz się nie odezwali, ani jedli, bo oczy na nich zwrócone ich piekły.

Resztę tego dnia nie poświęcono też odpoczynkowi, wielką bowiem ilość

jeńców należało spisać i rozporządzić nimi, aby wojsku ciężarem nie byli.

Król zasiadł pod namiotem na krześle, gdzie mu każdy jeńców swych

przedstawił, a potem szedł z nimi do pisarzy, których kilkunastu za stołami siedziało i spisywało ich wedle ziem, do której należeli, osobno Prusaków, Chełmian, Inflantczyków, Czechów, Morawców, Ślązaków, Bawarów, Miśniaków, Austriaków, Nadreńczyków, Szwabów, Fryzów, Łużyczan,

Turyngów, Pomorzan, Szczecinian, Kaszubów, Sasów, Frankończyków, Westfalów, bo z tak różnej drużyny składało się owe wojsko krzyżackie po całej werbowane Europie. Najwięcej wszakże pospolitego ludu było ze Śląska i Czech.

Trudno ich w pętach było trzymać lub wieźć za sobą, więc odebrawszy oręż musiano ich zobowiązać przysięgą, że się na św. Marcina w Krakowie stawią przed sędziami i na rycerskie słowo ich puścić niemal wszystkich. Marszałek Zbigniew z Brzezia i podkomorzy krakowski Szafraniec słowo od nich odbierali.

Gdy przyszło do tego stawienia jeńców, przywiódł też kupę swoich Andrzej Brochocki, a między innymi i tego hrabiego Dienheima, który w tarczy godło jego nosił, młodego człeka, ale buty niezmiernej i dzikiego. Tego, co nawet w niewoli się z nim wadził i umysłu był niepokonanego — a pan Andrzej cierpieć nie mógł, iżby kto nosa przed nim zadzierał — chciał sobie pan Brochocki zachować.

— Najjaśniejszy Panie! — rzekł — wszystkimi niewolnikami niech Wasza

Królewska Miłość rozporządza, jako wola i łaska, ale o tego jednego Niemczyisa prosiłbym dla mojej pociechy.

— A cóż z nim poczniesz?

— Nie wiem, może mi zbroiczkę będzie czyścił, ale muszę pacholę nauczyć pokory. Przy tym nosi tarczę taką jak moja, musi być jakieś między nami powinowactwo.

Popatrzył król na chłopaka i ręką skinął, po czym go sobie Brochocki

prowadził osobno. A miał z nim kłopot niemały, bo Niemiec słowa rycerskiego mu dać nie chciał.

Rozmawiali z sobą językiem łamanym, bo Dienheim po polsku, długo u

Krzyżaków siedząc, gdzie różny lud bywał, coś liznął, a pan Andrzej niby po niemiecku umiał. Tyle się więc rozumieli, że gdy jeden drugiego łajał, złościć się na siebie mogli.

— Jakeś mnie wziął — mówił Dienheim — tak trzymaj; ale bym miał słowo dawać, tego nie doczekasz. Gdy będą mógł, ucieknę.

— A ja gdy dogonię, zabiję.

— To się wie — mówił Dienheim.

— Spętać cię każę.

— Jeżeli u was, w waszym rycerstwie, pasowanego się wiązać godzi, rób co chcesz.

I tak po całych dniach się z sobą wadzili, ale Brochockiemu, gdy co do przełamywania miał, aż się

czarne oczy świeciły. Powiedział sobie, że go nie puści, aż spokojnie.

Miał tedy w namiocie na załodze dwie gęby niepotrzebne, bo ksiądz Jana zatrzymał przy sobie i jeńca.

Przed wieczorem tego dnia, gdy ksiądz Jan z pogrzebu w Timbargu powrócił, a Brochocki pod namiotem spoczywał, wszczęta się rozmowa o zbiegłym chłopcu, naprawdę o nieszczęśliwej Ofce, której Dienheim się zrazu nie bardzo przysłuchiwał.

Dopiero, gdy parę razy i nazwisko Noskowej, i imię Ofki wspomniano, począł ucha nastawiać.

Nie zaczepiał wcale w rozmowie nikogo ów więzień i milczał jak pień, chyba mu Brochocki gwałtem słowo z ust wyrwał, tym razem wszakże o Noskową sam się zapytał ksiądz Jana.

— Albo ją znacie? — odparł stary.

— Bardzo dobrze, bom w Toruniu przy Saynie długi czas wojował i przy jego poprzedniku, więc nie ma kamienicy i kąta, który by mi był nieznany.

Coś mu ksiądz Jan na to rzekł krótko, gdy tuż o Ofkę począł pytać, co by się z nią stało, i co by to była za niezrozumiała jej przygoda, o której zasłyszał.

— Patrzcie no — rzekł pan Andrzej — dziewczyna mu w oko wpadła, ani chybi.

Zrozumiawszy to Dienheim się zczerwienił i zamilkł.

Po chwili jednak zagadnął znów ksiądz Jana, który mu pokrótce przygodę opętanej owej opowiedział i biedę, jaką z nią miał.

Dienheim się zamyślił mocno.

— I nie wiecie, co się z nią stało? — spytał.

— W czasie samej bitwy wysliznąć się musiała i przepadła.

Dienheim porwał się z pieńka, na którym u drzwi siedział, mocno poruszony.

— W tej zawierusze — rzekł po niemiecku do ksiądz Jana — łatwo się stać mogło, że ją gdzie jakie ciury ubiły.

Załamano rękę.

Brochocki nań patrzył nie mówiąc nic.

— Znałem ja dobrze pannę Ofkę — mówił Dienheim — zawsze dziwnie była

samowolna i śmiała nad kobiecy obyczaj; nie było w Toruniu ani między

mieszczkami, ani między szlachciankami tak pięknego i roztropnego dziewczęcia...

istny kwiatek. Jeżeli, uchwaj Boże, -zabita, choć chrześcijański pogrzeb by się jej należał.

— A gdzież i kto jej szukać będzie? — rzekł Brochocki.

— Poszedłbym ja — odezwał się jeniec.

— Tak — przerwał pan Andrzej — abyś mi więcej nie powrócił! Z tego nie będzie nic, słowa mi dać nie chcesz, to cię krokiem nie puszcę.

— Na ten raz słowo rycerskie daję, że powrócę.

— A to go zapiekło! — odezwał się Brochocki — ano lepiej bym ja ci

towarzyszył, pojedziemy razem; ksiądz będzie się tymczasem modlił.

Dienheim sam poszedł, aby konie podano, pierwszy raz ofiarując się starszemu z posługą; przyprawiono więc parę świeżych wierzchowców i siadłszy na nie, jechali na pobojuwisko.

Król je właśnie powtórnie z księciem Witoldem objeżdżał, a Bolemiński go prowadził. Ale już miło co było do widzenia, oprócz miejsca i kuł kamiennych, co się gdzieniegdzie głęboko w ziemię zarywszy leżały, bo z ciał znaczna część była zabrana, a drugie spędzeni ludzie składając na wielkie kupy ziemię właśnie przysypywali, aby wystawione na skwar nie zrodziły moru i chorób.

I ta płaszczyna wprzód równa, pokrywała się kopcami mnogimi, wzdłuż jak stało wojsko wznoszonymi, na których, ledwie ludzie odeszli, kruki siadały, czując tam pastwę, którą im odebrano.

Niewiele więc do czynienia miał Dienheim i Brochocki, bo do niektórych kup zajrzawszy i nigdzie nic podobnego nie widząc, a dalej już posypane kurhany, wprędce musieli do obozu powracać. Dienheim zamyślony jechał, ale już jakoś łagodniejszy. Począł go więc pan Andrzej powoli spowiadać, najprzód po co by do Krzyżaków przystał i za nich wojował?

Przyznał się, jakby od niechcenia młody, że mu w domu ze starszym bratem na burgu w Dienheim ciasno było, bo i brat go ciemniżył z prawa pierworodztwa, i bratową miał złą sekutnicę, dla której tam żyć nie mógł; przeto zbroję wdziawszy, jak mówił, na pogany z krzyżem poszedł.

— Na jakież u licha pogany? — spytał pan Andrzej — gdzieś to ty ich widział

i gdzie oni tu są? My tu ich nigdzie nie znamy, krom prawowiernych chrześcijan, jakimi my i lud cały jest.

— Przecież głosił Zakon i powiada po dziś dzień, że na pogan potrzebuje oręża.

— A wyście tak nieświadomi rzeczy, że temu wierzycie? — dodał Brochocki.

— Jeśli tu kto poganinem nazwać się mógł, to chyba ci sami, co nam to imię narzucali, bo pogańska to sprawa cudzą ziemię najeżdzać i cudze mienie łupić.

Na to hrabia nie odrzekł nic, głowę podniósłszy w górę, jakby rozprawiać o tym nie chciał. Brochocki też mówić przestał ze swym jeńcem, którego nazad do namiotu poprowadziwszy dobrym go sposobem namówił, że mu przecie słowo rycerskie dał, iż bez jego wiedzy i zezwolenia się nie oddali.

— Jeśli okupu ode mnie wyglądacie — dodał — omylicie się srodze. Ani brat, ani bratowa grosza za mnie nie dadzą, raczej cieszyć się będą, żem się w pęta dostał.

Rozśmiał się Brochocki.

— Tego u nas obyczaju nie ma, abyśmy szlachcic za szlachcica okup brali —

rzekł — ale dogodzić swej fantazji każdy rad, a ja też mam swoją. Nosisz to samo godło na tarczy, co i ja... musisz u mnie pogościć.

Z tym go już w namiocie zostawił, sam do króla idąc, gdzie się znowu

ceremonia piękna odbywała. Bo, gdy Jagiełło powróciwszy z pola przed namiotem siadł spoczywać, poszli wszyscy z Witoldem i książętami Mazowieckimi, i z ośmiu panami rady wojennej, i przedniejszym rycerstwem dziękować mu za owo

odniesione zwycięstwo.

Do tego powodem był książę Janusz Mazowiecki na Czersku i Warszawie,

któremu się Krzyżacy dali we znaki najezdami, gwałtami i więzieniem, jakie u nich cierpiał, zmuszony dźwigać kajdany. Pierwszy więc on, na kolana padłszy, począł

wielkim wołać głosem, dziękować Bogu i królowi za pomstę nad wiarołomnymi.

— Naddziad mój Konrad — mówił — uwiedziony fałszywą ich pobożnością i

udawaną pokorą, która w istocie była pogańską niecnotą, przyjął ich jak żebraków, przytulił na to, aby te żmije, odgrzane na naszym łonie, spuściznę jego grabiły, a w dumę i potęgę się wzbiwszy, własnych dobroczyńców prześladowały.

Po czym ofiarował się książę Janusz z pomocą i służbą wierną królowi, a za nim i drudzy, nogi Jagiełłowe ściskając, dziękowali mu rozczuleni.

Brochocki też poszedł się przypatrywać obrzędowi temu, a Dienheim, gdy sam na sam z księdzem Janem pozostał, otwarciej go począł rozpytywać o pokrewieństwo z Noskową. Staruszek całą mu swą przygodę opowiedział, nie szczędząc wyrzutów przeciw samowolnemu dziecku, a dziwując się, iż mogło się na takie narażać niebezpieczeństwo.

Kto inny, baczniejszy od księdza Jana, byłby to łącno wymiarkował, że jeniec więcej niż litość dla dziewczęcia okazywał, bo wzdychał mówiąc o nim i oczy mu się zwilżały.

Tak się ten dzień dokończył, a następny też w tym samym jeszcze miejscu się rozpoczął. Jak dzień król wstawszy, ogromną moc ludu rozbrojonego nieopatrznie na słowo puścił, odartych obdarzywszy odzieżą i żywnością na drogę, i cały ten tłum z przewodnikami poszedł ku Osterode, który później Krzyżacy, na słowo nie zważając, nazad do pułków pozaciągali.

Nazajutrz już wojsko ruszyło, aby od pobojuwiska i powietrza się oddalić, ku zamkowi Wysoki Kamień, który nie broniąc się poddał. Nie było też komu przeciw takiej liczbie go osłonić i spotkałby go los Gilgenburga.

Otwarli więc bramy zastępca komtura i garść, jaka tam była, poddając się królowi.

Tu, gdy już późnym wieczorem obóz zataczano, a Witold szedł do swojego namiotu na spoczynek, dano mu znać, iż ksiądz, który uchodził z niewoli od Krzyżaków, czy też z ich ziemi jechał, Polak rodem, mówić z nim pragnie. Więc choć pora była spóźniona, do namiotu go przywieść kazał.

Człowiek był już niemłody, pokornej twarzy i układu, który począł od tego, iż się opiece książęcia oddawał i przypomniał mu, jakoby go w Wilnie miał lub w Trokach widzieć.

Ksiązę Witold wprawdzie ani twarzy, ani człowieka nie pamiętał; lecz

łaskawie go dosyć przyjął i pytać począł, skąd i za czym jechał?

Przyznał się ksiądz Marcin, że uchodził od Krzyżaków, skarżąc się, iż tam w ogóle świeckiemu i innemu zakonnemu duchowieństwu bardzo było ciężko żyć.

— Nie stanie ich tu wkrótce — odparł ksiązę Witold — i inne rządy muszą nastąpić. Król Jagiełło wygna stąd Zakon i sam te ziemie obejmie.

— Dałby to Bóg — odparł ksiądz — chociaż nam, którzyśmy na ich potęgę

patrzeć nawykli, wydaje się to trudnym wielce, nawet po zwycięstwie, jakim Bóg królowi i Waszej Księżęcej Mości pobłogosławił.

— Mająż oni moc jaką jeszcze? Marienburg poddać się musi.

Ksiądz zamilkł.

— Nie wiem — odparł po chwili — lecz zamczysko jest mocne, a bez ludzi nie pozostało.

— Wszystko się nam poddać musi — dorzucił Witold — tak jak dziś

Hohenstein, tylkośmy przyszli. A oto i biskup warmiński posły dziś do obozu wyprawiał, o pokój prosząc i o oszczędzenie ziemi jego.

— I zapewne łaskę tę otrzymał? — spytał ksiądz Marcin spokojnie.

— Nie — rzekł książę — bo i poseł podejrzany, i słowa, które przyniósł; lecz jeśli biskup sam przybędzie do obozu i królowi się podda z ziemią swą...

Ksiądz podniósł ręce do góry, jakby Boga sławiąc.

— Nieodgadnione — rzekł — wyroki Pańskie. Potęga króla Jagiełły rośnie, a nic jej już teraz obalić nie będzie mogło. Wszystkie te kraje ulec mu są zmuszone.

Tu począł się rozwodzić nad wielkością Jagiełły i mówił tak długo, aż na czoło księcia Witolda zmarszczkę wywołał, bo o nim ani wspomniał. Zręczniejsze do niego się nie odnosząc, jako namiestnika królewskiego prosił o wstawienie się.

Witoldowi twarz się zarumieniła.

— Ja namiestnikiem nie jestem, a nie zapominajcie, że bratem i nad moimi ziemiami taką mam moc, jak on nad krajem, w którym panuje.

Ksiądz Marcin posępnie zamilkł.

— Jeśli Wasza Książęca Mość nie jesteście namiestnikiem, przebaczenie

mnichowi, który spraw świeckich nie zna i rozumu do nich nie ma, jeśli nie jesteście, to nim będziecie w przyszłości.

— Ja? — podchwycił Witold.

— A możeż to być, aby taka siła, jaką król Jagiełło uzyska, gdy Zakon obali i ziemie jego zabierze, dała się przy sobie ostać jakiej bądź innej? Wszyscy sąsiedzi namiestnikami zostaną, bo ich zawojuje, gdy Zakonu nie starczy.

Witold się doń żywo odwrócił.

— Więcej jest rozumu w tych słowach, niż wy go sobie przyznajecie — rzekł

— ale pewnie nie z miłości ku mnie je wyrzekliście?

— Wasza Książęca Mość zrozumiesz je, jak zechcesz, jam biedny mnich, ubogi...

I skłonił się pokornie.

Ciągnęła się dalej rozmowa o Zakonie i o jego potędze, po czym książę

Witold, zapewniwszy księdza Marcina o łasce swej i obdarzywszy go, odpuścił.

Ponieważ pisarze królewscy jeszcze zajęci byli, bo król nowych gońców wyprawiał, po pierwszych z chorągwią św. Jerzego i listami do królowej wysłanych, wskazano księdzu namiot dworski, aby tam z innymi duchownymi mógł spocząć.

Uczylił to ksiądz Marcin, a że po polsku mówił dobrze i dawnym

benedyktynem się z Łysej Góry opowiadał, mile go tu przyjęto. Starając się ze wszystkimi zaprzyjaźnić, ując kogo mógł, począwszy od podkanclerzego, ofiarując też posługi swe do pióra, jeśliby ludzi brakło, wnet się tu znalazł jak w domu i rozgościł. Nazajutrz już mszę świętą odprawiał w kaplicy dworskiej i z księżami, jakby od dawna znajomy, poufale obcował. Radzi mu zaś byli wszyscy, bo wiele umiał o Krzyżakach opowiadać i zda- wał się ich z duszy serca nienawidzieć.

Nazajutrz, gdy ten i ów dalsze ciągnięcie na Malbork doradzał i do pośpiechu naglił, ksiądz Marcin wymownie bardzo umiał dowieść, iż bynajmniej śpieszyć się nie ma czego, bo nieprzyjacieli spłoszony i wylękły i za miesiąc nowych sił zebrać nie potrafi, a wojsku po zwycięstwie wczas i wypoczynek się należał. A że to i innym dogadzało, słowa więc księdza Marcina rozeszły się po obozie i wielce się do tego przyczyniły, iż postanowiono wolnymi kroki, a małymi dniami iść, zabierając zameczki po drodze, które król rycerstwu swojemu oddawał.

Popłoch w kraju był taki, iż się najwarowniejsze grody, nawet nie broniąc i nie próbując ostać, jedne po drugich zdawały, niektóre naprzód wysyłały posłów swych, dobrowolnie klucze śląc i prosząc o załogi.

Nie wojna to już była, ale pochód zwycięski, który serca radował i podnosił.

Dawszy więc wojsku spocząć pod Wysokim Kamieniem, pociągnął Jagiełło

nad Jeziorem Husteńskim, rozbiwszy obóz w niewielkim oddaleniu od Morąga.

Ksiądz Marcin też, znać do czynienia nie mając nic, z pisarzem króla i kapelanami dalej ciągnął, przenosząc, jak mówił, bezpieczną tę podróż za obozem nad puszczenie się w drogę, po której rozproszonych jeńców, zbiegów i wszelkich ciurów, do napaści skłonnych, kupy się wszędzie włościły.

Tu pod Morągiem Witoldowy gniew się wywarł na jeńcach krzyżackich.

Byli pomiędzy nimi dwaj starsi komturowie, Salzbach i Szomberg, którzy niegdyś na zjeździe pod Kownem niepoczciwymi słowy matkę księcia zelżyli. Gdy ich na placu wzięto pod Grunwaldem, chciał książę zaraz ich dać pościnać, Jagiełło się oparł. Wraz z innymi znakomitszymi brańcami prowadzono ich za wojskiem. Tu pod Morągiem stojąc, Witold, gdy obozy objeżdżał, natrafił na siedzących na ziemi dwóch nieprzyjaciół swych i konia zatrzymawszy, a podniósłszy rękę zawołał na Salzbacha:

— Widzisz, dumny mnichu jakiś, dostało ci się na coś zasłużył, idziesz w moich pętach.

— Myślisz, że mnie to trwoży, albo odmieni? —: odparł Salzbach — prosić cię dlatego i kłaniać ci się nie będę! Co mnie dziś spotkało, jutro może spotkać ciebie.

Jest na Marienburgu Witoldowa jama, może czeka na dawnego mieszkańca.

Ostrymi tymi słowy rozjątrzony Witold pobiegł zaraz do króla zaklinając się, iż precz odciągnie, jeśli dumy tych ludzi nie ukarze.

Jagiełło zmilczał.

Tegoż wieczora, wyprowadzonych za obóz Witold, z dala na koniu stojąc, obu ściąć kazał. Poszli na śmierć milczący i głowy ich padły. Książdz Marcin z dala na to patrząc pobladł, ręce złożył, ale nie rzekł nic.

Następnego dnia zbliżył się obóz do miasteczka i zamku Morąga, który mógł się bronić, bo i mury miał bardzo mocne, i dokoła przepaścistymi otoczony był

błotami i bagnami. Posłał Jagiełło na rozpatrzenie położenia Andrzeja Brochockiego, który ze sobą wziął garść żołnierza; lecz zaledwie na groblę wiodącą ku zamkowi wyjechali, nad bramą ukazała się chorągiew biała i z wrót wyjechało kilku konnych, którzy zamek zdać ofiarowali. Tych zatrzymawszy, Brochocki zawrócił sam, aby wziąć u króla rozkazy. Król właśnie z konia miał zsiadać, gdy nadbiegł.

— Morąg się poddaje — zawołał pan Andrzej.

Lice się rozjaśniło Jagiełłę.

— To go Wasza Mość sobie weź i w nim siedź — rzekł — a trzymaj się, abyś mi go nie puścił. Daję ci go w dzierżawę.

Skoczył pan Andrzej z konia tą niespodzianą łaską uszczęśliwiony, aby nogi królewskie ucałować.

Nie był to pierwszy zamek w dzierżawę dany, gdyż Wysoki Kamień dostał się Dołędze Kretkowskiemu, a później inne Mroczkowi z Łopuchowa i

Wielkopolskiemu, który w tarczy miał Laski.

Musiał, podziękowawszy panu, zawracać Brochocki zaraz, poczet swój cały z sobą zabrawszy, aby zamek objąć. A była rzecz niemałej wagi, nie zabrać co się dobrowolnie zdawało, lecz siedzieć wśród ziemi jeszcze niepodbitej i utrzymać się.

Ci co królewskie wyrazy słyszeli, jęli panu Andrzejowi wieszować; on choć się śmiał, a łaską nie gardził, niemal frasować się musiał, zamku bowiem nie znał, a z poddania się jego raczej źle niż dobrze o nim mógł wróżyć.

Inaczej się jednak okazało.

Gdy rozbrowiwszy tych co naprzeciw wyszli i wysławszy ich, aby reszta złożyła broń, wjechał

Brochocki po spuszczonej moście na zamek i jął się po nim i okolicy rozglądać, serce mu rosło. Zimową chyba porą, gdyby trzęsawiska mrozy

wstrzymały, łatwiejszym mógł być do zdobycia; w lecie doń przystępu nie było z powodu bagien, a grobla łatwo rozerwana i broniona być mogła.

Załogi w Morągu szczupłe się znalazło: dwóch zakonników, knechtów

niewielu i ochotnika z miasteczka. Tych wszystkich, z wyjątkiem Krzyżaków, jako jeńców oddał pan Andrzej do obozu, sam ze swoimi do nowego zabierając się gospodarstwa. Było na murach i dział kilka, i spichrze, a komory zapasów różnych pełne. Przeżegnał się na most wstępując Brochocki, ale poza siebie spojrzął smutnie bo mu wojska i towarzyszków żal było.

Nie zastał pan Andrzej w Morągu, jak później Mroczek w Pruszmorgu,

klejnotów i kosztowności, ani takich zapasów jak w Dzierzgowie w kilka dni potem Jagiełło; miał przeciw czym łzy otrzeć, po towarzyszach swych płacząc, gdy nazajutrz wojsko dalej pociągnęło. Na zamku urządzone było wszystko po krzyżacku, z pozoru ubogo i mniszo, rzeczywiście wygodnie i dostatnio.

Obejrząwszy się po kątach, wszystkiego było dosyć: żywności w spichrzach, choćby kilka miesięcy trzymać się przyszło, w składzie sukna dla żołnierzy pod dostatek, spiżarnia obficie wyposażona, w lochu kilka beczek wina i miodu, sprzęt wszelki.

Gdy nazajutrz po zamku jeszcze chodząc, a kąty opatrując, świeżo zamazaną ścianę spostrzegł i z zamurowania czegoś się domyślając odbić ją kazał, znaleziono też grosza niemało, srebra, złota i klejnotów, a łańcuchów pięknych, które się na podarki przydać mogły.

Miasteczko też było niczego i tegoż wieczora przyszła się starszyzna pokłonić coś niosąc na misach. Tym pan Andrzej przez tłumacza zapowiedział, iż jak dla posłusznych i dobrych potrafi być ojcem, tak, gdyby w konszachty jakie z Krzyżakami wdawać się, a do niepokoju jakiego mieszać się chcieli, ukarać surowo potrafi. Po czym ukazał im na murach działa i dodał, że nieprzyjaciela się nie spodziewa, lecz na miasteczko je obrócić każe, gdyby mu nieposłusznym być chciało.

Nikt tam o tym nie myślał naówczas, gdyż zamki z kolei ogołoczone z

żołnierza, jedne po drugich się poddawały.

Szło więc wszystko jak z płatka. Ludzie, których z sobą pan Andrzej wziął, choć ich garść była nie tak znaczna, dobrani byli, doświadczeni i mężni, a starczyli na obsadzenie zamku, który raz zajawszy i strażę ustawiwszy, spać było można spokojnie.

Wziął też z sobą Dienheima Brochocki, a ksiądz Jan, znużony drogą i nie wiedząc, co czynić z sobą, zgodził się na to, by w Morągu odpocząć, póki o Ofce jakiej nie powziął wiadomości. Dienheim się pewnie niemniej o nią i jej los nad staruszką kłopotał, lecz zdawało się niepodobieństwem dostać języka, chyba w Toruniu, do którego sam ksiądz Jan nie wiedział spełna, jak teraz mógł się przebrać.

Była to właśnie niedziela, gdy odciągające wojsko pożegnawszy na zamek swój wrócił pan Brochocki. Poszedł więc do kaplicy, która przy zamku stała i pięknie była urządzona, choć szczupła, aby mszy świętej wysłuchać, bo z nią ksiądz Jan na niego czekał. Ludzie z załogi i Dienheim zebrali się też w kaplicy na nabożeństwo, a do odprawienia go niczego nie brakło, bo nie mieli czasu ruszyć zakrystii Krzyżacy i wszystko było w pogotowiu.

Dienheim smutno przy drzwiach stanął i nie modląc się prawie, przypatrywał

się tej dziwnej losu zmianie, której pojąć nie mógł. Lat kilka wojując z zakonnikami, jako półbrat napatrzył się ich zamożności i nadziwił potęgą, nagły upadek zdawał

mu się jakby snem i niepodobieństwem.

Po nabożeństwie poszli znowu zamek oglądać, w którym starym obyczajem

komórek, schowków, dziur, cel i różnych zatajonych izdebek było pełno. Wszędzie się jeszcze jakiś ślad życia znajdował i zamożności, a wiele rzeczy tajemniczych i niezrozumiałych; chociaż prawdopodobnie wywieziono i rozchwymano wiele, znalazło się i tak dosyć sprzętu, naczyń i broni.

Gdy obszedłszy mury dokoła mieli powracać na górę, gdzie były komnaty

dawniej komtura i starszyny, a dziś nowego dzierżawcy, Dienheim dostrzegł

stojącego na dole przy schodach człowieka, który się Brochockiemu do ziemi prawie kłaniał. Gdy głowę podniósł, ujrzał taką poczwagę, że rycerz, co się nie zwykł był

niczego w świecie lękać, o mało się przed nią nie cofnął.

Była to jedna żywa pozostałość po Krzyżakach, człek mały bardzo, karłowaty, gruby, na krótkich nogach z ogromnymi stopami, z rękami długimi, nadzwyczajnych rozmiarów dłoni i palców, z głową nad zwykłą wielkość rozrosłą, okrytą szpecinowatym krótkim włosiem. Twarz jego żółta, z nosem dużym i szeroko rozwartą gębą, w części okryta była takim samym zarostem twardym jak głowa, uciętym też krótko i sterczącym ostro na brodzie, wąsach i policzkach. Odziany w kubrak szary, pasem skórzanym obciągnięty i chodaki mając sznurami

poprzywiązywane, znać wydobył się z popiołów i pieca, bo cały był jeszcze osmolony.

Zobaczywszy go pan Brochocki zapytał, co by za jeden był.

Chociaż bardzo popsutym językiem, obżałowany powiedział, że był

glockmeistrem przy zamku, że tu od dzieciństwa się wychował i że się zaczął, aby w nim pozostać, i prosił, by mu wolno było nowym panom służyć, zwłaszcza że nie z niemieckiego pochodził rodu.

— A może bym się na co i przydał — dodał — bo ja tu wszystkie kąty znam i nieraz różne pełniłem obowiązki. To mówiąc śmiał się.

— Byłem backmeistrem i kornmeistrem, i fischmeistrem, choć nigdy do

Zakonu nie należałem i ani na pół, ani ćwierć bratem nie byłem.

Ruszał ramionami, kłaniał się ciągle i z ogromnej swej stopy jednej na drugą przechylał się, jakby na miejscu wytrwać nie mógł.

Brochocki, namyśliwszy się, zostać mu przy kuchni dozwolił, zlecając rąbanie drew i noszenie wody.

Pokłonił mu się aż do stóp stary dzwonnik i dodał:

— Kiedy już Wasza Miłość tak miłosierny jest, to się chcę odwdzięczyć. Czy Wasza Miłość zna wycieczkę zamkową?

Wszystkie naówczas zamki, na wypadek ostatecznego niebezpieczeństwa,

miewały urządzone, dobrze ukryte wycieczki, a właśnie tej na zamku Brochocki odkryć nie mógł, kazał ją sobie pokazać.

Ogromnymi krokami przodem poszedł dzwonnik do narożnej wieży, w której był skład broni. W izbie tej na pierwszy rzut oka nic widać nie było. W podłodze pod ławą ciężką uchylała się posadzka i wąskie schodki wiodły stąd ciasnym przejściem aż do miasteczka, gdzie w ratuszowej izdebce schodami się ono kończyło.

Wkupiwszy się tym odkryciem, dzwonnik powlókł się jeszcze za Brochockim, różne rzeczy opowiadając, aż do schodów znowu. Tu mu się polecił, oznajmiając, że go dawniej Krzyżacy zwali Pilzem, bo jak grzyb wyrósł na murze zamku i rodziców swych nie znał, a na imię mu było Abel. Ukłoniwszy się do nóg, pozostał na dole.

Dienheimowi też nie chciało się w izbie zamykać i zatrzymał się dla rozmowy z tą dziwną figurą, w które} się domyślał skrytego przyjaciela, a może szpiega Krzyżaków. Zawiązał więc z nim, albo raczej usiłował zacząć rozmowę, oznajmując naprzód, że był jeńcem wojennym.

Nieufny Abel nie miał ochoty wdawać się w żadne stosunki zrazu, udawał, że mu spieszno drzewo do kuchni przysposabiać. Tymczasem jednak pilnie się przypatrywał Dienheimowi i słuchał, co mu rozpowiadał, na większą część pytań jednakową zawsze dając odpowiedz, iż mało co. albo nic nie wie; znudziło to w końcu Dienheima, który na mury wszedł dla przechadzki i stamtąd miasteczku się przyglądał smutnie. Ocalone od pożaru i grabieży, którym by niechybnie uległo, gdyby zamek się był nie poddał, wydawało się stąd dosyć zamożne i porządne. Życia w nim jednak mało znać było, bo się mieszkańcy z obawy załogi nowej pochowali i siedzieli nie ukazując nawet na ulicach. Do studni w rynku, kiedy niekiedy wybiegłszy z domu, oglądając się dokoła śpieszyła dziewczyna, zaczerpywała wody i uchodziła spieszenie, drzwi zatraskując za sobą. Gdy tak po murach się przechadzając dumiał Dienheim, z miasta wyszły dwie zakwefione kobiety i drogą, która szła pod watami zamku, widać wyniść chciały za groblę, a może dalej w świat; ale żołnierz stojący na straży wstrzymał je i zawrócił, bo dnia tego jeszcze nikomu z miasta, ani kobiecie, ani mężczyźnie, oddalać się nie pozwalano, aby do innych zamków krzyżackich nie dano znać o nadciąganiu wojsk królewskich.

Kobiety, jak z ubioru wnosić było można mieszczanki z Morąga, chciały

spiesznie powrócić nazad, gdy żołnierz im stać kazał grożąc, że strzeli, i czekać, ażeby się z nimi wysłany kto nie rozmówił. Obawiano się, aby jakich listów nie niosły.

Chociaż kobiety miały zakwefione twarze, postać jednej z nich, młodszej jak się zdawało, uderzyła mocno Dienheima. Głowę mając nabitą wspomnieniem Ofki, zdawał się w ruchach i postawie znajdować do niej jakieś podobieństwo.

Właśnie dano znać o tym panu Brochockiemu, gdy i Dienheim nadszedł,

ofiarując się sam kobiety wybadać i przynieść o nich wiadomość. Niewielką przywiązując wagę do tego wypadku, pan Andrzej zgodził się posłać swojego jeńca.

— Najlepsza będzie rzecz — rzekł — przyprowadzić je tutaj, a ja się już sam od nich prawdy dowiem.

Kobiety niezmiernie przelękłe stały u murów, straż mając nad sobą z

wymierzonym samopalem dla postrachu, gdy Dienheim nadbiegł.

Młodsza z nich odwróciła się nagle, zoczywszy go i nie chcąc mieszać do rozmowy, a starsza sama podeszła, lamentując.

— Miłościwy Panie — rzekła — cóż słabe kobiety złego wam uczynić mogą?

Szłyśmy niedaleko do cudownej figury się pomodlić za stawem. — Wskazała ręką.

— Oto tam, gdzie te drzewa stoją.

— Iść dziś nikomu nie pozwolono — zawołał Dienheim usiłując się

ukrywającej przypatrzeć. Ale ta zwróciła się twarzą osłoniętą ku stawowi, a była tak w chusty obwinięta, iż oprócz oczu nic spod nich widać nie było.

Jeszcze to więcej rozbudziło ciekawość Dienheima.

— Należałoby — zawołał — abyście poszły się tłumaczyć do dzierżawcy na zamek.

Kobiety się pomieszały, spojrzały na siebie.

— Ja tam mówić z nim nie potrafię — rzekła starsza — a co ja mam

powiedzieć?

— Takie jest przykazanie jego — odparł Dienheim — alem ja sam jeńcem, żal mi was, a tych, czyja siła, słuchać i szanować trzeba.

— No, to ja pójdę sama do niego; po cóż bym to dziewczę, córkę moją,

między żołnierzy prowadzić miała? Ona sobie do miasta powróci.

Zrazu chciał się Dienheim upierać przy swoim, ale go starsza kobieta tak prosić zaczęła, że uległ i młodszej odejść dozwolił. Przypatrując się, jak żwawo nazad do miasta uchodziła, przypomniał sobie biegającą po Toruniu Ofkę i podejrzenie jego nie tylko się nie zmniejszyło, ale nawet urosło.

W czasie, gdy pod murem szli, a żołnierza wyminęli, Dienheim miał zręczność przybliżyć się do starej kobiety i szepnąć jej: — Jeżeli ta dziewczyna, co wam towarzyszyła, z Torunia jest, co mi się zdaje, a nazywa się Ofka Noskówna, powiedzcie jej, że wuj, czy stryj jej ksiądz, który za nią goni, na zamku się znajduje; że w zamku dowodzi Brochocki; i że w niewoli jest ten, komu rok temu dała pierścionek, a w miesiąc go potem odebrała.

— Ale co się wam śni, miły panie — oparła się mieszczka — to córka moja Tekla, która nigdy w Toruniu nie bywała i nikomu pierścionków nie dawała.

Nie miał już czasu odpowiedzieć Dienheim, bo we wrota wchodzili, gdzie straż polska stała, a w dziedzińcu na schodkach Brochocki.

Mieszczanka weszła kłaniając się i tłumacząc. Ostrożny pan Andrzej kazał jej przysięgać, że papieru nie miała i do Krzyżaków nie szła; zapowiedział groźnie, że do trzech dni z miasta nikt się oddalać nie ma prawa i wylekła odpuścił.

Dienheim ją wywiódł za bramę i dopiero gdy żołnierzy minęła, powrócił na zamek. Ofka mu w głowie i sercu tkwiła.

Brochocki, który dosyć młodego chłopaka polubił i widział go coraz

łagodniejącym, bo Dienheim z nim się obywszy nie tak mu ostro stawiał się jak wprzód, posługiwał się nim po trosze.

Wieczorem opatrzywszy mury i strażę, kazawszy podnieść most i spuścić

brony, zabrawszy klucze, gdy ognie były powygaszane, poszedł spać dowódca i Dienheima do jego celi zapędził. Z dała na ciemnym niebie świeciły luno, nie dało to spać jeńcowi; paliło się gdzieś na siołach, którądy wojska ciągnęły.

Nazajutrz rano z nałogu dzwonnik na jutrznię wydzwonił, choć do chóru nie było komu iść. Wdzięczny za to tylko był może ksiądz Jan, który zaraz do kaplicy na modlitwy pośpieszył.

Nikt nie sprzeciwiał się staremu Ablowi, aby wedle zwyczaju godziny

nabożeństwa wydzwaniał, śmiano się tylko z jego głupoty, iż tego rozumieć nie chciał, że to już wcale nie było potrzebne, gdy na prymę, tercję, sekstę, nonę, nieszpór i kompletę nikt nie chodził. Tak był znać nawykł do starego porządku, iż co chwila do niego powracał machinalnie, wzdychając tylko, gdy przypominał sobie, iż nie było nikogo z braci, co by regułę zachował.

Abel sam się ofiarował za sługę dla Dienheima i z rana do celi jego zapukał

mięsę niosąc z wodą i dzban cynowy. Ustawwszy to, sam w progu się wstrzymał, oglądając dokoła, i chrząkał.

Spojrzał nań jeniec i zobaczył, że mrugał nań tajemniczo, śmiejąc się w sposób odrażający. Dał mu znak, ażeby przystąpił.

— Macie mi co powiedzieć?

— Nie — mruknął Abel — tylko tak, ot tak... od siebie. Jeżeli wam z zamku wychodzić wolno, czemuście nie poszli na miasteczko, kiedy... hm... na przykład dziś po południu.

To mówiąc ręce w tył założył.

— Ot tak, ręce w tył założywszy, aby chodzić. Miasteczko czyste, ładne.

Mogłaby was wczorajsza matrona zobaczyć, toby was zaprosiła, miód mają dobry.

Zniżył głos, pokłonił się spiesznie i odpowiedzi nie czekając oddalił się.

Dienheim zamyślił się; ciekawość go niezmierną paliła i już tylko czekał

prędkoli się popołudniowa godziny dobije. Ledwie słońce wschodziło! Dzień wydać mu się musiał długim do nieskończoności.

Ksiądz Jan domagał się u Brochockiego, aby go zwolnił, chciał iść pieszo; ale dowódca go wstrzymywał, raz, że duchownego mieć pragnął, po wtóre, iż mu starca samego puszczać żal było. Ściągał więc, namawiając, by czekał, aliści wiadomości jakiej i języka nie dostaną. Brochocki dowodził z pewnym do prawdy

podobieństwem, iż dziewczę szalone, wmieszawszy się nieostroźnie w tłum walczący, polec w nim musiało.

Dzień upłynął dosyć nudnie, bo na zamku nie było co robić. Opatrywano broń w arsenale, która była cała dla knechtów przeznaczona, bo nic paradniejszego w zbrojowni nie zostało. Tę więc rozdawał pan Andrzej między swych ludzi, którzy lżej byli zbrojni.

Dienheim zażądał pozwolenia, aby mógł choć miasteczko obejrzeć, a że słowo był dał, Brochocki nie bronił.

— Proszę tylko waszmości — dodał — ani z mnichami, którzy tam może

gdzie się jeszcze kryją, ani z babami mi się nie wdawaj, jedno i drugie niebezpieczne.

— A cóż Waszej Miłości baby szkodzić mogą?

— Mnie one nic już, dzięki Bogu, nie zrobią, ale wam — odparł pan Andrzej.

— Ja się ich nie lękam — śmiejąc się rzekł Dienheim.

— Dowiedziona to rzecz, że czary mają, a jak słyszę, czarownic gorszych nie ma i nie było nad pruskie.

Dienheim ramionami ruszył.

Z południa tedy wyszedł z zamku i też samą drogą, którą wczoraj kobiety przechodziły, rozglądając się powoli, niby dla rozrywki i przechadzki tylko, powlókł

się ku środkowi miasteczka.

Porządne ono dosyć było i zamożne, a pod ten czas i ludniejsze niż zwykle, gdyż w nim z okolicznych wsi dużo się zbiegło wieśniaków, którzy się tu schronili.

W ulicach jednak mało kogo spotkać było można. Mały ratusz wznosił się przy rynku; przypatrywał mu się właśnie Dienheim, gdy okno otworzyło się w domu nieopodal i wczorajsza znajoma powitała go. Była to niewiasta lat statecznych, znać dostatnia, ubrana czysto, we wdowim czepcu. Jeszcze się jej nie miał czasu odkłonić, gdy skinęła, aby do niej zaszedł, uprzejmie ręką zapraszając.

Wstąpił tedy ku drzwiom i na schody, a tu już na górze czekała go jejmość i obiema rękami witała, wskazując izbę. Wszedł tedy pokłoniwszy się jeniec.

Nie było to mieszkanie bogato przystrojone, ale też nie biedne. Izba

malowana, ławy i stołki do siedzenia, stół na toczonych nogach, stołków kilka z poduszkami, a na oknie trochę zieloności.

Prosiła go zaraz siedzieć, wzdychając i poczynając od uzaleń nad ciężkimi czasy.

— Przeszliśmy — rzekła — spod panowania zakonników pod żołnierskie. Nie wiem czy lepiej nam będzie. Z tamtymi się już człowiek obył i miał środki ulżenia sobie, a ci nowi, głodni, dadzą się we znaki; ale Bóg litościw, to niedługo potrwa.

Dienheim nie odpowiadał. Ciekawość go największa brała o wczorajszą tę mniemaną córkę jejmości, lecz o nią pytać nie śmiał. Oczyma więc rzucał tu i ówdzie, wdowa śledziła jego wejrzenia.

— I was wzięto w niewolę — odezwała się. — Pan Bóg wie, kiedy się z niej wydobędziecie. Słyszę, naszych panów, nawet komturów, dużo pościnali. Nie może być, aby Pan Bóg za to nie wziął zemsty.

Westchnęła.

Już Dienheimowi na niecierpliwość się zbierało, gdy mieszczka uśmiechając się poczęła:

— Skądże to Waszej Miłości przyszło wczoraj o jakąś toruniankę mnie pytać?

Czyście to pamięć tak wierną dla niej zachowali?

— Gdyby ona choć w dziesiątej części tak o mnie pamiętała, jak ja o niej —

zawołał Dienheim — ale to trzpiot dziewczyna. A gdzież córka wasza, Tekla? —

dodał po chwili.

— Chcielibyście ją widzieć? a po co? — zapytała mieszcza. — Wy panowie grafowie, żaden z was mieszczańskiej córki nie weźmie, tylko byście je bałamucili.

Wszakże grafem jesteście?

— Tak, moja jejmość — rzekł Dienheim — tylko grafstwo moje ani chleba mi nie da, ani mięsa; muszę na niego zarabiać mieczem i kopią w służbie.

Począł więc, widząc, że się tu więcej niczego nie doczeka, zbierać się do wyjścia, gdy drzwi boczne się otworzyły powoli... jakieś jedno oko przez szparę zaczęło badać izbę i po chwili w progu ukazała się Ofka.

Poznałby ją wszędzie Dienheim, bo był głowę dla niej postradał, ale stanął

osłupiały, tak zmienione znalazł to śliczne i świeże dziewczę. Świeciły się jeszcze oczy, blaskiem większym może niż za dawnych swobodnych czasów, ale różowa twarzyczka pobladła, wpadły policzki, usta zsiniały. Patrzała nań smutnie. Weszła powoli z izdebki drugiej, kłaniając mu się z dala.

— Poznaliście mnie, panie grafie — rzekła, ano nie wiem jak i po czym, bo i z odsłonioną twarzą jam do siebie niepodobna. Patrzcież no, patrzcie, co się stało ze mną! Ot, jakem zbiedzona i nędzna.

— Jeśli prawda, co mi opowiadano — odezwał się Dienheim — to tylko dziw, żeście życiem nie przyplęcili, bo w obozie was za zabitą miano i my z księdzem Janem, wujem waszym, ciała waszego szukać jeździliśmy.

Uśmiechnęła się Ofka.

— Prawda — rzekła — puściłam się na szalone sprawy, ale jakże patrzeć na to, co się działo i nie rozpaść się gniewem, a gniewem pałając z założonymi siedzieć rękami.

— A na cóż się to zdało, żeście siebie poświęcili, gdy daleko większe siły Zakonu ratować nie mogły? Padł on pod Grunwaldem.

— Zakonnicy, nie Zakon! — odezwała się Ofka. — Zakon nie może paść! Nie może i nie padnie! Wszystko, się odmieni, Zakon ma złoto i opiekunów. Węgrowie pojechali do Gdańska po to złoto, które Zygmunt kupi. Najedzie ziemie Jagiełły, który na ratunek swojego kraju śpieszyć będzie musiał,

a wówczas z całej Europy zbierzemy żołnierza, najedziemy jego ziemię i pomścimy się za naszych braci!

Dienheim słuchał, jak z coraz większym zapałem mówiła Ofka.

— Daj Boże, by tak było — rzekł — ale ja nie wiem, czy tak będzie, lada godzina Marienburg zabiorą.

— Nigdy! — odparła dziewczyna. — Plauen już tam jest ze swymi ludźmi

znad granicy. Są tam ci, co zbiegli tego dnia nieszczęśliwego. Jagiełło się spóźni i nie będzie go miał, nie będzie.

Nagle zwróciła się ku niemu.

— Mój wuj jest tu? — zapytała.

— Wstrzymuje go Brochocki.

— On na zamku panem?

— Król mu go dał dzierżawą.

Dziewczyna się zadumała.

— Musicie mi pomóc, abym się stąd wydobyła — rzekła. — Zakon potrzebuje usługi od sióstr równie jak od braci, ja tu pozostać nie chcę, nie mogę.

— O! — zawołał Dienheim składając ręce — gdybym słowa rycerskiego nie dał, uciekłbym sam z wami.

— A komuście je dali? — zapytała Ofka.

— Temu, co mnie wziął w niewolę.

— Oni słowa nie trzymają — przerwała gorąco Ofka — im go też nie ma potrzeby dotrzymywać.

— Tak, ale słowo rycerskie sobie samemu zachować trzeba, kto się zniesławić nie chce.

Ofka popatrzała nań i siadła, wskazując mu siedzenie. Mieszczka słuchała rozmowy z podziwem nad dziewczęciem i ustami otwartymi.

— Pomożecie mi do ucieczki? — spytała.

— Uczyniłbym to z serca, gdybym was jak dawniej nie miłował — odezwał

się Dienheim — nie mogę was wystawiać na daremne niebezpieczeństwo. Co myślicie? powiedzcie mi. Nie lepiejże byłoby oddać się wujowi i powrócić do matki?

Z siedzenia się porwawszy, dziewczę dłonie białe załamało spuściwszy je.

— A! tak! tak... wrócić do matki, kądział prząść i śpiewać piosenki, i zaplatać włosy, i uśmiechać się do mazowieckich niedźwiadków. A tak! tak! — wołała — to by było najlepiej. Ale ja siostra, ja do Zakonu należę, ja za niego krew dać powinnam.

— I cóż ta krew pomoże? — spytał Dienheim.

— Tam, gdzie sto tysięcy ludzi nic nie czyni, tam mały robak coś może, gdy wola Boża z nim.

Dienheim się rozśmiał, a Ofka oburzyła.

Mnie teraz nie do matki, do Torunia potrzeba; oni na nasze miasto najadą i gotowi je zabrać także, Toruń nie ma tej co Marienburg obrony.

— Na miłego Boga — przerwała dotąd w milczeniu słuchająca mieszcza —

co«'wam też w głowie? Cóż wy potraficie tam, gdzie tyle i takich mężów, i taka mądrość i siła.

Ofka nie zdawała się ani słuchać, ani zważać na słowa mieszcza; przechadzała się po izbie.

— Złapałam się tu jak mysz w pułapkę — rzekła zamyślona. — Jechałam z

Malborka do... nie wiem sama dokąd... ale miałam rozkazy, trzeba było uwolnić Salzbacha; byłabym go wyrwała z rąk... a tu mnie ta nawała na tym Morągu zachwyła.

— Toć znak, że wam się wyrzec należy wszelkich myśli próżnych — odezwał

się Dienheim — a wracać.

Ofka tupnęła nóżką, by zamilkł. Twarz jej posępna rozjaśniła się, uśmiechnęła, głos złagodniał.

— Grafie mój — zawołała — dam ci znowu pierścionek, daj mi wolność.

— A z pierścionkiem serce? — spytał Dienheim.

— U mnie z sercem i ręka chodzi! — rzekła wpół cicho — tyś graf.

— Będiesz żoną moją? — zawołał w zapale młody chłopak. — Nie mam z

rodziny, tylko jednego brata. Wygnał mnie prawie z domu, ani posłuszeństwa, ani miłości mu nie winienem! Zbierzemy ludzi, zdobędziemy Dienheim; ja tam znam ścieżkę każdą, będziesz na Dienheimie królową.

— Z kądziołką w ręku, na pustym zamku! — roześmiała się Ofka. — Nie, ja tego nie chcę. Widzicie,

wy koło pieprzu i szafranu nie wytrzymacie w Toruniu, zbroi się wam zachce i harców, a ja na Dienheimie nie wytrzymam ze stadem gołębi i gromadą kruków na wieży.

Stał Dienheim milczący.

— Pół roku ty dla mnie, pół ja się będę męczył dla ciebie. Bóg świadek, ożenię się z tobą.

Mieszczanka słuchając to sobie oczy zakrywała, to klaskała w dłonie, to się odwracała do ściany, to znowu zwracała ku dziewczynie i rycerzowi.

— Grafie mój! — zawołała Ofka — czy myślicie, że ja tak chcę być wielką panią? żeby mi kluto w oczy, żem prosta mieszczanka; żeby mi pan brat okazywał

wzgardę, a pani bratowa nienawiść?

— Ależ ja was za wszystkich miłować będę — rzekł Dienheim. Roześmiało się dziewczę, lecz bez czucia i radości.

— A, dobrze! ślubu dziś nie weźmiemy — poczęła żywo — a potem zobaczymy! Naprzód mnie stąd uwolnić potrzeba.

— Dokąd?

— Do Torunia! do Torunia! — wołało dziewczę — ja tam być muszę.

— Lecz czy się tam dostaniemy? W tamtą stronę poszły wojska Jagiełłowe.

— Przekraść się trzeba, by je wyprzedzić. Dienheim przestał mówić widząc, że nie przemoże szalejącego dziewczęcia. Mieszczka stała osłupiała.

Nagle Ofka odwróciła się do jeńca i pochwyciła go za ręce obie.

— Tyś mnie gotów zdradzić i wydać wujowi! — zawołała — tobie chodzi o żonę bogatą.

Dienheim się oburzył.

— Tak — rzekł — o żonę, ale nie o bogactwa twoje, i tych wyrzec się jestem gotów.

Znowu dziewczę w oczy mu popatrzało długo i, jakby wywarłszy swą potęgę nad nim, rzekło śmiało:

— Jak stąd uciekać? Droga jedyna prowadzi pod zamkiem, tamtędy nie można, schwytać nas mogą.

— Tak jest, tamtędy chodzić nie wolno.

— Przez błota i moczary czółnem? wszak muszą być rybacy? wszak czółna się znajdują?

— A za moczarami i stawy? — zapytał Dienheim — tam kraj cały już Jagiełłę poddany; zamki w jego rękach, mogą nas pochwycić.

— Niech pochwycą — rzekła zamyślona — i to by nie było źle. Jagiełło by mi przebaczył, wzięłby mnie znowu do dworu, bo mu pewno nie powiedzieli, kto jestem... Trzeciego dnia wpuściłabym mu kroplę do pucharu i Malbork byłby wolny.

Dienheim i mieszcanka milczeli z przerażenia słysząc te wyrazy, które za szaf brali. Ofka istotnie była jak nieprzytomna. Łamała ręce i chodziła po izbie.

— A! a! — rzekła — nierychło wrócą nasze dobre czasy, gdy Zakon rósł i panował, i sławił się; gdyśmy pod jego opieką siedzieli spokojnie, a nogą jedną stali na piersi Jagiełłę, drugą na brata jego głowie. Witold nas słuchał, Mazowieccy się nam kłaniali; Ulryk wszystko zgubił!

— I sam zginął — rzekł Dienheim — lecz, miłościwa pani, rozkazuj prędko, bo mnie na zamek wracać trzeba.

— Musisz mi do ucieczki dopomóc, do Torunia potrzeba.

Zgadząc się skłonił głowę Dienheim.

— Ani dziś, ani jutro tego nie dokażę, trzeba szukać sposobów.

Mieszczka zbliżyła mu się nieznacznie do ucha.

— Abła się radźcie, wszak na zamku został, Abel poradzi.

Wielce zdziwiony Dienheim odwrócił się z uśmiechem niedowierzania;

zdawało mu się szyderstwem, by człowieka, który na stworzenie bez mózgu wyglądał, miał się radzić.

— Ale to prosty i niemądry człek! — zawołał.

— On? niemądry? — głową w lewo i prawo rzucając poczęła mieszcza —

ależ on najmądrzy był z nich wszystkich na zamku, choć na najgłupszego wyglądał.

On niemądry? O, miłosierny Jezu! a któż nim będzie?...

— Tam go na zamku za Boże nie mają stworzenie — rzekł Dienheim.

— Tak potrzeba! — szepnęła mieszcza.

Chciał wychodzić, nawet dobrego nie dostawszy słowa, gdy Ofka pobiegła za nim ku drzwiom.

— Prędej — rzekła — potrzeba przyspieszyć ucieczkę; wy ze mną, ale nie myślcie, byście sami byli, mam sługę. Wy będziecie mi obrońcą, broń dostaniecie na zamku.

Zadumany, nic nie odpowiadając, wysunął się z domu Dienheim i znowu wolno się przechadzając, zaczął ku zamkowi zmierzać.

Zaledwie ostatnie domy zostawiwszy za sobą, na murach zobaczył

Brochockiego, który znać upatrywał go, czy nie uszedł, że tak długo nie wracał.

Razem z księdzem Janem przechadzali się wzdłuż kortyn, a gdy Dienheima zobaczyli, z dala mu pan Andrzej grozić zaczął.

Chłopak jednak szedł powoli, bo mu się w głowie kręciło od szumu tych

wyrazów Ofki, które słyszał, i wierzyć mu się im nie chciało. Znał on dziewczę dawniej, ale nigdy jej tak zapaloną siostrą Zakonu nie widział.

Ważył więc w sobie, czy ma jej pomagać do nierozsądnej ucieczki, czy

księdzu Janowi o niej donieść, aby ją wiozł do matki. Ostatnie zdawało mu się rozumniejszym, gdyż żał mu było dziewczęcia, które za półobląkane niemal uważał.

— W głowie się jej pomieszało — mówił do siebie — i nie dziw, kto patrzył

na ten bój, kto widział ten dzień, kto słyszał łoskot padających tysięcy i jęk konających rycerzy tyłu, ten oszaleć może. Cóż dopiero słabe serce kobiece i niewieścia myśl, co jutra nie widzi?

Tak dumając zbliżył się do wrót. Abel siedział wśród żołnierzy, w najlepszej z nimi zgodzie, ze świeżej słomy plotąc misternie kapelusz, a robocie tej z wielką ciekawością przypatrywali się odpoczywający ludzie, podziwiając jej mistrzostwo,

• * *

Wróciwszy do zamku Dienheim się skrył, żeby go Brochocki nie wziął zaraz

na spowiedź, której się obawiał i unikał, bo i kłamać nie lubił, i prawdy powiedzieć sobie nie życzył. Chciał się namyśleć, co ma uczynić z sobą i z Ofką. Widok jej całą dawną miłość jego, trochę ostygłą, rozżarzył na nowo; gotów był dla niej na wszystko, a wając to, na co oszalałe dziewczę rzucić się chciało, obawiał się o nią.

Myślał też, że oddając ją matce, łaski jej sobie zaskarbi. Z drugiej znowu strony wiedział, że Ofka, która z niego jak z innych dworowała i szydziła, gotowa jest doń powziąć nienawiść, której by już ani matka, ani w świecie nikt przemóc nie zdołał.

Siadłszy tak w oknie, dumał aż do wieczora, a że pan Andrzej miał wiele do czynienia na zamku,

rozpatrując się w swej zdobyczy, bo mu król darował wszystko, nic nie przeszkadzało samotnemu rozmyślaniu.

Dopiero późnym wieczorem wszedł do izby Abel, niosąc mu coś do jedzenia na misie. Milcząco postawił na stole i nie zaraz się oddalił. Sprzątał po izbie, choć nie było co porządkować. Przypomniawszy sobie Kuno Dienheim, że mu się z Ablem porozumieć radzono.

— Byłem w miasteczku — rzekł.

— Hę? — rozśmiał się, patrząc nań bystro, stary potwór i otwierając usta szeroko — piękne miasteczko, nieprawdaż? ale co to przeciw Malborka, Torunia i Elbląga!

Wiem, żeście byli — dodał przechylając się po swojemu z nogi na nogę — i siedzieliście długo, bom widział, gdyście wyszli i wracali. Musiało się wam podobać? Stary miód najlepszy ma Paweł, a stare wino frankońskie u Moncha, a młoda piękna panna, co rycerzy chętnie przyjmuje... w rynku pod wiechą na górcie...

— Nie byłem ani na miodzie, ani na winie, ani mi w głowie takie dziewczęta

— rzekł Kuno.

— Przepraszam, bo to po młodych chodzi — rozśmiał się Abel — ale

gdzieżeście byli, boć kościół i tu macie, a tam zamknięty we dnie.

Kuno spojrzawszy mu w oczy.

— Wiecie — rzekł — że jeńcem jestem i że biłem się dla Zakonu, któremu od lat kilku służę.

— A jakże, poznałem zaraz, żeście nie z Polski. Oni inaczej mówią i na koniach siedzą — rzekł Abel zbliżając się, i podparł się na stole poufale.

— Mówiono mi, że z wami można się w złym razie poradzić, bo rozum macie.

Abel Grzyb aż poskoczył i okręcając się dziwnie, aż ku drzwiom uszedł.

— Hę! hę — krzyknął — z tej beczki! Ja mam rozum! ja jestem proste

chłopisko co w piecu lega, skąd u mnie rozum ma się znaleźć? — Położył rękę na klamce. — Kto wam mówił, że u mnie rozumu szukać, to zbójca, co chce, aby mnie umęczono! Gdzież wy byliście?

— Widzę, że ufności nie macie do mnie — odparł Kuno — na to radzić

trudno.

— Młodzi jesteście — mruknął Abel — u młodych serce i gęba otworem stoi.

Uderzył się szeroką dłonią po ustach, a oczyma wskazał na drzwi.

Dienheim widząc, że z nim nie łatwo do czego dojdzie, zamilkł.

Abel jednak zamiast wyjść, namyśliwszy się wrócił do niego i pochylając do ucha spytał:

— Kto wam mówił o mnie?

— Wdowa Matiaszowa w rynku.

— A coście wy robili u niej?

— Jest z nią dawna znajoma z Torunia.

— Wiem — mruknął Abel — Noskówna! To wariatka, ledwie ją w drodze nie

pochwycili Polacy. Schroniła się tu z deszczu pod rynnę i teraz ani naprzód, ani w tył. Niechże siedzi na pokucie.

— Właśnie, że siedzieć nie chce i nie może, i wyrwać się pragnie.

Abel przystąpił bliżej.

— To nie sztuka wyrwać się, a cóż z tego? dokąd? Do Torunia? Toruń już się poddać musiał, zamki się wszystkie poddają, bo Malborka jednego bronić trzeba.

Mówiąc to Abel nie zdawał się ani smucić, ani rozpaczać.

— Cóż to, koniec Zakonu! zguba ostatnia...

Grzyb kiwał głową, oczy wlepił w stół i zbierając po nim kruszynki, które machinalnie niósł do ust, mówił jakby sam do siebie, nie podnosząc wzroku:

— Nie bójcie się, Zakon mocny jeszcze; ludzi zbierzemy, czasu potrzeba, zamki się wrócą. Stracimy, dużo, ale Bóg łaskaw, Bóg łaskaw; ja jeszcze na godziny dzwonić im będę. Polacy, ja ich znam: tak, naród bitny, ale stać w miejscu nie lubi.

Rozśmiał się dziwnie.

— Wina i chleba będą mieli do syta, najedzą się. napiją, do żonek zatęsknią i pójdą precz! Uchowaj Boże głodu a biedy, to byśmy byli w niebezpieczeństwie, bo oni źli są, gdy głodni, i biją się jak lwy, kiedy boso i w utrapieniu na wojnę idą. Ano my... — uderzył się w czoło — damy im jadła i napoju po uszy, rozmiękną i nic z tego nie będzie.

Patrząc ciągle w stół i zbierając kruszynki Abel śmiał się szydersko.

— W pierwszej godzinie straszni, a potem! Potem i dziecko im da radę.

Niemiec ma naturę inną: jego powalić można, da się wziąć, a powoli siłę odzyska i zwycięzcę za kark weźmie.

Zaczął Abel rękami wywijać na wsze strony.

— Z pomocą Bożą wyzwolimy się.

Kuno wstawszy zbliżył się doń powoli.

— Pomożecie nam do ucieczki? — szepnął.

Odskoczył Grzyb, schwycił się, strzepnął.

— Ja? ja? niech Bóg uchowa! Komu trzeba pomagać, a sam sobie pomoc nie umie, tego ratować nie warto. Ja jestem prosty chłop, mówiłem wam, legam w piecu, z psami na podwórzu kości ogryzam, nic nie wiem, nic nie umiem.

Skłonił się i wyszedł szybko.

Niewiele się z tego było można spodziewać. Kuno siadł znowu, ale go

zawołano do pana Andrzeja. Poszedł jako jeniec rozkazom posłuszny.

Siedzieli obaj z księdzem Janem w komturskiej izbie na rozmowie, a w progu zoczywszy Dienheima, pan Andrzej zawołał zaraz, czemu nie przyszedł doń opowiedzieć się wróciwszy.

— Nie miałem z czym! — odparł kwaśno Kuno.

— A siedzieliście, do kata, długo! gdzie? z kim? — począł Brochocki.

— Włóczyłem się baki strzelając — rzekł hrabia Kuno.

Rozmowa zaczęta w tym tonie dla obu niedobrze wróżyła. Brochocki tęsknił

za wojskiem i towarzyszami i zły był, Kuno Dienheim nie lepszy; przypomnieli sobie łącno, jak się zrazu kłócili i koty darli. Poczęła się zwada z niczego. Od słowa do słowa Dienheim słowo rycerskie odebrał i oświadczył, że chce być strzeżony i jak jeniec traktowany, a o łaski nie prosi.

Brochocki zagroził mu, że go do lochu posadzi, albo nawet w żelaza zakuć każe, bo do tego miał prawo.

Harde hrabiątko, drzwiami rzuciwszy, poszło. Na tym się tego dnia skończyło.

Nazajutrz posłał pan Andrzej do niego po słowo księdza Jana, Dienheim odmówił, kazano go do lochu wsadzić.

Abel dostał polecenie wyszukać karceres i z kluczem w ręku przyszedł do jeńca, który nie mówiąc

nic, udał się za nim. Grzyb był zafrasowany wielce, ale w podwórze wyszedłszy udawał stworzenie, które nic nie czuje, nie rozumie i czyni, co mu kazano. Brochocki na schodkach stał. Żał mu się zrobiło znać drapieżnego młokosa, krzyknął więc na Abła:

— Dać mu pokój! — a straży tylko zlecił, aby go krokiem z zamku nie

puszczała i choć Dienheim ani mu dziękował, ani go słuchał, odezwał się po ojcowsku doń:

— Dobrze ci życzę, bo na tarczy wspólne godło nosimy, a może tam jaka

kropla krwi u nas jest wspólna, ale musisz i ty ze mną być dobrze lub biedy przycierpisz. Jam nie łatwy też, gdy mi kto za skórę łać zechce.

Skończyło się na tym, że Dienheimowi z zamku się ruszyć nie było wolno, a on już i z celi swej na złość nie wychodził i twarzy nie pokazywał.

Ksiądz Jan tylko do niego przez litość zachodził, skłaniając go do łagodności względem tego, co los jego miał w rękach.

Ale zacięli się obaj, starszy i młody.

Dienheimowi tylko na miasteczko się gwałtem chciało, a wypraszać się nie mógł i dać poznać, że go tam coś ciągnęło. Utrapienie było wielkie. Ofka mogła mu się wymknąć sama i z oczu stracić ją mógł na zawsze.

Młoda myśl i serce w samotności rozgorzały. Trzeciego dnia wysunął się w podwórze. Brochocki żołnierzy swych męczył i mordował, nie mając kogo innego.

Zoczywszy Dienheima, począł mu prawić morały. Chopak już milczał; to rozbroiło starego, złagodniał.

— Chodź do mnie na kubek wina — rzekł — mamy go dosyć, a pić nie ma z

kim. Chodź, to ci powiem coś, z czego będziesz rad.

Nie dla wina, bo mu go Abel dostarczał co dnia, ale dla ciekawości Dienheim poszedł.

Stary pan Andrzej był lepszy niż kiedykolwiek.

— Słuchaj Waszmość — rzekł kubek mu podsuwając — za zdrowie wasze!

Bądź ty sobie zły, jak chcesz, a między nami jest coś we krwi, bo czuję, że mam do ciebie słabość. Biłeś się dobrze, nie winieneś, żem ja silniejszy. Harda dusza w rycerzu powinna być, nie mam ci jej za złe. Wiesz co, daj mi ino słowo, że do Brochocic się stawisz, choćby za pół roku, i że Krzyżakom służyć przez ten czas nie będziesz, puszcze cię wolno, czyn, co chcesz... Za pół roku wojna musi być skończona. Mnie podobno król chce oddać Sztum jeszcze. Gdzie ja cię będę ze sobą włączył? Daj słowo, oddam ci miecz, zbroję, tarczę, wszystko, gotowem ci nawet coś na drogę dać, abys bez

grosza nie był.

Popatrzał mu w oczy, mówiąc. Kuno się uczuł ujęty jego dobrocią.

Podał mu rękę.

— Jeśli będę żyw — rzekł — słowo rycerskie daję: stawię się!

— Kto to jeszcze wie — dodał śmiejąc się Brochocki — jak nie będę miał co robić, nazbieramy starych wyjadaczy i pójdziemy ci Dienheim zdobywać na bracie.

W ten sposób waśń się skończyła. Kuno był upokorzony i stał się łagodny jak baranek.

Wypili po dwa kubki, rozprawiając jak to pod Grunwaldem było, bo o tej bitwie nigdy się dosyć nagadać nie było można.

— Wojować nie będę — dodał Kuno — ale nie zaręczam, żebym się nie włóczył, żeby się dziełu rycerskiemu przypatrywać.

— Byle cię gdzie za tę ciekawość kula nie spotkała.

Uczuwszy się wolnym, tegoż dnia pobiegł Kuno do miasteczka. Ledwie się w rynku pokazał, Matiaszowa do niego ze schodów się spuściwszy, do drzwi wyszła nawołując do siebie.

— Jest Noskówna? — zapytał.

— Jest, ale mi szaleje — odparła mieszcza — boję się z nią jakiej biedy; po nocach się zrywa i chodzi senna, a bredzi. Utrzymać jej nie mogę.

Pędem wpadł na górę Dienheim. Znalazł Ofkę po izbie przechadzającą się z rozpuszczonymi włosami. Zaledwie się w progu ukazał, skoczyła doń pytając, czy wszystko do drogi gotowe.

— Najważniejsza rzecz gotowa, to, żem ja wolny — rzekł Dienheim — pożegniam dowódcę, który jest człowiek zacny.

Ofka mu przerwała:

— Tak? już ich zacnymi zowiecie?

Chciała się odwrócić od niego, lecz namyśliwszy się słuchała dalej.

— Konia dla siebie mam, jutro o szarym mroku Jechać trzeba — dodał Kuno

— aby was nie poznano. Powiem, żem sobie dwóch ludzi zwerbował na służbę.

Ofka nie odpowiadając nic do drugiej izby wybiegła natychmiast do drogi się sposobić. W chwilę

była nazad, wołając, aby jechać zaraz, dziś po nocy.

— Dokąd? — spytał Kuno.

— Do Torunia — odparła żywo.

— Toruń się już bodaj poddał — rzekł Dienheim.

— To nie może być! — krzyknęła Ofka.

— Przekonacie się, pojedziemy.

Nie było rozmowy, dziewczę śpiewało, śmiało się, przeklinało i groziło, a nade wszystko śpieszyć chciało.

Na próżno o czulsze słowo i spojrzenie błagając, Kuno wreszcie przekonał się, iż tego dnia nie otrzyma nic i, przyrzekłszy przybyć o świcie, ruszył nazad do zamku.

Tu musiał u wieczerzy siedzieć długo i zapowiedziawszy, że z miasta dwoje czeladzi sobie zamówił, a nazajutrz do dnia wyruszy, późno w noc pożegnał

Brochockiego. Na wyjezdnym, przypominając mu dane słowo, obdarzył go jeszcze pan Andrzej, zalecając ostrożność, dawszy kartę od siebie, aby go po drodze kto nie pochwycił.

Siadł potem Kuno w celi swej jak stał ubrany, tylko bez zbroi, aby drzemiąc czekać dnia, bo się zaspąć lękał.

Już było późno w noc i bramy stały zamknięte, gdy drzwi skrzypnęły i stary Abel wszedł. Nie widział go prawie od pierwszej rozmowy Dienheim. Ostrożnie zbliżył się do stołu, na którym lampka gorzała dymiąc.

— A co! — spytał — jedziecie z Bogiem? Dokąd? Do domu? Sami? nie?

Kuno wahał się z odpowiedzią, samo milczenie już było dostateczne dla

Grzyba; po chwili dodał:

— Nie mówcie nic, już wiem. Z babami sprawa zła, dzięki Bogu, ja się nie potrzebowałem nigdy z nimi wdawać i brzydzę się nimi. Bądźcie ostrożni. Namyślał

się potem długo.

— Gdybyście gdzie naszych panów spotkali... — mruknął.

Dienheim w oczy mu spojrział, świeciły się jak u kota.

— Cóż chcecie? — zapytał.

— A! nie! nie! tak, gdyby o Morągu mowa była, to cóż? powiecie, że Abel w piecu lega jak legał i popiołu w nim dosyć, jak było.

— Nic więcej?

Ruszył ramionami stary.

— Gdybyście tylko to moimi słowy powtórzyli, będzie dosyć. Wojowaliście pod chorągwią Krzyża naszego — dodał — i dla Krzyża świętego należy się wam cześć i wdzięczność, ale my teraz żebraki ubogie.

To mówiąc począł czegoś szukać za szarym kubrakiem i z dłonią ściśniętą, którą ciągle pod suknią trzymał, przybliżył się do Dienheima.

— W podróży i wilki mogą zjeść — rzekł — i lada kto napaść; gdyby czasem od naszych było niebezpieczeństwo jakie, a słowem się nie można wykupić, pokażcie im to.

I prędko ściśniętą dłoń ogromną wyciągnął ku jeńcowi, oglądając się dokoła tchórzliwie. Z ręki na stół wypadł krzyżyk czarny, prosty, na którym w środku była mała tarcza z jakimiś znakami.

— Pokażcie, dosyć będzie tego.

I śmiejąc się, a nie czekając podziękowania, pośpieszył do drzwi, gdzie zabrawszy próżną misę i dzbanek wysunął się co prędzej.

O brzasku, zbroję przywdziawszy, Dienheim na koń siadł i do miasteczka pobiegł. Przed kamienicą już stały też konie posiadłane, które w mroku dojrzał z dala, a nim się przybliżył, już na obu siedzieli jeźdźcy, którzy podbiegli ku niemu.

Starszy, siwy już człek, stanął wraz z hrabią, a drugi jechał, jako pacholę z tyłu.

Twarzy mu widać prawie nie było, bo płaszcz miał nasunięty, niby od ранnego chłodu. Samotrzec więc jechali w milczeniu drogą pod zamkiem, około samych bram, gdzie się hrabia dał poznać i swobodnie dalej gościńcem pokłusowali. Ofka nie mówiła słowa, nie odwróciła twarzy i dopiero po godzinie, koniowi dając folgę, zagadnęła, nie hrabiego, ale starego sługę, czy sądzi, że drogi bezpieczne?...

Korzystając z tego zbliżył się Kuno; popatrzała nań dziewczyna chłodno, roztargniona i konia pędziła dalej.

Postrzegł się dopiero, jak niewiele zyskał, i że go dziewczę za narzędzie tylko użyło; lecz więcej się spodziewając w przyszłości i nie chcąc jej opuścić, pociągnął

dalej.

Stary przewodnik obyty był z wszystkimi drogami, znał kraju każdy kątek, wiedział gdzie bezpieczniej jechać nocą, gdzie dniem; do kogo wstąpić, z kim poszeptać cicho, w jakiej chacie się

spytać.

Kilka razy w ciągu podróży pośpiesznej przyłączali się do nich ludzie różni; stary dostawał języka, mówił po cichu z nimi, zdawał się znać wszystkich. Dienheim mógł się przekonać, że choć zamki się popoddawały, choć polskie oddziały krążyły po kraju, tajemne panowanie nad nim zachowali Krzyżacy. Głośno mówili wszyscy inaczej, inaczej po cichu.

Z niewiadomych dla Dienheima powodów, część dnia w lesie przestać kazano.

Ofka legła pod dębem, jak stała, do spoczynku, na lichym płaszczu, który jej sługa podesłał, zamknęła oczy i czy spała, czy udawała że śpi, rozmowy z nią prowadzić nie było sposobu. Stary sługa na straży pozostał, także dosyć milczący. Ile razy Dienheim chciał się zbliżyć do dziewczęcia, znajdował go zagradzającego mu drogę.

Drugiego dnia przybyli do jakiejś zagrody. Był to folwark krzyżacki, skryty niedaleko od brzegów Wisły w takie gąszcza i zarośla, że się tam jeszcze obca nie dostała noga. Gospodarzyła w folwarku, nie zrzuciwszy płaszcza białego, siostra zakonna, Niemka, kobieta w sile wieku, ogromnego wzrostu, jasnych włosów, twarzy świeżej, ale niemiłej. Ta natychmiast wzięła Ofkę pod swoją opiekę, a gdy po kilku godzinach wypoczynku dziewczę wyszło z jej mieszkania, zdziwił się Dienheim widząc ją w skromnej sukni kobiecej, z kapturkiem i zasłoną na głowie.

Lecz, jak gdyby strój ten śmiałości jej dodawał, poczęła mówić swobodniej.

Pierwszą rzeczą, o której się od niej dowiedział Kuno, było, że konie musieli na folwarku porzucić.

— Znajdą się one w Toruniu — rzekła uspokajając go. — Stąd popłyniemy

czółnem, zbroję trzeba też zdjąć, a rybaczą odzież włożyć.

Spojrzała ku słońcu; miało się ku zachodowi. Wyszła też siostra Marta za nią i stary, co im towarzyszył. Drożyną między wierzbami, błotnistą, wijącą się wśród łóz i trzcin poczęli iść ku rzece. Wprędce błysnęły szerokie wody i ławy piasku nad nimi. U białego pala kołysało się dosyć szerokie czółno, w którym siedziało małe chłopię w nędznym przyodziewku. Jak spojrzeć nadbrzeże puste stało... Z przeciwnej strony pojono stada, rybaków kilku zwijało się po wodzie w maleńkich jak liść czółenkach, szybując pośpiesznie, a na plecach trzymają wężyczerze.

Wyszedł naprzód stary rozpatrzyć się dokoła, a gdy dał znak, postąpiła za nim Ofka i Kuno. Chłopak ich wpuścił do czółna, nie mówiąc słowa, odwiązał sznur, oparł się wiosłem o brzeg i odbił. Stary towarzysz leżał już na spodzie czółna i dawał

znak Dienheimowi, aby się także na dnio umieścił. Jedną Ofka na ławie siedząca została. Wieczór był cichy i piękny, wiosła niepotrzebne; chłopak zręcznie sterował, siadłszy bokiem, i wcale się nie ciekawiąc na obcych.

Łódź pędem strzały leciała dalej. Słońce zaszło, mrok padać zaczął, na brzegach z dala widać było porozpalane ognie; w oknach chat świeciły łuczywa, na zamkach gdzieś błyszczały szyby czerwonymi ogniami z wnętrzy; czółno leciało a leciało samym środkiem rzeki, stroniąc od brzegów,

jakby nie chciało być widzianym.

Po nocy trzeba było wprawnego oka, aby je dostrzec mogło.

Ofka, wsparta na łokciu, zadumana, oczyma tylko niekiedy badała brzegi i światła na nich. Mały chłopak, mimo ciemności, machinalnie, prawie nie patrząc, umiał znaleźć drogę.

Gwiaździsta noc zapadła, bezksiężycowa, czarna, milcząca, straszna wśród tej wód przestrzeni. Dopiero gdy oko ludzkie od brzegów dojrzeć już ich nie mogło, podniósł się z głębi łodzi stary i Dienneimowi dał znak, że usiąść może.

— Nim dzień, dopłyniemy do Torunia — rzekł. Ofka odwróciła się żywo.

— Nie ma ich tam jeszcze — rzekła bijąc w dłonie - oni nie mogą być.

Chłopak, który całą drogę milczał, westchnął. Trącił go stary.

— Co ci to?

— Nic — rzekło chłopię i — o kim mówicie, że ich tam nie ma?

— Wszak Krzyżacy jeszcze panami w Toruniu? — spytała Ofka.

— Nie — zawołał chłopak — naszych panów nie ma, zamek się poddał, miasto obcy król wziął.

— Kiedy? — przerwało dziewczę — na folwarku nic o tym nie wiedzieli.

Chłopak zmilczał trochę.

— Może! — bąknął pędząc łódź dalej.

Stary kazał mu się wstrzymać. Ofka łamała ręce w rozpacz. Łódź, którą szybko woda niosła, nie łatwo było w miejscu osadzić. Chłopak się obejrzał, popędził na mieliznę i wiosłem sparłszy mocno, stanął.

Zaczął go rozpytywać pospiesznie, ale z opowiadania jego, o jednym się tylko przekonać było można, iż rybacy tę wieść przynieśli. Ofka była w rozpacz, stary dumał.

— Ha! rzekł — zamek zajęty, to cóż? Noc, trudno, by cały brzeg był

osadzony, znajdziemy miejsce do wylądowania. Winnica Henrykowa schodzi ku Wiśle, dostaniemy się przez nią do jego domu, a stamtąd i do siebie.

Kuno nie mówił nic, lecz musiał też myśleć, co pocnie i gdzie się ukryje. Był

na łasce Ofki, która jak najmniej zdawała się troszczyć o niego.

Po długich szeptach, kazano czółnu odbijać znowu.

Na rzece ukazała się łódka ze światłem. Byli to rybacy, co większe ryby na ogień brali. Z ostrożnością zbliżono się do nich, stary stanął i zamamrotał

niezrozumiałe jakieś wyrazy. Z łodzi mu odpowiedziano. Obie zbliżyły się do siebie.

Przy świetle płonącego łuczywa ujrzeli dwóch ludzi, ogorzałych i odartych, zdziwionych nocnym spotkaniem. Poczęła się rozmowa urywana, której Ofka przechylona słuchała. Z obojętnością ludzi, którzy się o los kraju wcale nie troszczą, rybacy opowiadali o zajętych zamkach.

— W Toruniu obcy król — rzekł jeden — a jakże! nowych panów mamy!

— Nam to wszystko jedno — śmiejąc się dodał drugi — kto będzie rybę jadł, byle woda była niewielka, a ryby dużo!

W milczeniu czółno znów skierowało się ku głębinie i pędziło z rzeki prądem.

Wśród tej ciemności i ciszy noc się zdała wiekiem. Kuno czuł przy sobie Ofkę, która nań okiem nie rzuciwszy, siedziała w ponurym milczeniu. Twarz jej na przód zwrócona zdawała się szukać i wyglądać tych murów, do których się przedrzeć chciała.

Jeszcze się na brzask nie brało, gdy w dali ukazały się mury ciemne i wieże na niebie zarysowujące się czarno. Gdzieniedzie, jak gwiazdka, błyszczało na nich okno i paskiem jasnym odbijało się na wodzie. Wysoki brzeg, zielenią i drzewy osłonięny, powoli oczom się odkrywał. Łodzi zwolniono biegu. Ofka i stary jej towarzysz stanęli w czółnie, chcąc rozpoznać miejscowość.

Zawracano cicho ku brzegowi, nareszcie na znak dany chłopcu, który sterował, przybito do brzegu i stary z łodzi wyskoczył.

W tejże chwili czółno odbiło i zatrzymało się, zakryte wierzwą nad brzegiem zwieszoną.

Ofka, stojąc ciągle, patrzyła niespokojnie w ciemności. Czekali chwilę w krzakach, nieco opodal dał się słyszeć szelest rozginanych gałęzi i syknięcie. Na znak ten przybiła łódka. Ofka wyskoczyła z niej, Kuno za nią.

Postrzegł Kuno, że się znajdowali w ogrodzie drzewami owocowymi

zarosłym. Stary wiódł ostrożnie, po cichu wskazując drogę, i tak wspinając się ku górze doszli do płotu i furtki. O kilkanaście kroków stał dom, w którego podwórzu psy gwałtownie ujadać zaczęły. Znowu więc Ofka musiała zostać, a przewodnik iść przodem. Korzystając z tej chwili bez świadka, Kuno chciał się zbliżyć do niej, lecz ledwie wymówił słowo, uczył na ustach cisnącą jej rękę, zmuszającą do milczenia.

Starego długo nazad nie było. Psy podwoiły szczekanie i ucichły. Słabe światełko przemknęło się poza oknami domu, skrzyknęły drzwi. Ofka biegła już.

Stara kobieta, otulając lampkę dłonią, czekała we drzwiach, a zaledwie przez nie weszli, zamknęła je za nimi. W sieni, w której się znaleźli, czekał stary przewodnik.

— Panów naszych na zamku nie ma! — odezwała się stara głosem zniżonym

— ale w mieście spokojnie! krzywdy nikomu nie czynią. Król, słyszę, zabronił

surowo! Kasztelana posadził na zamku i załogę. Oni tam siedzą, piją i jedzą, a na miasto wychodzić tylko we dnie się ważą. Mieszczanie im dostarczają, co dusza zapagnie, aby cicho było lichy.

Machnęła ręką matrona otwierając drzwi drugiej sieni od ulicy.

— Traficie łatwo na rynek.

Ofka drżąc słuchała obojętnych wyrazów matrony z brwią namarszczoną. W

ulicy już nie potrzebowała przewodnika, nie oglądała się też na nikogo i biegła.

Pusto i cicho było na mieście, a im się bardziej ku rynkowi zbliżali, tym Ofka biegła prędej. Niekiedy oczyma zdawała się szukać zamku, to znowu wyglądać własnej kamienicy. Stary kroczył za nią zwolna; Kuno, zapomniany śpieszył, aby go nie rzucono samego w obcym miejscu i pod bokiem nieprzyjaciela.

W rynku, do którego małą weszli uliczką, taka była pustka, jak wszędzie. W

dwóch domach tylko świeciło z otwartych okien, słychać było muzykę, hałas, wrzawę i śpiewy. Cienie dziwne przemykały się na oświeconym tle komnaty.

Ofka stanęła, łamiąc ręce; patrzała gniewna i rzuciła się ku wnijściu zapartemu kamienicy Pod Jeleniem.

Stuknięcie we drzwi, którego obawiano się powtarzać głośniej, aby straży jakiej nie zbudzić, nie pomogło nic.

Z obawy nocnej napaści nie otworzono by im, choćby stokroć mocniej tłukli.

Stary przewodnik, namyśliwszy się, z wielką zręcznością i siłą na mur od podwórza się wdrapał i zniknął. Przyparta do drzwi Ofka czekała ze spuszczoną głową i ręką na klamce. Kroki we wnętrzu słyszeć się dały pośpieszne. Klucz okręcił się w zamku, drzwi uchylły i dziewczę jak pijane wtoczyło się do znanego domu, o kilka kroków zaraz opierając się o ścianę, bo sił jej zabrakło. Stary Wolff w kożuszku i czarnej czapeczce, dwie sługi, przewodnik wreszcie, wszystko to stało patrząc na nią zdumione.

Kuno opodal pozostał w cieniu.

Wprędce Ofka przyszła do siebie, odwróciła się do Dienheima.

— Wolff wam da przy sobie mieszkanie — rzekła — dobranoc!

Oczy jej przeleciały po nim wejrzeniem zimnym, i wspiąwszy się na schody, pobiegła.

Nie był znać rad gościowi milczący Wolff, który go do izby na tyłach

zaprowadził i tłumacząc się nocą a potrzebą ostrożności, zostawił samego z lampką i twardym tapczanem.

Mimo znużenia, noc tę spędził marząc i drzemiąc Kuno i nie zasnął, aż nad ranem, gdy już w kościele św. Jana na pierwszą mszę dzwoniło. Zbudziła go służąca, która mu gorącą polewkę winną przyniosła, ale w rozmowę żadną wciągnąć nie dała. Spytana o panią, ruszyła ramionami i wyszła co prędzej.

Dienheim więc został w kryjówce swej, której okno wychodziło na czerwony mur, nagi i wysoki. Nie widać było nic więcej, oprócz odrapanych boków jego i ciasnego przejścia zarzuconego śmieciem.

W izbie stało kilka pak rozbitych i spora kupa sznurów leżała.

Po dzwonach kościelnych mierząc czas, doczekał się tu Kuno południa,

zakłopotany wielce, co z sobą uczyni, gdy mruczący Wolff zajrzał do izby i nic nie mówiąc, ręką schody mu na górę wskazał. Przez nie wszedł Dienheim do znanego sobie mieszkania, niegdyś tak wspaniale przybranego. Było ono teraz zmienione wielce, gdyż zostawiono w nim tylko to, co się zabrać i sprzątać nie dało. Srebra, kosztowności, ozdoby znikły. Stoły i ławy nie pokryte wyglądały nago i smutnie.

Ofka chodziła po tej izbie, ubrana bardzo starannie i tak pięknie jak za dawnych czasów. Oczy jej świeciły, twarz się zdawała uśmiechać, lecz coś ponurego, dzikiego kaziło tę wesołość przybraną.

— Nie jestem gościnną ani wdzięczną! — zawołała do Dienheima — ale ja tu teraz matunię zastępować muszę i dużo mam na głowie. Jest co robić, Jagiełłów!

panowie na zamku, musimy tańcować przed nimi, służyć im i bawić. To pierwsza rzecz, niewolnicy jesteśmy. Gdym się tu znalazła znowu, zdaje mi się, że straszny sen prześniła.

Kuno czule ku niej spoglądał.

— Żal mi was — rzekła — ja dla was będę złą gospodynią; trzeba sobie innej szukać gospody, ale ją wam Wolff znajdzie. Ja tu myślę... Wiecie, co myślę? —

dodała, zbliżając się doń, coraz cichszym głosem — będę panów polskich przyjmować, gościć, poić, bałamucić.

Kuno się zarumienił.

— Szczególnie starszyznę — dodała — a któż winien, że czasem,

przypadkiem, który z nich zachoruje.

Oczy jej błysnęły.

— Trzeba się pozbyć tej szarańczy! .— zawołała z wyrazem mściwym.

— Życzyłbym naprzód matce dać znać o sobie — rzekł Kuno cicho.

— To się już stało — odpowiedziała Ofka spokojnie. — Matka ma glejt i powróci, a pomoże mi pewnie.

To mówiąc przejrzała się w małym zwierciadełku, które na stole leżało.

— Prawda, miłościwy grafie — dodała z uśmiechem — zbrzydła mocno ta

Ofka, zapadły policzki; wyglądam staro, ino oczy się trochę świecą jeszcze.

Westchnęła, Kuno żywo zaprzeczył.

— Piękna, najpiękniejsza Ofka nie przestała być, czym była.

— Gdzie moja wesołość? mój śpiew? piosnki moje? ale gdzie dawne czasy

spokojne? Obcy ludzie i strach a groza. Ale widziałeś wczoraj w oknach! są panie mieszczeni, co się bawią z gośćmi, i nam tak uczynić potrzeba. Plauen powiada, żeby ich dobrze przyjmować i niczego nie szczędzić, i poić, i karmić na śmierć. Plauen ma rozum! On Zakon wyratuje. Oni Toruń opuszczają, tu dla nich powietrze niezdrowe!

Wolff stary wszedł, kłaniając się i oznajmiając, że misy na stole. Nie było srebra, cynowe naczynia i glina, wszystko pochowano po lochach, ale kuchnia jak dawniej dostatnia.

Przy obiedzie toczyła się rozmowa o zamku, choć Wolff w słowach jak i

pieniądzach był wielce oszczędny.

Przytomność jego przeszkadzała tylko hrabiemu do rozmowy, której on

pragnął, a dziewczę zdawało się jej unikać. Postanowił, gdy od stołu wstaną, zmusić ją do szerszego pomówienia z sobą, ale Wolff siedział nie ruszając się.

Dienheim wreszcie musiał o nim zapomnieć.

— Cóż mi pani więcej każe? — zapytał Dienheim. — Przybyliśmy szczęśliwie do Torunia, nie wiem, co tu będę robił!

— Wiesz pan co? — rzekła Ofka — poznaj się z tymi, co są na zamku, staraj się dowiedzieć, ilu ich jest, jak zbrojni, co robią, co zamyślają, baw się wesoło, zdaje mi się, że więcej tu do roboty nic nie

ma.

— Smutne by to było — odparł Kuno — gdybym się miał tylko bawić.

— Niech to się nazywa zabawą — ciszej odezwała się Ofka — a może być z pożytkiem. Służyłeś Zakonowi, orężem ci nie wolno mu teraz pomagać, ale któż zabroni inaczej? Do zrobienia jest wiele.

To mówiąc spojrzała w oczy Dienheimowi, który milczał i znak jakiś

Wolffowi dała. Ten przeżegnał się, od stołu wstał i wyszedł.

— Hrabio — odezwała się — chcesz mi być miłym? Nie będziesz inaczej, jak słuchając mnie i czyniąc to, co ja robię. Służmy Zakonowi, on i ja wdzięczni ci będziemy. Ja tu pozostać muszę... wy moglibyście dostać się do zamku w Malborku i zanieść im potrzebne wieści. Chcecie to uczynić?

Zawahał się Kuno, Ofka rzuciła nań oczyma i z uśmiechem podała mu rękę białą.

— Musisz iść ze mną, inaczej się rozstaniemy — zawołała — będziesz mi

miłym!! dam ci pierścień, gdy zasłużysz.

Dienheim wahał się jeszcze, ale ona już się mu do ucha pochyliła i szeptała, twarz jego okryła się rumieńcem.

— Zgoda — zawołał — szyję stawię dla ciebie, uczynię, co każecie.

— Za dwie godziny — odparła Ofka żywo — przyjedźcie do mnie, znajdzie

się ktoś, co wam da do zanieśienia słowo. Musicie się dostać do zamku. Wieczorem w drogę.

To mówiąc, podała mu rękę i ukloniła się nisko, przybierając postać zalotną, potem podniosła się żywo, uleciała i znikła.

* * *

Nie ma niebezpieczniejszej rzeczy dla człowieka, dla ludzi nad pomyślność. W

przeciwnościach potęgują się siły, uchodzą w szczęściu. Zawraca się głowa, przychodzi upojenie, mięknie serce, niknie energia, baczność się traci.

Wojsko, które zwyciężyło pod Grunwaldem, już innym przybyło pod mury

Malborka. Do zwycięstwa szło w surowej karności, przymierając głodem i cierpiąc w pochodzie; obciążone łupem, nakarmione obfitą żywnością zdobytą po zamkach, które się z kolei poddawały, nie straciło męstwa, lecz zaufało szczęściu.

Jagiello, który szedł z pewną obawą przeciwko Zakonowi, niemal przerażony był zwycięstwem

mającym się odbić w całej Europie skargami nań, aż przed tron papieża i cesarza. Wahać się zdawał, czy ma obalić tych dumnych mnichów, którzy odwoływali się do swych zasług, położonych w szczepieniu wiary i nawracaniu pogan.

W samym otoczeniu królewskim zdania były wielce podzielone. Przy

Witoldzie bawił książdz Marcin i co dzień szeptał, że Zakon gotów ustąpić mu Żmudzi, byle nie pomagał Jagiełłę. Co dzień odważniejszy mnich powtarzał, że zwiększać potęgę, która ma go zgnieść, byłoby nierozumem. Na książąt

mazowieckich wpływała księżna Aleksandra, obawiająca się późniejszej zemsty Zakonu, a nie mogąca przypuścić, ażeby ta potęga runąć miała.

Straszono już napadem Węgrów znowu. Tymczasem Jagiełło, niejako

zmuszony, znalazł się pod murami Malborka, który już miał czas jako tako się obwarować. Nim nadszedł tu, Plauenowi nadciągnęły posiłki. Wszystko, co uszło z placu bitwy, tu się schroniło. Zaciężne kupki Niemców zbierały się rozpierzchłe.

Gdańsk przysłał czterystu ludzi od statków, w pół zbrojnych, z toporami.

Prawie cudem, cztery do pięciu tysięcy głów, mniej więcej zdatnych do boju, ściągęło w dni niewiele. Do napaści było to niczym, na obronę starczyło prawie.

Wyższy zamek główny dostał sam dwa tysiące załogi; na średnim drugie tyle umieszczono, a z tysiącem poszedł stryjeczny Plauena obraniać przedmieść pod murami, do których się mieszkańcy malborscy i siła ludzi z folwarków na nizinach schroniła.

Piętnastego lipca rozstrzygnął los walkę grunwaldzką, a dwudziestego

szóstego dopiero część wojsk Jagiełłowych ukazała się pod Malborkiem. W

jedenastcie dni wiele się rzeczy uczynić może. Zdawało się, że ciągnione naumyślnie tak opieszale, aby dać czas wzmocnić się nieprzyjacielowi.

Plauen, który pochwycił w ręce wodze wypuszczone, więcej niż jego

poprzednik Ulryk stworzony był do ciężkiej sprawy, w której i energii, i przebiegłości, i wytrwania cierpliwego było potrzeba. Wszystkie środki dlań były dobre: duma i pokora, męstwo i chytryść; z kolei umiał być tym, czym wypadki kazały. Wszystko poddawało się zwycięskiemu Jagiełłę: ziemie, zamki, biskupi, niemal sam Malbork został jeden. Plauen jednak serca nie stracił. Poza sobą miał

całe Niemcy, Cesarstwo i papieża, i Europę, co jeszcze dla Krzyżowców czuła poszanowanie, choć warci go być przestali.

Gorącego sierpniowego wieczora podróżny, odziany jak człowiek nie rycerski, z sakwami przytroczonymi do konia, z jednym mieczykiem u pasa, zbliżył się wolnym krokiem ku Malborkowi i

przystanął na pagórku, z którego wszystkie trzy zamki i okolicę widać było. Niedaleko już polski obóz i chorągwie stały rozłożone szeroko.

Miasteczko, które niegdyś otaczało zamek i przytykało do niego, smutny wystawiało widok murów i kominów okopconych, zgłiszcz pożarem zniszczonych.

Stał tylko miejski kościół św. Jana i ratusz nadpalony. Do szczątków tych przypierały szalasy lichy naprędce przez wojsko pokłócone, namioty napięte na kijach i budy z desek a gałęzi. Na wieży kościelnej zamiast dzwonu odzywało się działo na zamek wymierzone; inne na wysypanych jako tako pagórkach ustawione, kiedy niekiedy buchały więcej dla wzniecenia przestachu, niż uczynienia skutku.

Leciały kule tam i sam, jak los nadarzył.

Trzema znaczniejszymi obozami leżały oblegające wojska pod murami, na

których lud dosyć mnogi widać było. Na bramach też stali ludzie z toporami i spisami do obrony i czujność zdawała się wielka. Od południo-zachodu leżał król z rycerstwem swym całym, od południo-wschodu Witoldowe wojsko z Tatarami kręciło się ponad wyschłym Nogatem, gdyż spieki letnie wszędzie w bród przejść dawały.

W obozach zdawało się życie i ruch objawiać wielki: rycerze harcowali dokoła murów, gromadki objeżdżały je dokoła; w niektórych namiotach poodłanianych, aby wiatr je przechodził, widać było siedzących i uczujących wesoło.

Wozy ze zwierzyną, rybami, beczkami, zajeżdżały pod dworskie namioty i wyładowały zapasy obfite. Tam, gdzie na średnim zamku przystępniejsze były mury, polscy rycerze stali, słowy wyzywając krzyżackich, wzajem się łajać i walcząc homerycznymi wykrzykniki.

Czas to był rycerskich zapasów, gdy słowo wiele ważyło i danego

dotrzymywano nieprzyjacielowi, tak że nierzadki był widok wyjeżdżającego na harce pojedynczo Krzyżaka i patrzących nań sędziów rozprawy, gdy się z wyzwany potykał.

Podróżny długo patrzył na ten obraz ozłocony promieniami słońca, i zadumał

się tak nad nim, iż się nie spostrzegł, jak go za ramię z cicha nadjeżdżający żołnierz pochwycił, krzycząc nań, by stał, a nie ruszał się, chce li być żywy.

— Coś za jeden? skąd? po co? — począł wołać, jakby na pomoc sobie innych chciał ściągnąć.

Podróżny, wcale nie zmieszany, dobył kawałka papieru i pokazał go

żołnierzowi, który weń dłonią uderzył z pogardą.

— Co mi tam po tej szmacie! — zawołał. — Coś za jeden? Mów!

Z trudnością, łamanym językiem, począł się tłumaczyć młody człowiek, że jeńcem był na słowo puszczone i że jako człek rycerskiego rzemiosła rad się przypatrzeć tak wielkiej wojnie.

Żołnierz ledwie go znać rozumiał.

— Czymże byłeś jeńcem?

Podróżny wymienił Andrzeja z Brochocic, dzierżawcę na Morągu.

— Tym mi się nie wyłżesz — roześmiał się żołnierz — Brochocki już siedzi na Sztumie, bo mu go król, pan nasz miłościwy, puścił i jest w obozie. Niechże poświadczy, żeś nie szpieg krzyżacki.

Zrazu zdawał się tym zmieszany podróżny, lecz wkrótce namyśliwszy się uspokoił.

— Dobrze — rzekł — niech mnie prowadzą do niego.

Żołnierz, który stał znać na straży, obejrzał się, złożył rękę w trąbę i huknął ku szałasom nie opodal stojącym.

Na to hasło wybiegło kilku w półzbrojach i popatrzawszy, skąd głos szedł, jeden na głowę włożył miskowaty hełm lichy, do ręki wziął toporek i pobiegł.

Podróżny stał nieporuszony.

— Wojtek! — zawołał żołnierz — patrz mi na tego oto przybłędę, Niemiec jest, cuchnie mi Krzyżakiem; powiada i wyświadcza się papierem jakimś, że jeńcem jest pana Andrzeja z Brochocic. Owóż Brochocki tu jest, prowadź go i oddaj mu, niech z nim robi, co chce, abyś mi go tylko nie opuścił. Jeśli uciekać zechce, siekierą w łeb najbezpieczniejsza rzecz; żadnej z tym biedy nie ma, tylko szaty zdjąć i kieszenie pomacać.

Poczęli się śmiać, a Wojtek konia podróżnego za uzdę wzięwszy wiódł go do obozu, toporek na ramię założywszy, aby go pod ręką miał na potrzebę. A tu się już i namioty nade drogą poczynały i rycerstwa snuło mnóstwo.

Jedni jeszcze byli w zbrojach, tylko co wróciwszy z harców, drudzy w

koszulach i półzupanikach, boso niektórzy, co konie pławili, inni w rynsztunku pełnym jadący na swoją kolej. Gwar, wrzawa i dobra myśl panowały w obozie. Psów zgraje uwijały się za kośćmi, beczki z piwem stały otwarte i czerpał w nich, kto chciał. Gdzieniegdzie u ogniska warzył sobie ciura mięso, piekł słońihę lub grzyby smażył, bo dostatkiem było wszystkiego.

Po drodze zaczepił kto chciał prowadzonego, to konia klepiąc, to człeka jątrząc, to pięściami mu grożąc, ale Wojtek odpędzał ciągle, powtarzając, że jeńca do Brochockiego prowadzi. Imię pana Andrzeja starczyło, bo był w całym wojsku znany jako rycerz zawołany; król go też lubił i drugą mu już dzierżawę dał — Sztum.

Puszczano jeźdźcę, choć nie bez naigrywania, a on się to czerwieniąc, to błędąc wpatrywał i słuchał.

Gdy się tak przeciskali wśród namiotów, szukając najbliższej drogi, dzwonek dał się słyszeć, wszyscy czapki pozzrucali i hełmy, niektórzy poklękali, Wojtek ustąpił w bok; postrzegli księdza w białej komży, który szedł spiesznie, niosąc w ręku puszkę pokrytą tuwalnią.

Był to ksiądz Jan, który do chorego spieszył, bo chwilowo, z Brochockim tu przybywszy, wyręczał innych duchownych. Z głową spuszczoną, zamodlony biegł

spiesząc i byłby nie widział stojącego na uboczu jeźdźca, gdyby ten go po chrześcijańsku nie pozdrowił łacińskim *Laudetur Jesus Christus!*

Stanął ksiądz zdumiony, przeżegnał się i głosem cichym spytał co tu robił?

— Przypadek mnie przywiódł, a oto straż prowadzi do pana Andrzeja.

— Szukajcie go w namiocie księdza Jana, biskupa kujawskiego — szybko

rzekł ksiądz i dalej do szałasów podążył.

Żołnierze wskazali Wojtkowi ów namiot biskupa kujawskiego, nieopodal od królewskich stojący. Poznać też było można, że nielada kto w nim gościł, bo namiot jeden był przednią materią wzorzystą czerwoną cały okryty, a tuż przy nim kilka pośledniejszych stało, w których służba się liczna krzątała.

Biskupi namiot był tak wspaniały, jak królewski, i tak koło niego ludno wyglądało, jakby się tam do majestatu cisnęli wszyscy. Rycerzy pięknie poubieranych stało przed nim kilkunastu, a w środku też ich było pełno.

Stoły z desek pozbijane we dwa rzędy i ławy wspaniale okryte dokoła

obsiadali panowie. Na nich dzbanów srebrnych i pozłocistych widać było co niemiara.

Mężczyzna w fioletowej czapeczce, do żołnierza więcej niż do duchownego podobny, w butach z ostrogami i przykręconej pasem sukni, z twarzą wesołą i rumianą, z małą bródką i wąsem do góry podkręconym, rozmawiał u wnijscia do namiotu z kilku panami.

Tu już podróżny z konia zsiąść musiał, bo między nimi i pana Andrzeja

dojrzał, który mu się przypatrywał z dala. Dopiero gdy na kilka kroków zbliżył się, poznał go Brochocki i poszedł ku niemu.

— A ciebie tu, hrabiątko nieszczęśliwe, co znowu przyniosło? — zawołał

Dienheima zobaczywszy.

— Ciekawość — odparł Kuno — ale mnie strażę przed obozem za kołnierz

ujęły, a papier z pieczęcią waszą despektu doznał.

— Co żołnierzowi do karty! — rozśmiał się rubasznie pan Andrzej — mieli słusność wielką, fałszywych i zdradliwych papierów na świecie więcej niż ludzi.

Ale cóż ty robić myślisz? Wszak ci nie wojować z nami?

Dienheim się zarumienił.

— To choć patrzeć na wojnę.

— I tego ci bodaj nie dadzą — odparł sztumski dzierżawca — chybabym cię tu komu w opiekę dał, bo cię smutny los spotkać może. Rycerstwo butne, a Niemca widoku niecierpi.

— Jeśli łaska wasza, dajcież mi opiekę — rzekł Kuno.

— Na dzisiejszą noc obaj u kujawskiego biskupa zostaniemy. Człek to jakich mało, bo Krzyżaków cierpieć nie może, a nam pomaga czym i jak umie. Karmi, poi, płaci i obdarza. Patrzże nań, czy nie rzekłbyś, że żołnierz sam i do kopii stworzony.

To mówiąc wskazał na stojącego przed namiotem, który palcem na zamki

wskazując, coś rozprawiał i głośno dowodził.

Wziąwszy na swą rękę znowu jeńca, odpuścił Brochocki żołnierza co go

przywiódł. Tuż namiot stał gościnny, który biskup dla pospolitego rycerstwa wystawić kazał; więc go za stół z innymi posadził Brochocki, a konia do swoich wziąć polecił. Znalazł się Dienheim wśród wesołego towarzystwa, które go po rycersku przyjęło. Ten i ów boczył się na Niemca, lecz złego nie czyniono.

Rozprawy szły głośno o zamku, rychły się li on podda, i z której go strony lepiej brać i jak wyłom uczynić. Stary Gniewosz z Trzciny podniósł się markotny.

— Teraz wyłom trzeba robić, a gdyśmy przyszli, wszak ci był gotowy; przez noc go musieli zawalić. Trochę wcześniej i wyłomu nie potrzebowalibyśmy, zamek był bezbronny i poddałby się jak drugie.

— Cóż o tym mówić, co było? — przerwał drugi.

— Dlatego się to mówi — dokończył Gniewosz — że teraz wszystko

poniewczasie, kto krzyżactwo zna.

Teraz oni wodzić nas będą, o pokój prosić, ściągać; nas tu choroba przetrzebi, długie leżenie znęka, żołnierz się roześni i pójdziemy do domu z obiecankami.

Zakrzyczano starego.

— Ino co nie widać, jak się poddadzą.

Gniewosz jakimś pospolitym ich zbył przysłowiem. Śmiechu było pełno.

Tymczasem o zachodzie ostatnie kule jeszcze z wieży od św. Jana leciały na zamki, a za każdym strzałem ci, co wyżej stali, szukali ich śladu i opowiadali, gdzie padły. Inne działa, poustawiane między Witoldowym obozem, przed murami i u tego miejsca, gdzie na Wiśle most był, co go Krzyżacy spalili, rzadko się też odzywały.

Począł już zapadać mrok, gdy do namiotu, w którym siedział Dienheim

przypatrując się zamkom, nadszedł szukający go ksiądz Jan ciekaw się dowiedzieć, gdzie był i jak się tu dostał. Wracał od żołnierza, który jak wielu innych naówczas, z upałów i trudu, a zaniedbanej rany, bo jej komu opatrywać nie było, pożegnawszy świat na wiązce słomy życie skończył.

Rad był temu znajomemu hrabia i wnet się doń przybliżył. Zdało mu się też, iż teraz obowiązku dopełni, a nikomu krzywdy nie uczyni, gdy oznajmi wujowi o losie siostrzenicy. Nie chciał i nie potrzebował się przyznawać, iż ją przeprowadzał z Morağa, ale pobytu w Toruniu taić nie miał potrzeby.

— Gdzieżeście bywali? — pytał ksiądz.

— Włóczyłem się różnie — odparł Kuno — dobrą wolą i przypadkiem

dobiełem się aż do Torunia, skąd wam może niezłą wieść przynoszę.

— Ze go nasi zajęli, toć wiem — odparł ksiądz Jan.

— Wiedzą to wszyscy, ale, że panna Ofka już tam jest bezpieczna we własnym domu, po tylu przygodach, tegoście pewno ani wiedzieli, ani się domyślali.

— Bogu Najwyższemu niech będą dzięki! — odezwał się ksiądz Jan — to

istotnie nowina niespodziana i przyjemna, za którą dziękuję wam. Ale jakże się tam dostała?

— Jak się dostała? Wiecie — mówił Dienheim — że od niej nie łatwo się co dopytać. Dosyć, że żywa i zdrowa, matki tam oczekuje.

— Spodziewam się, że w domu zamknięta, spokojnie wojenny czas przesiedzi

— rzekł ksiądz. — Teraz siostrze tylko, Noskowej, radbym dał wiedzieć, aby łzy osuszyła. Lecz że o posły trudno, choć królewscy gońcy chodzą i kursorzy, pono samemu o kiju z pacierzem przyjdzie się do Czerska wybierać.

Tak dobrą tą nowiną, która uradowała staruszka, dzień się skończył. Nazajutrz z nią poszedł do Brochockiego ksiądz Jan, aby go pożegnać, zamyślając istotnie pieszo ruszyć w drogę. Pan Andrzej do Sztumu wracać musiał, który mu król dał, aby się na zamku obwarować.

Dienheima dla języka nie mógł komu innemu zlecić pan Andrzej, jak

Ślązacom. Było ich dosyć razem z Czechami pod chorągwią Jaśka Sokoła, Czecha, ulubieńca królewskiego, rycerza prawego i człeka wybornego, do którego też Dienheima zaprowadził opiekun.

Jaśko Sokół rycerzem i wojakiem był z rzemiosła, stary, porąbany, zбитy, bo mało miał kości całych w ciele, przez tyle przygód przechodził. W polu i harcu zimnym męstwem celował, a wielką i sławną zręcznością; gdy zbroję zrzucił, łagodny był, dobry, miękki i z kieliszka na wszelki sposób czerpać lubił.

Jaśko nie miał dawno żony, synaczków dwóch gdzieś daleko, rodziny żadnej; namiot, trochę zbroi, wóz, nieco rycerskiego sprzętu i łupu, grosza trochę — składały całe mienie. Wałęsał się po świecie służąc to cesarzowi, to królowi, to różnym księżątkom, a wiodąc życie ciężkie a pracowite; nie dziw, że je sobie osładzał. Gdy przyszło się bić, spełniał obowiązek pocziwie, ale odpoczywając nie żałował też sobie uciechy. I, jak to za owych czasów trafiało się często, Jaśko nie rozmiłowywał

się naprawdę w niczyjej sprawie; niemal wszystko mu jedno było, kto weźmie górę; nie obrzydzał się Krzyżakami, nie kochał do zbytku Polaków, samego króla miłował

za to, że był panem szczodrobliwym i dobrym.

Zresztą jedno mu było, komu służy, byle żołąd był sowity, strawy i napitku dla niego i ludzi dostatkiem, a wojna by szła szczęśliwie, bo to łup dawało i nagrody.

Jaśkowi Sokołowi wszystko było jedno, z Niemcem, czy z jakim innym

obcować człowiekiem. Brochockiemu zawdzięczał nieraz dobre słowo u króla, Dienheima więc, poufale po ramieniu poklepawszy, do namiotu i pod opiekę wziął.

U niego Kuno pozostał. Pilno mu było spełnić to, z czym przybywał, a

niełatwo.

Chodził pod murami, bo tego nie broniono, szukając zręczności dostania się do zamku, a znaleźć jej zrazu nie mógł. Widział wprawdzie niemal każdego dnia, jak oblegający, aż do zbytku rycersko się obchodząc z oblężonymi, wypuszczali starych, niewiasty, wpuszczali pod różnymi pozory przybywających, lecz się do nikogo jakoś przyplątać nie umiał.

Jaśko wieczorami, wróciwszy od murów, gdy do namiotu przyszedł, a

wyciągnął się ręce pod głowę założywszy i kufel sobie narządziwszy przy barłogu, chętnie z Dienheimem gadał i daleko poufałej niż z innymi.

Poznawszy go lepiej nieco, począł się nawet przed nim wywnętrzać.

— Oni tego zamku nie wezmą — rzekł jednego wieczora cicho — Bóg wie,

czy i to, co pobrali, utrzymają.

Król jest wielkiego i dobrego serca, ale słaby, czynią z nim, co chcą. Krzyżacy mędrsi od węzów, w obozie już gadają różnie. Większa część chce do żon i domów powracać. Króla straszą i modlą się, król stęka, wojsko choruje.

Westchnął. Było takich skarg dosyć, których Kuno chciwie słuchał.

Któregoś wieczora Jaśko wróciwszy oznajmił, że komtur Plauen, który na Malborku dowodził, króla o posłuchanie prosił nazajutrz. Dwaj heroldowie nad wieczór przybyli i dano im odpowiedź, iż nazajutrz król go na rozmowę oczekiwać będzie.

Śmiała myśl przyszła Dienheimowi z wypadku tego skorzystać. Pomyślał

sobie, iż łatwo do orszaku komtura przyłączyć się może ukazawszy znak, jaki miał, i z nim dostanie się na zamek. Z niecierpliwością więc następnego dnia oczekiwał.

Jakoż z rana z dział ognia nie dawano i jakby rozejm był umówiony, wojsko, zbrojnie stojąc, ku murom nie ruszało. Jagiełło nie chcąc daleko wpuszczać do obozu nieprzyjaciela, w towarzystwie księcia Witolda, mazowieckich i innych książąt i panów Rady, gdy na bramie zatrąbiono, stanął naprzeciw w świetnym orszaku.

Otworzyła się też wprędce furta od wrót boczna i wyszedł nią Henryk Plauen w komtura płaszczu, wraz ze stryjecznym swym, kilku Czechami i Ślązakami i kilku ze szlachty świeckiej, co do zamku się schroniła.

Z wielką uniżonością zbliżył się do Jagiełły on i inni.

W tej chwili Kuno, który był z boku daleko zabiegł, uczynił zręczny zwrot, ażeby się mógł dostać za orszak krzyżacki, a że nikt nań bardzo nie zważał, bo wszyscy na komtura mieli oczy zwrócone, udało mu się szczęśliwie zejść i znak dać owemu orszakowi, iż potrzebuje wnieść do nich. Domyślając się jakiegoś poselstwa tajemnego, rozstąpili się szeroko ci, co z tyłu szli, a Kuno wsunął się pomiędzy nich zręcznie, oczekując już tylko szczęśliwego do zamku powrotu.

Tymczasem sprawiał Plauen swe poselstwo, jak mówiono z uniżeniem prosząc króla, ażeby pomorską, chelińską i michałowską ziemię wziął i jako należące do Polski zatrzymał, pruskie tylko kraje, na poganach krwią i pracą Zakonu zdobyte, jemu zostawiając.

Wysłuchał tej mowy Jagiełło spokojnie, inni też ani przerywali mu, aż

pierwszy Zbigniew z Brzezia, znać z rozkazu króla, zażądał, aby się nad tym naradzić mogli.

Stał już naumyślnie przyniesiony nieopodal namiot, do którego weszli

Krzyżacy, nim by rada się zebrała i coś postanowiła. Kilku ze starszych zostało przy Plauenie, reszta zgromadziła się pod innym namiotem, który do Jana z Tarnowa należał, dla obradowania nad tą Krzyżaków ofiarą.

Jagiello dosyć był chętnym i skłonny do przyjęcia warunków, lecz zaraz inni występować zaczęli, odzywając się, iż w tym było więcej zdrady i podstępu, i chęci zyskania na czasie, niż szczerości.

— Przyjdzie do zawarcia umów — odezwał się Mikołaj z Michałowa,

wojewoda sandomierski — ciągnąć będą, a gdy porę upatrzą, zerwą je. Idzie im oto, by z Niemiec posiłki czas mieli ściągnąć.

Sędziwój Ostroróg twierdził, że gdy tak uciążliwe dla siebie podają warunki, znać jeszcze gorszych się lękają, które sam zwycięzca będzie dyktował, gdy Malbork siłą opanuje, co rychło nastąpić musi.

Potwierdzili to inni, że twierdza podda się lada dzień, i że widząc to Krzyżacy tak pokornie proszą.

Krystyn z Ostrowa i marszałek Zbigniew byli tegoż zdania, a choć król

milczący inne miał przekonanie, ustąpił. Witold, nierad się narażać rycerstwu polskiemu, zmilczał. Spytano go o zdanie; rzekł, że z królem trzyma i woli gliniany pokój niż złotą wojnę, ale się przy swoim upierać nie będzie.

Żywe rozprawy skończyły się tym, iż marszałek Zbigniew z Brzezia poniósł w imieniu króla odpowiedź Plauenowi, iż ofiara tego, co jest własnością Królestwa, za żadną nie może się liczyć ofiarę, iż należało naprzód Malbork zdać, jak się poddały inne zamki, warunków nie dyktować, a na królewską wspaniałość się spuszczać spodziewać, iż Zakon, jak inne państwa niemieckie uczyniły, szczerze opatrzy.

Plauen słuchał cierpliwie bardzo odpowiedzi, nie okazując ani zdumienia, ni gniewu, ni wzruszenia.

— Jest że to ostatnie królewskie słowo? — zapytał cicho.

— Tak jest — odparł Zbigniew — jeśli żądacie szczerze pokoju, dajcie takie warunki, jakie się zwycięzcy należą.

Plauen pomilczał chwilę, skłonił nieco głowę.

— Miałem nadzieję — rzekł — iż król nad losem srodze dotkniętego zlituje się Zakonu. Pokorą przebłagałem gniew niebios, a waszego nie mogłem. Bóg więc uczyni co wola Jego, a mnie nie pozostaje nic nad to, bym się do ostatniej krwi kropli bronił. Malborka nie zdam po dobrej woli, a ufam Bogu i Opiekunce Jego Matce Najświętszej, że mnie z niego nie wygnacie.

Dumniejszym niż przyszedł zawrócił Plauen nazad do wrót, a król dosyć

smutny i przybity do swojego namiotu. W orszaku komtura szedł już osłonięty jego towarzyszami Kuno, tak iż nikt tego nie spostrzegł. Serce mu wprawdzie biło, dopóki do furty nie doszli. Tu go popchnięto przodem i znalazł się w ciemnym przejściu, bezpieczny o siebie. Znać o nim nie wiedziano i nie strzeżono się, gdyż usłyszał

rozmowę, która pewnie dlań nie była przeznaczona.

Plauena zatrzymał stary komtur idący za nim.

— Bracie Henryku — rzekł głosem poruszonym — Bóg się zaopiekuje nami,

ale wy, wy, jakżeście mogli na sumienie wasze brzemię takie brać i ustępstwo chcieć takie czynić, na które, gdybyście już dostojność wielkiego mistrza piastowali, gdybyście z kapitułą radzili, a jeden głos padł przeciwny, już by ich czynić się nie godziło!

Plauen odwrócił się do starego z wielkim spokojem.

— Bracie mój — rzekł — wiedzcie, zem to uczynił dlatego, iż ich znam i wiem, że im większą czyniłem ofiarę, tym pewniejszy być mogłem, że jej nie przyjmą.

Dzisiaj mamy za sobą to, że oni ją odrzucili. Nie śmiałybym im takiego nieść pokoju, gdybym nie wiedział, że w pychę się wzbiwszy, odepchną go.

Plauenowi dano znać, gdy wychodzili w podwórze, o pośle z Torunia. Zabrał

go więc natychmiast z sobą na poufną rozmowę.

Na zamku teraz porządek wojenny panował surowy, a ludu było mnóstwo.

Znaczniejsza część mieszczan malborskich schroniła się i koczowała tu pod ścianami lub po wielkich budynkach na składy przeznaczonych. Na mury wtaczano ciągle kamienie, które z podsadzek, ze ścian, z rozebranych budowli ściągano. Ludzie z kolei mieniali się na blankowaniu i pilne mieli oko na wsze strony.

Daleko smutniejszym sobie stan wewnętrzny tego ostatniego niemal

schronienia Zakonu wystawiał Kuno, aniżeli znalazł w istocie. Plauen był spokojny i mężny.

Dienheim doniósł mu, co powiedzieć miał poleczone.

— Nawzajem, jeśli Bóg dozwoli, byście się dostali do Torunia lub do którego z tych zamków, co się jeszcze trzymają, powiedzcie naszym, iż wcale odwagi ani nadziei nie straciliśmy. Mistrz inflancki ciągnie ku granicy chcąc się przedrzeć do nas; próżne to usiłowanie, oddacie mu listy, a jeśliby one przepadły, powiecie by Witolda wezwał na rozmowę. Oddamy mu Żmudź, niech króla opuści. Sprzedamy dobra w Czechach. Węgry napadną na granice polskie, bo Ścibora ujęliśmy osobno.

Nie zabraknie więc ani grosza, ani posiłków, ani nadziei. Wytrwać tylko należy, a my na zamku, choćby głodem mrąć, do ostatniego chleba bochenka dotrzymamy.

Wydobycie się na powrót z murów daleko było łatwiejszym, niż dostanie się do nich. Nocą straż blisko nie podchodziły ku zamkowi, otwartą więc na przekop furtą tajemną wypuszczano Dienheima, a że go nikt wchodzącego nie widział, gdy z przekopu dobywszy się ukazał późno w obozie i do namiotu Jaśka przyszedł; ledwie się go spytano, kędy bywał. Wojsko wczasu wielkiego zażywało i do późna, zwłaszcza u przedniejszych, nieraz się zabawiano przy kubkach, nie trudno więc było i

jemu o opowieść jakąś, której Jaśko uwierzył.

— Gdybym był królem — rzekł — przyjąłbym od dawna ziemie; bodaj

dzisiejszego dnia, kiedy nie pożałowali.

Choć już nazajutrz rad się był dobyć stąd Kuno pod pozorem, że o dwie mile do Sztumu do Brochockiego chce się dostać, nie było sposobu dnia tego ruszyć, gdyż zamęt był wielki. Szturmowano gwałtownie, a niezbyt szczęśliwie. Krzyżacy rozzuchwaleni uczynili wycieczkę w biały dzień ku działom, przy których z kolei straż pełnili Wielunianie. Ci się jej wcale nie spodziewając w koszulach prawie chodzili i orężę poodpasywali. Jak piorun wypadła kupka zbrojnych, która w mgnieniu oka zabrała dowódcę od dział, kilka ich zagwoździła i nasiekłszy tych, co zbroi wdziac nie mieli czasu, uciekła.

Choć im zaraz na kark wsiedli drudzy, niewielka z tego była pociecha, bo ogon tylko wycieczki schwycili, a jeńca odbić nie mogli.

Drugiego dnia, gdy już Kuno z obozu się ruszał, kula z zamku wypadłszy, trafiła w stojący niedogorzały mur kamienicy na miejskich zgliszczach. Właśnie od słońca szukając osłony, siedzieli tam w cieniu żołnierze z chorągwi Janusza księcia mazowieckiego, z których mur ów, padając, stłukł wielu na miazgę.

Wszczywały się też w obozie choroby, nie z niedostatku, ale ze zbytku

pochodzące. Było żywności nadto, a miary u żołnierza nie ma, padali więc jak muchy z febry i chorób wszelkich.

Kuno temu wszystkiemu się napatrzywszy, sprawiwszy poselstwo, rad był się z obozu wydobyć, a że drogę miał ukazaną i ludzi, u których bezpieczny mógł

znaleźć przytułek, miał więc nadzieję, że choć uśmiech od pięknej torunianki otrzyma w nagrodę.

Jaśko Sokół przeprowadził go za obozowisko, wdychając.

— Jedźcie z Bogiem — rzekł — żebyśmy i my mogli się prędzej spod tych

murów wydobyć, a w pole pójść nieprzyjaciela gnać lub stawić mu czoło; dzień byśmy ten błogosławili i godzinę, kiedyby hasło dano. Cięższa to pono sprawa stać a patrzeć, niż ruszając się a coraz nowego próbując świat przechodzić.

Księdza Jana już też nie było w obozie, gdy go Kuno opuszczał. Z dobrą myślą, na odpasionym koniu, bo na żywności nie zbywało, ruszył tedy dalej, wdychając ku tej, dla której życie, a po trosze i sumienie ważył. Nie miał pono wielkich zgryzot, ani wstydu z tego rzemiosła, które pełnił naówczas nie on jeden, ale mnodzy świeccy i duchowni; jednak rycerskie słowo czasem się przypominało z wątpliwością, czy mu się nie sprzeniewierzył.

Broni byłby do rąk nie wziął pewnie, a służyć tym orężem daleko

potężniejszym, wcale się nie wahał. Sprawa krzyżacka wydawała się wielu naówczas jak i jemu sprawą cywilizowanego świata, dla której wszystko czynić było wolno, co bezkarnie było możliwym.

Wincenty z Granowa, kasztelan nakielski, siedział z ramienia królewskiego na zamku toruńskim, a miasto i mieszczanie silili się na zjednanie go sobie, ugoszczenie i przyjęcie. Słły naówczas toruńskie panie i z wdzięków, i ze śmiałości swej w obejściu, którą może panowaniu krzyżackiemu winne były.

Rycerstwo, które pan kasztelan przywiódł ze sobą, równie jak on sam wczasu zażyć i dobrej myśli żądne było.

Na zamku, który Polacy zastali zaopatrzonym tak obficie jak wszystkie inne krzyżackie, życie się wiodło wesołe. Od nieprzyjaciela nie było się czego obawiać, bo zwycięskie wojska urok jeszcze miały za sobą siły, z którą tu przyszły, przed którą wszystko padało na twarz w pokorze. Lada chwila oczekiwano poddania się Malborka, a Gdańsk przyrzekł uroczyście, że tegoż dnia, gdy zamek główny będzie wzięty, i on swe bramy otworzy. Mało co pozostawało przy Zakonie. Można więc było spocząć po znoju rycerskim i popuścić pasa. Zdawało się, jakby umyślnie te wszystkie zamki zdobyte tak były zaopatrzone obficie, aby z nich każdy stał się dla Jagiełłowych Kapuą. Łupami ładowano wozy, dzielono je między czeladź obozową; obrazy, rzeźby, naczynia srebrne i złote wysyłano do Polski, a spiżarnie karmiły żołnierza aż do zbytku, aż do rozpieszczenia.

Witold już skarżyć się zaczynał na to, że lud jego nienawykły do takich rozkoszy, chorował ze zbytków i marł z dostatku; wypraszał się też dlatego, aby znów Tatarów swych i Litwę a Ruś na chleb i wodę odprowadzić do domów.

Pan Wincenty z Granowa, zawołany rycerz, który i poza granicami bywał i w niejednym kraju kopie kruszył, bił się jeszcze dobrze, choć mu już na konia czasem sięść bywało przytrudno. Siadłszy jednak (w zbroi go podsadzano), trzymał się mocno i siekł zajadle. Dla swoich był dobrym bratem, kochali go też od króla począwszy aż do ciura wszyscy, za to nadto pozwalał pono i drugim, i sobie.

Pobożny kajał się i spowiadał często, kościoły obdarowywał, jałmużnę sypał, ale broił na ten rachunek również nieskąpo. W polu o suchym chleba kawałku wytrwać, popiwszy wodą, nie było dlań nowiną, za to, gdy do misy i dzbana się przysiadł, rzadko mu kto podołał. Z bratem swym panem Mikołajem we dwóch zjadali w południe cielę całe, nie licząc tego, co się drobniejszego przy tym znalazło. Nieckę gruszek między obiadem a wieczszą przy szklanicach zmieść — było mu łatwo.

Choć mówił sam, że siły nieco stracił, podkowy łamał lekko, co naówczas nie było dziwnym, bo siostrzenica Jagiełły, panna w kwiecie wieku, także się w ten sposób zabawiała.

Homeryczne więc uczyty sprawiano na kuchniach krzyżackich w Toruniu, a że tu na zagranicznej przyprawie nie zbywało, smakowano wielce za stołem obfitym i wymyślnym. Młodzież popiwszy nie wytrzymała bez skrzypka, kobzy i lada jakiej muzyki; przy tej też bez płci białej taniec niewesoły, musiano więc panie mieszczyki zapraszać. Było tego w Toruniu dosyć, powdowiały po żołnierzu, który padł pod Grunwaldem. Opłakawszy sieroctwo, młodsze myślały o życiu, inne przez wielką politykę pragnęły ująć serca zwycięzców; nie było więc dnia bez uczyty, a wieczora bez tanów. Nie

było też dnia bez waśni i sporu hałaśliwego, ale ten się przy kuflu załatwiał. W najgorszym razie pan z Granowa przyzywał przed siebie poróżnionych i godził skutecznie.

Życie więc tu upływało tak mile jak w rajach i mało kto do powrotu wzdychał, chyba że młodą żonę zostawił i dzieciaki drobne. Z toruńskich mieszkańców wszyscy niemal pozostali przy domach i godzili się z przeznaczeniem. Ci, którym panowanie krzyżackie nie było do smaku, nowym bogom kłaniali się, jak biskup kujawski; inni godzili się z przeznaczeniem. Pana kasztelana nakielskiego i jego rycerstwa łaski sobie zaskarbić szczególnie starała się, starszyzna. Pomimo że dla swoich dobry był jak baranek i łagodny, to łamanie podków odzywało się w jego charakterze; sprzeciwienia nie lubił i łamał je też bez litości. On, co żołnierza swojego, gdy go kamień z murów padający przytłukł, jak dziecko pielęgnował, jeńców krnąbrnych ścinać kazał i patrzył na egzekucję gruszki jedząc z niecki, jak gdyby na igraszkę. Przy tym ucztowanie szło swoją drogą, a karność i czujność się nie zaniedbywała. Na zamku szło wszystko aż do zbytku porządnie i pilne oko miano na ludzkie obroty.

Dwóch podejrzanych, przy których pisma jakieś znaleziono, pan kasztelan *brevi manu* powiesić kazał. Wydał potem ciała ich Krzyżakowi, wikariuszowi przy kościele św. Jana, i pochować je polecił przystojnie.

Obawiano się więc pana z Granowa i może dlatego wspaniałe mu ucztę

sprawiano. Szczególnie na nie silił się burmistrz Werder, któremu i o miasto szło, i o siebie, aby obojga mógł oszczędzić. Werderowska kamienica nie ustępowała domowi pani Noskowej. Wprawdzie i tu zrazu pochowano kosztowności po lochach, gdy Toruń zajmowała załoga nowa, powoli jednak, gdy się przekonano, iż rabunek żaden nie groził, wychodziło to nazad na stoły i do szaf, bo się chciano przed szlachtą zamożnością mieszczańską pochlubić.

Werder był zarazem kupcem znaczny handel prowa dzącym z Flandrią i

Anglią suknam i wyrobami tkanymi, których Zakonowi dostarczał. Poważny to był

mąż na oko, szczerzy i otwarty z pozoru, lecz niezmiernie przebiegły. Oszukać go nie mógł nigdy nikt, a mało kogo on w pole nie wywiódł. Twarz miał tak otwartą, śmiejącą się, jasną, słowo tak obfite, iż zdało się każdemu, że wszystko, co w sobie ma, wypatrzy i wygada. Nigdy wszakże nie powiedział więcej niż chciał i był

powinien.

Werderowi z Zakonem wygodnie było, szczerze też doń przywiązany w duszy, dla nowych panów zdawał się mimo to najszczerzym sługą. Kasztelan nakielski lubił go i ufał mu wielce, bo rozkazy jego spełniał w mgnieniu oka, a oprócz tego grzecznosciami obsypywał.

Każdego dnia Werder był na zamku, czasem i po dwa razy, a niekiedy się z rycerstwem zabawiał, cum debita reverentia. W domu sama jejmość, matrona poważna, i trzy córki w kwiecie wieku, świeże, silne i hoże, tak śpiewały, jak ojciec zagrał. Umiały być smutne i nieprzystępne, gdy skinął lub miłe i wdzięczące się, gdy tego była potrzeba. Były to piękności, których całym wdziękiem zdrowie i młodość; lecz rycerskiej młodzieży, poprzybierawszy się bogato, stały za trzy gracje,

zwłaszcza że humoru były wesołego i żarty lubić się zdawały.

Nie chował ich wcale Werder, chodziły i do kościoła, i po ulicach, a pono nawet z ojcem i matką na zamku gościły. Uznał wreszcie burmistrz właściwym kasztelana mieć u siebie i ucztę mu sprawić, co przedniejszych jego towarzyszków zapraszając.

Z mieszczaństwa nie było nikogo, a z kobiet tylko domowe, które

gospodarstwem się zajmując do stołu nie siadały. Wybrano dzień niepostny, aby mięsiwem nakarmić i rybami.

Naprzeciw kasztelana i jego rycerzy wyszedł do pół rynku Werder, czapkę trzymając pod pachą, i wprowadził ich do wielkiej izby na dole, umyślnie przybranej, obwieszanej suknamy, wysłanej od progu szkarłatem.

Wedle obyczaju, dwóch błaznów, choć niemieckich stało w progu, by jeśli nie mową, to ruchami szanownych gości rozśmieszać. Stół był zastawiony, choć na dwa razy tyle osób, misami jedna przy drugiej, a po tym pierwszym daniu jeszcze dwa nastąpić miały. Konwi na stole z winami, miodami więcej było niż potrzeba.

Zasiadło więc gwarnie rycerstwo, a pan kasztelan na pierwszym miejscu. Dopiero nadeszła jejmość z córkami powitać go i zaprosić, aby jadł smacznie, co Bóg dał.

Werder też, nie siadając, nad stołem czuwał. Gdy chłopcy wodę i ręcznik obnieśli dokoła, a ręce umyto, wszczął się szturm do mis okrutny, tak, że wkrótce gołe stały, a kości pod siołem (taki był obyczaj wówczas) leżało pod dostatkiem przy każdym.

Nalewano kubki, ochoczo zabawiali się wszyscy, ale gospodarz z tego mało co zrozumiał. Błazny. Wyprawiały trefne żarty na migi i miny stroiły, aby gości rozśmieszać.

Przyszło drugie danie, potem trzecie ze słodkimi potrawy, i owoce domowe i obce, a wina też nie skąpiono.

Kiedy niekiedy z miską jaką w ręku, coś osobliwego zawierającą, albo

Werderowa lub jedna z córek się zjawiała, a te oczyma przy stole siedzący jedli cmokając.

Panny były, prawda, rąk potężnych, kształtów dużych, rozrosłe silnie, ale świeże jak krew z mlekiem, a śmiejąc się pokazywały rzędy zębów białych jak perły w malinowej ust oprawie. Przytomność ich rozweselała dziwnie rycerstwo.

Trwała biesiada do mroku niemal, lecz w ostatku już przy dzbanach tylko; trzy obrusy zdjęto z trzema daniami, ostatni, który został, szyty był misternie i najpiękniejszy. Na nim misy z migdałami, figami, rodzynkami i orzechy, z cukrem w kawałkach małych, imbirem i innymi łakociami stały już tylko obok dzbanów i flasz.

Rozweselone umysły odzywały się śmiechy i śpiewami.

Kasztelan zjadł i napił się tak obficie, iż trochę czuł potrzebę drzemki, ale ta go nigdy na długo nie napadała.

Kilka razy oczy zmrużyć dosyć mu było.

W drugiej izbie siedziały panie, a była obszerna też i do niej wniknąć nikt nie broniał. Więc młodzi radzi tam byli zajrzeć do trzech panien burmistrzówien.

Kasztelanowi też myśl ta po drzemce przyszła i ruszył się zza stołu, a za nim kilku ochoczych, by pani Werderowej podziękować.

Już na próg wchodzili, gdy, jakby ich co olśniło, stanęli wszyscy nie śmiejąc go przestąpić. Pani Werderowa gospodarzyła jeszcze około dzbanków, wydając je służbie, trzy panny stały z boku, ale wydawało się teraz patrzącym na nie, jakby nagle pobrzydły i zgasły. Wpółśród nich stało strojne dziewczę, w sukni jedwabnej z grubej tkaniny, podpasanej złocistym paskiem wysadzonym, u którego wisiała złotem też szyta torebka. Suknia u góry wycięta, a bramowana bogato, obwiedziona była białym rąbków puchem. Na ślicznej szyjce wspaniała łańcuch dwa razy się zwijał i spadał na piersi, ze zwieszoną przy nim balsamką rubinami wysadzoną.

Rozpuszczone włoski kręcone świeciły jak jedwab, a mocniej stokroć oczki figlarne i usta maluczkie, ściągnięte, z wyrazem dumy i szyderstwa. Spod rękawów rozciętych i zwieszonych sukni, białe, przezroczyste, drugie, pospinane sznurkami złotymi, wystawały, obejmując maluczką rączkę, całą w pierścienie okutą.

Strojne to dziewczę nie miało, a przynajmniej nie zdawało się mieć lat więcej nad kilkanaście, lecz śmiało patrzyło, nie zląknione, na wchodzących rycerzy, choć oni widokiem jego zdawali się rażeni. Pan z Granowa patrzył i patrzył, a nie miał

odwagi iść dalej.

— Wygląda jak królowna! — rzekł do Dobka z Włoszowej, który przy nim

stał — ale któż to jest? Czy czwarta dziewczka tego Werdera?

Sklonił się w tej chwili wysuwając się z drugiej izby burmistrz i tym językiem, jakim się był zwykł tłumaczyć, przedstawił *Illustrissimo et Excellentissimo Domino...* córkę kupcowej, sąsiadki swej, znakomitej pani Barbary Noskowej, szczególnie sławiąc ją z tego, że językiem polskim mówić umiała.

Zaleciła się ona już, nim otwarła usta, samą swą powierzchownością rycerzom, którzy uwielbienia nie tając jedni drugich do drzwi ciągnęli, aby to cudo wszyscy mogli oglądać.

Ofka stała tak, wystawiona na oczy ciekawe mężczyzn, wcale nie pomieszana, uśmiechając się z pewną dumą.

— Prawdziwy ogród różany to wasze miasto Toruń! — odezwał się kasztelan

— takie u was kwitną kwiaty...

— A wy ten ogród nielitościwie depreczecie — przemówiła Ofka zbliżając się z pokłonem do kasztelana.

— Uchowaj Boże! — rozśmiał się kasztelan — grzech by był i wina okrutna; przyszedliśmy, owszem, oczy i serca nim nacieszyć. Z niewiastami wojować nie myślimy.

Urywana rozmowa, do której ten i ów rad się był słówkiem wmieszać, poczęła się w małym kółku.

Ofka strzelała oczyma, a gdzie ten strzał padł, to do serca trafił. Werderówny podobały się tym, że wedle polskiego powiedzenia wyglądały „jak łanie”, ta znowu, że do królowej była podobna i pańską miała postać, a gdy usta otwarła, zdumiewała słowem swobodnym i rozumnym.

Oczarowani nią wszyscy byliby stali patrząc do jutra, gdyby piękny ten gość, ledwie się pożegnawszy, nie uciekł i nie schronił się gdzieś w głąb domu. Posypały się pytania gradem, kto była i co za jedna. Werder rozповідаł szeroko o zamożności, bogobojności, dostojności pani Noskowej, stokroć więcej, niż sam o nich trzymał.

A gdy po owej uczcie rozeszli się goście i pan kasztelan na zamek powrócił, unieśli z niej wspomnienie najżywsze owego niespodziewanego zjawiska. Wielu się nadaremnie pozawracały głowy.

Było to w przeddzień powrotu pani Barbary Noskowej, która na drodze się z księdzem Janem spotkawszy dowiedziała się o córce i brata też wzięwszy z sobą, szczęśliwie znowu Pod Jelenia zawinęła.

Matka i córka długo się w objęciach trzymały, pierwsza nie miała siły

wyrzutów czynić, druga czuła, że nigdy jej do macierzy tak jak teraz serce nie biło.

Popłakały się obie. Poczciwy ksiądz wyprosił się zaraz i uszedł dla modlitwy i spoczynku. Z nim też obu jej- mościom nie na rękę było. Żadne mniej nie rozumiało się i nie godziło rodzeństwo. Ksiądz Jan Krzyżaków nie lubił, surowego był obyczaju mężem i cały w Bogu; Noskowa i córka jej kochały Zakon jak siostry i na wszystko dlań były gotowe. Matka nie ustępowała w tym córce, mniej tylko miała odwagi.

Przy księdzu Janie szczerze się nawet rozmówić nie śmiały, lecz gdy odszedł

nie mogły sobie nawzajem dość naopowiadać o wszystkim. Noskowa płakała nad losem Zakonu, mając go za zgubiony; Ofka żyła nadzieją.

Trwały szepty i narady do północy, aż się rozeszły w zgodzie, a córka, jak zawsze nawróciła matkę i wpoila jej co chciała, nade wszystko to, że Polaków zdradą tylko i chytrą podejść można.

Doniosła też o Dienheimie, za którym matka była zawsze. Uśmiechało się jej owe grafstwo, choć się do tego przyznać nie chciała, choć niby nim pogardzała.

— Tyle dobrego — szepnęła Ofka — że teraz mi służyć musi, a jeśli głowę całą wyniesie, a wojna się skończy, znajdzie się czym go odprawić lub... zobaczymy.

Spieszyć się nie ma czego.

Kilka dni upłynęło; jednego wieczora zapukano do drzwi, Kuno na górze się zjawił, ale zastał matkę samą.

Pani Barbara chłopca dosyć lubiła, a nawet oczyma doń strzelała, choć on tego nie zdawał się rozumieć.

Kazała mu przy sobie siąść i wina przynieść. Ofka też, dowiedziawszy się o nim, zeszła z góry, nie zadawszy sobie pracy przybrać się dla niego.

Porwał się Dienheim zobaczywszy ją; przyjęła go zimno.

— Byliście w Malborku?

— Tak jest — odezwał się Kuno — i w obozie królewskim, i na zamku w Sztumie.

— Cóżście przynieśli?

— Zlecono mi wiele, nie darmo głowę niósł, to dosyć.

Ofka się zarumieniła.

— Myślicie tu siedzieć?

— Gdy powrócę od mistrza inflandzkiego, do którego jutro ruszę.

— Malbork się nie podda?

— Ani się podda, ani go zdobędą... w obozie choroby. Rycerstwo by powracać rade, król znużony.

Słuchały kobiety, a Kuno szeroko opowiadał po swojemu. Dorabiał się w ten sposób łask dziewczęcia, które o czym innym myślało. Noskowa wychwalała Dienheima,

Ofka milczała. Próżno się o dobre słowo przymawiał.

— Spieszcież do mistrza, jeśli doń poselstwo macie — dodała w końcu —

wypoczywać długo nie potrzebujecie. Teraz i godzina coś znaczy.

Chciał Kuno odwiedzić księdza Jana. Ofka za wychodzącym wybiegła, palce trzymając na ustach.

— Lepiejbyś go nie widział — rzekła — lepiej by nie widział was. Jego serce w polskim obozie. To

święty człowiek, ale nie nasz.

Odprawiono więc hrabiego na dół pod opiekę Wolffa, a nazajutrz dostarczono mu przewodnika, tego samego starego człeka, który Ofce towarzyszył, i z rana Kuno puścił się w drogę.

W kilka dni potem w domu pani Noskowej takie same czyniono do uczy

przygotowania jak u Werderów. Trochę kobiecej próżności było w tym, aby gorzej się nie pokazać od burmistrza; więc między strachem wydawania się z bogactwy, które by łakomstwo obudzały, a dumą kupcowej, aby domowi honor uczynić, środek wybrano. Kasztelan nakielski przyjął zaproszenie z ochotą.

Przybrano dom w co tylko było można, choć Wolff się obawiał i mrużąc

sprzeciwiał. Noskowa sama przywdziała strój najbogatszy i wszystkie swe najcięższe łańcuchy, najdroższe maneły, tak że z trudnością pod ciężarem tych klejnotów poruszać się mogła. Chciała być piękną, i istotnie byłaby zgasiła inne mieszczki, gdyby nie córka. Ofka na ten dzień przybrała się skromniej, lecz z przemyśleniem wielkim. Stała u zwierciadeł próbując, w czym jej najlepiej było do twarzy, zmieniała przybory, dodawała, darła, wreszcie gdy wyszła z wianuszkiem różanym na skroni, matka się sama z radości i zazdrości razem zapłoniła.

— Ja będę dziś podczasyną — zawołała — ja kasztelanowi nalewam!

Wzrok jej zaiskrzył się, oczy błysnęły i padły na balsamkę zawieszoną u szyi.

Matka tych słów nie zrozumiała i pocałowała ją w czoło.

Uczy się zwykle w owych czasach o południu poczynały, więc nim

wydzwoniono u św. Jana godzinę, kasztelan już z zamku jechał z drużyną, wszyscy strojni w co kto miał najlepszego.

Noskowa w jedwabiach i łańcuchach, z czółkiem perłami szytym na głowie czekała w drzwiach z córką i prowadziła gości na schody.

Pierwszego dnia dziwiono się Ofce, teraz poszaleli wszyscy, pierwszy pan z Granowa, który oczu od niej oderwać nie mógł, a ona mu się też sama wzięła służyć, kąski podawać i kubek nalewać. Inni szczęśliwi byli z wejrzenia Noskowej, której wdzięki też niepoślednie czyniły wrażenie na młodzieży.

Gdy u Werderów lekkie wino zrazu nalewano i głowy długo były swobodne, tu starym sektem uraczono tak gości, że przy pierwszym daniu sobie podchmielić musieli. Ochoczo też niezmiernie biesiadowano, dziwiąc się tylko wielkiej zamożności panów kupców toruńskich i wyszukany przyprawom zamorskim,

których drudzy domatorowie i z imienia nie znali.

Ofka służyła z pilnością wielką kasztelanowi, który sarninę i ryby tak żarłocznie zajadał, iż gdyby nie wino, na najlepsze kąski pod koniec już by mu sił nie stało.

A przy każdej misie naglono do picia, i wino było tak przednie, iż się samo do ust prosiło.

Pod koniec rycerskie pieśni chórem śpiewać zaczęto. Kasztelan zmordowany, czerwony, pot z czoła uznojonego ocierał i rad był, gdy ostatnie danie z obrusem zdjęto, a pod spodem na podziw gości ukazał się jedwabny, którego brzeg perłami był oszyty. Rycerstwo patrząc nań szemrało, że chyba do kościoła się godził.

Kubek po kubku wychylał z rąk Ofki kasztelan, bo go po korzennych

przyprawach pragnienie okrutnie paliło... Już pod wieczór uczuł się z niepomiernego ucztowania jakoś koło serca niedobrze, pożegnał więc gospodynię i całe z nim rycerstwo na zamek pociągnęło. Aż do drzwi i za wrota nawet sama Noskowa ich odprowadzała dziękując za cześć domowi jej wyrządzoną.

Tak wszystko szczęśliwie się skończyło, z niemałą zazdrością Werderów, którzy w wystąpieniu Noskowej chęć zaćmienia siebie upatrywali, a wkradnięcia się w łaski pana kasztelana.

Nazajutrz rano Ofka niespokojna, oka nie zmrużywszy w nocy po tych

hałasach i zmęczeniu, wstała wprzódy niż matka i chodziła po domu wyglądając jednym, to drugim oknem w ulicę, ku zamkowej stronie.

Kilku konnych przebiegło rynek, kilku pieszych z zamku i na zamek śpieszyło z jakimś pomieszaniem.

Gromadki mieszczan zaczęły się tu i ówdzie zbierać, a kto by był pilnie na nie uważał, dostrzegłby łatwo, że ku oknom kamienicy Noskowej ostrożnie wskazywali palcami. Lecz skoro tylko kto z załogi ukazał się z dala, pierzchało wszystko. Cisza jakaś złowroga panowała w mieście.

Ofka widziała jak Werder pobiegł do zamku. Rynek się wreszcie

przywożącymi na targ zboże ludźmi i stojącymi około wagi i miary miejskiej wypełniać zaczynał. Ksiądz Jan wyszedł z mszą do kościoła.

Ofka została w domu udając spokój, ale widocznie pomieszana i wzruszona.

Około dziesiątej Werder się ukazał w rynku, idący od zamku ze spuszczoną głową. Spojrzał na kamienicę, zawahał się, oglądał i wpadł do niej. Ofka chwyciła chustkę, której już od kilku miesięcy nie szyła, i siadła jak do roboty.

Drzwi się otworzyły; wszedł Werder, ale z głową spuszczoną i posępny.

Stanął w pośrodku, jakby nie wiedział, co pocnie, włosy gładził i wzdychał.

Ofka rzuciwszy chustkę podstąpiła ku niemu.

— Niestety się stało — rzekł z cicha.

Dziewczę poblądło.

— Kasztelan obżartuch... kto go wie, nadto jadł pewnie, coście mu wczoraj dawali? Zachorował; nie by nie było, ale księdza już sprowadził; czuje, że nie wyżyje, tak go we wnętrznościach pali.

Spojrzał na Ofkę, której blade lice pokrył rumieniec.

— Jadł dużo, pił wiele — rzekła obojętnie — przecież drudzy to co i on jedli i pili, a zdrowi chodzą? Któż winien?

— Kto mu wino nalewał? — cicho odezwał się Werder — ciągle woła w chorobie, że go w winie otruto!

Ofka uderzyła w dłonie i brwi zmarszczyła strasznie.

— Ja samam mu wino nalewała, nie zapieram! — rzekła.

Na te słowa nadbiegła Noskowa z rękami załamanyymi.

— Niepoczcwiwi ludzie głoszą, żeśmy wczoraj struli kasztelana! — krzyknęła z lamentem wielkim — niepoczcwiwi ludzie!

— Z nimi ani się kłócić, ani się całować — szepnął Werder — i tak źle, i tak niedobrze. Rady nie ma. Kasztelan niezły był człowiek, kto wie, kogo po nim dadzą.

Jeszcze wyrazów tych nie dokończył, gdy we dzwony uderzono u św. Jana i wszyscy zamilkli osłupieni. Poznać było łatwo, iż dzwoniiono po umarłym.

Ofce zrobiło się słabo; ujęła poręcz krzesła, zatoczyła się i siadła. Werder podstąpił do okna.

W rynku stała kupa ludzi z głowami ponachylanymi; opowiadali jedni, słuchali drudzy. Środkiem konnych kilku w zbrojach jechało zwolna do zamku z

podniesionymi przyłbicami, spod których twarze widać było posępne i groźne.

— Kasztelan musiał umrzeć — szepnął Werder.

— Czy wy płakać po nim będziecie? — ozwała się Ofka. — Miły Panie! a toż cieszyć się chyba, że ich ubywa.

Przestraszona Noskowa łamiąc ręce chodziła po izbie.

Wtem z kościoła wracający w progu ukazał się ksiądz Jan, blady i zmieszany wielce.

— Niestety wielkie! — zawołał — i po cóż to na nasz dom spada! Pan kasztelan umarł nagle,

wołając ciągle, że został otruty. Wczoraj tu był na biesiadzie, o Boże mój! taka plama na nas! na dom ten!

— Szczęściem — odezwała się Ofka — nie on przecież sam u nas

biesiadował, byli z nim drudzy, a żyją.

Ksiądz załamał ręce w milczeniu. Werder stał osłupiały, Noskowa drżała, jedna Ofka, odzyskawszy już przytomność, z twarzą zaognioną zdawała się raczej rada temu, co się stało, niż strapiona.

— Wysłano już do króla — zawołał ksiądz Jan — na zamku popłoch

niewypowiedziany. Jedni się odgrażają, trwożą drudzy, cóż my poczniemy.

— Nikt nie będzie śmiał na nas rzec słowa! — odezwała się Ofka — byleśmy my sami, trwożąc się do zbytku, nie dali im powodu. Co dzień umierają ludzie, a przy biesiadzie śmierć za ławami chodzi.

I głową potrząsała obojętnie.

Szumiący gaj osłaniał nad brzegiem rzeki rozłożone naprędce obozowisko. Z

wetkniętych u namiotów chorągwi obliczyć było łatwo, iż ich więcej nad dwanaście nie było, ale uzbrojeniem swym wydawały, że je wybrano z najcelniejszych, które pod Zyndramem u Grunwaldu walczyły. Żołnierz to był stary, wyćwiczony i tak okuty żelazem, że cudzoziemskim i krzyżackim zaciągom mógł stawić czoło.

Pod innymi walczył lud równie mężny, ale pośledniej opatrzonej w oręż, o który naówczas nie było łatwo.

Płatnerze domowi kuli wprawdzie ciężkie zbroje, lecz one i ramionom były do dźwigania niełatwe, i nie każdemu oparły się ciosowi. Przedni rycerz sposobił się za ostatni grosz w zbroję lekką a twardą, co się cięcia i pchnięcia nie lękała. Takimi właśnie okryci byli ci, co u brzegu rzeki pod drzewy spoczywali, wysłani przez króla pod dowództwem Witoldowym, aby przeciąć drogę mistrzowi inflanckiemu, Henrykowi, który z kilkuset przednie j szymi braćmi w pomoc oblężonym śpieszył.

Witoldowe wojsko za słabe było, ażeby temu doborowi Inflantczyków

skuteczny opór stawić mogło. Szły więc Zyndramowe chorągwie, ciesząc się walką zawczasu.

Namiot księcia Witolda stał opodal na wzgórzu, a obok niego, w wykopanym dole naniecono ogień i czeladź obracała nad nim pieczeń sarnią na stół pański, aż z lasu ukazał się herold. Wojsko, które odpoczywało, gdy na skraju ujrzało konnego posła powiewającego chustą, całe niemal się zerwało, bo nikt w bliskości nieprzyjaciela się nie spodziewał, a herold zdawał się go zwiastować.

Na tarczy miał jakieś godła niemieckie rogate i szachowane, których nikt nie znał. Konia zatrzymał, podbiegł do niego od obozu starszy i długo czekano, nim na koniec poprowadzono go do Witoldowego namiotu.

Samemu księciu wcześniej dano znać, stał więc w pogotowiu na przyjęcie.

Tu i ówdzie w obozie odzywały się głosy niechętne, żeby zamiast bitwy nie przyszło do jakich układów.

Szemrano, że kawał drogi na próżno odbyły chorągwie, gdy nie spotkawszy się z nieprzyjacielem, na heroldów trafiło. Zły to był znak.

Herold przed namiotem miał rozmowę z Witoldem, lecz jej nikt słyszeć nie mógł. Dano potem posłowi przewodnika, aby sobie spokojnie nazad szedł, co też nic nie znaczyło dobrego.

Ledwie skosztowawszy, co mu jeść podano, książę o konie wołał, żadnego z dowódców polskich ze sobą nie wziął, tylko dwóch swoich i czeladzi kilku, i w las jechał.

To już było najgorszym ze wszystkich znaków. Po wojsku chodziła wieść, że na rozmowę był wezwany książę przez mistrza Hermana, który z Inflant ciągnął, a przeciw któremu wojsko było wysłane.

W istocie, o godzinę drogi, w miejscu odludnym czekał orszak Krzyżaków na księcia Witolda. Nie był on liczny. Wielki mistrz, dwóch komturów, jeden duchowny, czeladzi i knechtów kilku.

Pozsiadawszy z koni siedzieli pod dębami, oczekując, gdy Witold się ukazał.

Mistrz Herman pierwszy wstał.

Mnich to był więcej niż żołnierz, mężczyzna słuszny, cienki, nieco

pogarbiony, z twarzą i oczami przebiegłości pełnymi. Gdy w gaju ukazał się Witold, który konia wstrzymał i zbierał się zsiąść z niego, wielki mistrz pośpieszył ku niemu wyprzedzając i nadażył, gdy jeszcze jedną nogę miał w strzemieniu. Z pokorą wielką skłonił głowę. Książę dumnie go witał, lecz uprzejmie. Znali się z widzenia i ze sławy, i z sąsiedztwa nie zawsze przyjaznego.

Wasza Miłość i ja — odezwał się Herman — nie potrzebujemy świadków ani słuchaczy rozmowy. Odejźmy nieco, abyśmy swobodniejsi byli, spodziewam się, że długa nie będzie.

— Słucham was — rzekł Witold — choć nie wiem, czy już rozmowa na dobre, gdyż oręż z sobą mówić począł.

— Na dobre słowa czas jest zawsze — mówił mistrz z wielką łagodnością i przymileniem. — Zaprzysięgliście więc zgubę Zakonu?

— Radzibyśmy być w zgodzie, ale... — począł Witold.

— Nie marnujemy słów — ciągnął mistrz — króla Jagiełły sprawa a wasza, dwie są oddzielne, po co je łączycie? Mówię dla Waszej Miłości, nie dla króla.

Mnożycie jego potęgę, aby wam więcej ciążyła? Pomagacie jemu, gdy winni byście myśleć o sobie?

Kto wam zapłaci straconych ludzi, wylaną krew? Gdy Zakonu nie stanie, król znajdzie powód obrócić się na was. Czyż tak nie bywało?

— Ale dziś jest inaczej — odezwał się Witold.

— A! do czasu! — mówił łagodnie mistrz — jam się tu zbliżył umyślnie, nie dla wojny, pokój niosę i wam, i królowi nawet. Chcemy go szczerze. Złamaliście nas, potrzebujemy czasu, aby klęski jak rany się pogoiliły.

— Czegóż chcecie? co dajecie nam? — rzekł Witold.

— Ja wam przynoszę Żmudź waszą, oddajemy ją, nie królowi, ale wam, za to tylko, abyście od Jagiełły odeszli i nie pomagali do zupełnej zagłady

chrześcijańskiego, szpitalnego zakonu.

Witold uśmiechnął się trochę szydersko.

— Szpitale dziś przemieniły się w spichrze, a Zakon w pułki.

— Któż nas zmusił do tego? Niesiemy światło, tamujecie nam drogi.

— Cóż więcej? — spytał Witold nieco niecierpliwie — co więcej?

— Słyszeliście, dajemy wam Żmudź waszą.

— Któż ją oddaje?

— Zakon.

— Plauen może zaprzeczyć.

Potem Herman zwrócił się twarzą ku ludziom, których opodał zostawił.

— Oto tam stoi człowiek, wysłany do mnie z Malborka.

W orszaku mistrza był Kuno Dienheim.

— Dajemy wam Żmudź, oliarujemy wam przymierze stałe, przyjaźń i wdzięczność wieczną.

Witold się zadumał; spostrzegłszy wahanie Krzyżak mówił dalej coraz natarczywiej.

— Wasza Miłość nie odrzucaj tak mojej ofiary, jak król Jagiełło odepchnął

Plauena, bogdajbyście tego nie żałowali. Pomóżcie mi do króla się dostać, dojść do Plauena, a i z Jagiełłą pokój stanie.

Rozmowa taka poczęta, przerwana na chwilę, kilka razy za wiązywana na

nowo, skończyła się po dwóch godzinach szepty cichymi: Witold milczał, mistrz mówił, nacierał, dowodził, i z weselszą twarzą nareszcie księcia pożegnał.

Oba orszaki potem rozjechały się szybko, każdy w swoją stronę, a Witold biegł do obozu, do którego wrócił przed wieczorem. Oczekiwano go tu z

niecierpliwością wielką. U namiotu stał Krystyn z Ostrowa i kilku ze starszyny, których Witold, jakby pomieszany skinie- niem głowy powitał.

Znano go, że mówić długo nie lubił, ani się był zwykł ze swych czynności tłumaczyć. Nie rozwodząc się nad tym, dlaczego tak postanowił, oznajmił, iż jutro mistrza inflanckiego sam przywiedzie do króla.

— A chorągwie tu pozostaną? — zapytał Krystyn rzucając okiem ciekawym na księcia.

Witold odparł, jakby zmuszony:

— Wyrobiłem to na mistrzu, iż wojsko swe odeśle do Balgi i Brandenburga, sam tylko w pięćdziesiąt koni jedzie ze mną. Chorągwie do obozu wracają.

Krystyn skłonił głowę, nie odrzekł nic, a księżę Witold wszedł do namiotu.

Nazajutrz rano, przez swego herolda poprzedzany, wielki mistrz zjawił się nad Passargą. Obóz zwijano niechętnie. Wyprzedzał go księżę Witold z mistrzem Hermanem.

Pod Malborkiem dziwnie się szczęściło i nie powodziło na przemiany. W

wojsku opowiadano różne sprawy nie do wiary, które po trosze ducha odejmowały. Z

dala, na wysokim zamku, na ścianie kaplicy św. Anny widny był całemu obozowi olbrzymi ów obraz Matki Boskiej na tle złocistym. Gdy w tę stronę, na zamek, kierowano działa, mówili ludzie, że pękały. W wojsku szerzyły się wieści, że ten obraz sam zamek obraniał i że on nie może być zdobyty, póki go ta patronka broni.

Przedłużone oblężenie wszystkich zarówno nękało, najgorzej pono Ślązaków i Czechów zaciężnych, których na zamku dość było. Niemało ich też i w polskim znajdowało się obozie. Często w godziny odpoczynku trafiało się obyczajem ówczesnym, że jedni pod murami stojąc, drudzy na murach rzucali ku sobie słowa i wojowali żartami i łajaniem; nieraz też poznawano się wzajemnie, bo ci, co przed rokiem walczyli w jednej chorągwi, ramię z ramieniem u króla Zygmunta, znajdowali się teraz przeciwko sobie jako nieprzyjaciele.

Tak się właśnie poznali Czesław i Masław, dwaj Czesi, jeden z królewskiego wojska, drugi z krzyżackiego.

A byli to starzy przyjaciele i z jednej ziemi od Bolesławia. Ruszyli ramionami zrazu, patrząc na siebie i pokiwali głowami. Potem nocą raz, gdy Czesław stał na straży, podszedł Masław pod mur, rozpoczęli rozmowę po cichu.

— Macie co jeść? — spytał Masław.

— Jest jeszcze dosyć i pić też — odparł Czesław.

— Będziecie się trzymali?

— Pewnie, posłali po posiłki do Niemiec; licho ich nie weźmie, pieniędzy huk.

— Ano dosyć by tego było, niechajby król zamek wziął, i wam i nam z tym lepiej będzie.

Poczęli szeptać po cichu.

— Starszyzna wszystko robi — rzekł jeden — jakby tej niestałe, zamek by się poddał.

Od Czesława dowiedział się Masław, że Krzyżacy na godzinę przed

południem zbierali się na radę w wielkiej sali, której sklepienie oparte było na jednym słupie.

Gdyby kula mogła weń trafić, zwałyby się mury i wszystkich razem

przytłukły. Nikt ze starszyny nawet o tym spisku nie wiedział, osnuli go zaciężni sami, aby raz tę sprawę zakończyć.

Okna wielkiego „Remter” wychodziły na Nogat, gdzie na pagórku stały działa, wymierzono więc tak, aby słup kulą obalić.

Sługa namówiony, gdy wszyscy Krzyżacy i dowódcy byli na radzie, wywiesił

na znak czapkę czerwoną w oknie. Strzał był tak trafny, że kamienna kula o kilka cali tylko chybiwszy słupa, utkwiała w przeciwległej ścianie i tkwi w niej do dziś dnia.

Nie powiodło się, ułożyli najemnicy wydać zamek malborski. Maluje to

doskonale ówczesne rycerstwo polskie, gdyż ze zdrady korzystać nie chciano, uznawszy ten sposób wdarcia się na zamek za niegodny szlachetnych wojowników!

Tymczasem, gdy ze strony Zyndrama i rady wojennej Jagiełły postępowano wspaniałomyślnie, Krzyżacy przekupywali ludzi, wysyłali gońców, używali wszelkich środków godziwych i niegodziwych i śmiali się z tej prostoduszności rycerstwa polskiego.

Można już było przewidzieć koniec tam, gdzie jeden z przeciwników

przebierał w sposobach walczenia, a drugi wszystko miał za dobre, co do celu go wiodło.

Szło już o istnienie samo Zakonu, któremu śmiertelny cios zadano, a dobić go owa szlachetność nie dopuszczała.

Jagiello znużony, byłby już przyjął pierwsze warunki, jakie mu wprzód podawali Krzyżacy; oni zaś, spodziewając się posiłków z Niemiec i ufając w Zygmunta, przyjąć ich teraz nie chcieli.

W takiej chwili Witold przybył z mistrzem inflanckim, Hermanem, do obozu.

Droga i obcowanie z Witoldem dłuższe starczyły na pozyskanie go zupełne. Herman łagodnymi słowy wciąż bez ustanku wystawiał Witoldowi jego własny interes, który zawsze najlepiej do serca przemawia. Gdy do Malborka przybyli, nie ulegało wątpliwości, iż Inflantczyk na swoim postawi.

Sam Witold przedstawił go Jagielle, oddając mu nadzwyczajne pochwały i ręcząc za jego pojednawcze usposobienie. Mistrz Herman przybywał, jak mówił, jedynie dla widzenia się z Plauenem, aby nań wpłynąć do zgody.

Dopraszał się wpuszczenia do zamku na rozmowę, która by rychlejszy koniec wojny miała na celu.

Z tą samą wspaniałomyślnością, z jaką odrzucono zdradę najemników,

zgodzono się na wpuszczenie mistrza inflanckiego na zamek z całym jego orszakiem.

Znajdował się w nim i przebrany Kuno, i staruszek mnich, proboszcz gdański.

Gdy Inflantczycy znaleźli się na zamku, i oni sami, i Plauen rzeczywistości niemal wierzyć nie chcieli. Nieprzyjaciel sam dopomagał przeciwko sobie. Mistrz inflancki miał kilka dni do rozmowy i narady. Zgodzono się na to, jak zdobyte zamki odzyskiwać, jak dobra w Czechach sprzedać, aby mieć co najwięcej pieniędzy, do kogo w Niemczech zgłosić się o pomoc i listy wysyłać, jak przemówić do Zygmunta, ażeby swych obietnic dotrzymał.

Jagiello czekał z nadzieją na powrót mistrza inflanckiego, gdy ten knuł zdradę przeciwko niemu.

Na ostatek, po kilku dniach wystąpił herold, a za nim mistrz Herman z

pocztem swoim. Za nim na wozie jechał chory, jęczący staruszek, proboszcz gdański, którego wypuszczono przez litość. W wozie, na którym leżał, ukryto trzydzieści tysięcy dukatów, mających służyć dla komturów w Gdańsku, Człuchowie i Swieciu!

Mistrz wyraził wymownymi słowy boleść swą przed królem, iż Plauena

nakłonić nie mógł do natychmiastowego poddania. Przysięgał, że go namawiał, że zaklinał i miał nadzieję, że się namyśli.

Dano mu odjechać, a oblężenie się ciągnęło, ale, już coraz leniwiej. Witold był chmurny, znękany i w kilka dni potem zaczął się dopraszać, aby mu z ludźmi odejść było wolno.

— Ludzie moi — mówił — giną jak muchy, setkami; zbytek i rozpusta ich zabija, całe wojsko stracę.

Opierał się Jagiełło długo, przyrzekał mu, co chciał tylko, Witold stał uporczywie przy swoim. Trzeba mu było dać odciągnąć, a co gorzej, dla uchronienia go w drodze od napadu, któremu by się oprzeć nie mógł, dać jeszcze kilka chorągwi na zasłonę.

Odejście Witolda nie tyle osłabiło potęgę Jagiełłową, jak na duch wojsk wpłynęło. Było to oznajmieniem, przepowiednią zakończenia wojny. Połowa panów polskich rwała się do domów; zakochany Jędrzej z Tęczyna, kasztelan wojnicki, wzdychając do swej Hanny co dzień kładł w ucho królowi, że im czas do Polski powracać; że Zakon i tak załamany, już się podźwignąć nie może, dość będzie po zamkach zostawić załogi.

Wkrótce po Witoldzie książęta mazowieccy jęli się prosić z ludem na spoczynek. Tak długo byli już w polu!

Król i rycerstwo, jeśli się bez Witolda obejść mogli, tym łatwiej bez garści ich ludu.

Z murów malborskiego zamku widać było odciągające oddziały i coraz zmniejszające się zastępy Jagiełły. Na zamku zaczynało brakować chleba, a ludowi zaciężnemu cierpliwości; ale mistrz ciągnął od dnia do dnia, wiedząc przez swych szpiegów, jakie są w obozie usposobienia.

Jagiełło nie był już owym zwycięskim panem, który nazajutrz po bitwie promieniował radością pobożną; niepokoił się i gniewał. Krzyżackie oddziały na prowincji, jak spod ziemi wychodząc, rosły.

W samym otoczeniu króla zdania były podzielone; jedni namawiali, ażeby zajętego stanowiska nie opuszczać; drudzy, znękani, odkładali resztę na następną wyprawę.

Na próżno Jan z Tarnowa i Zyndram Maszkowski dowodzili, że Zakon jest hydrą, której jedną zostawiwszy głowę, wkrótce jej wszystkie odrosną; że dając czas, da się Krzyżakom sposób uratowania się; inni wołali, że Zakon zabity jest i że europejskie mocarstwa podniosą wielką wrzawę na króla i naród, jeżeli z okrucieństwem Zakon krzyżowy nękać zechce.

Piętnastego września rano król znużony radę zwołać kazał. Domyślano się o co szło, więc ci, co do niej należeli i kiedykolwiek przypuszczani byli, do namiotu pańskiego się zbiegli. Młodzież pod

dowództwem Jędrzeja z Tęczyna, kasztelana wojnickiego, starsi pod przewodem Mikołaja podkanclerzego.

Tu także stoczyć się miała bitwa walna, mająca stanowić o losie Malborka i rycerstwa.

Witold, którego mistrz inflancki zupełnie umiał ująć sobie, przed wyjazdem potrafił i słabszych, i chciwszych zjednać podarkami, aby króla skłonili do opuszczenia Malborka.

Byli i inni w obozie krzyżaccy wysłańcy, którzy ludzi bałamucili.

Mała garść widziała jasno i wiedziała nawet, że na zamku od dnia do dnia zaciężnych Plauen prośbami i pieniędzmi utrzymywał tylko, obiecując im, że Jagiełło odstąpi; wiedziała, że za dni kilkanaście, żołnierz sam, nie słuchając starszyzny bramy otworzy.

Jagiełło ze zwykłą swą powagą i chłodem zasiadł niby widz i słuchacz.

Otoczyli go panowie Rady. Wyrwał się pierwszy w imieniu większości rycerstwa, między którym rej wodził Jędrzej z Tęczyna, gwałtownie nalegając na króla, aby rycerstwu swojemu dał folgę i spoczynek, że i tak dosyć uczyniono dla sławy oręża i dla osłabienia Zakonu. Poparli go inni wołaniem i pokłonami:

— Miłościwy Panie! i wam, i nam do domów czas. Wrócimy i dobijemy

nieprzyjaciela, zostawimy załogi po zamkach. Odciągnął ksiązę Witold, poszli Mazurzy; dlaczegóż na nasze barki cały ciężar ma spadać?

Gwar powstał wielki, gdyż starsi na wstyd i hańbę wołać poczęli, a drudzy wyzywać, aż król musiał się kazać uciszyć, a księdzu Mikołajowi dał głos. Ten już z oblicza pańskiego widział, że na pół go zmiękczył Jędrzej z Tęczyna i owo głośnie wołanie i prośby.

— Miłościwy królu — rzekł :— lepej było nie poczynać, jeśli się miało nie kończyć. Na sławie stracimy, a wszystka krew wylana pójdzie na marne. Zamek ostatkami goni i poddać się musi. Stójmy a trwajmy.

Jeśli odstępując przyznamy się do słabości, Zakon podniesie głowę, wpadną w jego ręce znowu wszystkie zamki i dzierżawy. Nie uczyniliśmy nic.

To mówiąc ksiądz podkanclerzy rzucił się królowi do nóg i ze łzami błagać go zaczął, aby nie czynił swemu imieniowi i rycerstwu krzywdy największej a nie podawał się na pośmiewisko.

Przemówili inni za podkanclerzym, ale kasztelan wojnicki wyrwał się też z głosem zaraz, wiedząc, że u króla wrzawą i gwałtownością wszystkiego dokonać można. Nie odstępował więc, prosząc ze swej strony i ręcząc, że rycerstwo pójdzie z królem znowu, wypocząwszy i dzieła poczętego dokona.

A że król i przez Witolda już był wprzódy na pół ujęty, i tajemnie przez Tęczyńskiego napastowany ciągle, gdy uciszono się, aby posłyszeć wyrok jego, przemówił za ustąpieniem.

Poparci więc ci, co tego pragnęli, górę wzięli, a podkanclerzy ze swymi musiał ustąpić. Król rad by był pogodzić przeciwników i środek znaleźć jakiś, lecz środka na to nie było.

Stańło więc na tym, ażeby odchodzić, ale przykazano zarazem, aby o

postanowieniu nikt w obozie mówić nie śmiał, bo cokolwiek tu rozpowiadano, wnet szpiedzy na zamek donosili. Mimo to, nad wieczorem szeptali uradowani jedni drugim na ucho, że już odciągnąć postanowiono, dalej mówiono o tym półgłosem, a w godzin kilka głośno ten i ów tłumoki i sakwy gotował i na Żuławy, gdzie się konie pasły, posyłał po swoje. Wnet wieść na zamek dobiegła: Plauen poczuł się ocalonym.

Dziewiętnastego września z rana podpalono obozy, na mury wybiegło co żyło patrzeć; dymy te zapowiadały wyswobodzenie. Zwijano namioty, chorągwie się ściągały, król smutny wyszedł z namiotu. Przyprawdono mu ulubionego jego konia cisawego, na którym pod Grunwaldem siedział. Cisawy obejrzał się, jakby króla chciał pożegnać; zarżał, nogą kopać począł, upadł i zdechł.

Wypadek ten na wszystkich niemiłe, na królu zabobonnym najbardziej przykre wywarł wrażenie. Był to jeszcze dzień piątkowy, dzień żałobny; o mało to nie powstrzymało go od podróży, lecz rycerstwo otaczające siedziało już na koniach.

Jędrzej z Tęczyna wnet drugiego wierzchowca królewskiego podprowadzić kazał; wstydział się Jagiełło okazać małoduszność, siadł więc i wojsko w cichości ze sromem niemal ruszyło. Połowa jego przynajmniej szła posłuszna, mimo serca i woli.

Widok tych chorągwi wcale był inny, niż gdy spod Grunwaldu nadciągały.

Ludzie i konie spaśli się, wozów ładownych łupami moc się wlekła niezmierna, ale to nie było owo rycerstwo natchnione, rozgorzałe i do walki skore, oblężenie je znękało gorzej od boju.

Tak ciągnęły chorągwie pod Sztum, kędy z Brochockim pozostali załoga

Bartosz z Trębawli, Kagnimir z Tuchowca, Pakosz Bystrzonowski i kilku innych.

Wiedzieli oni wszyscy, co ich tu po odejściu króla czekało od Krzyżaków, że ani dnia, ani nocy spokojnej mieć nie będą, ale na to się święcili i harce te miłe im były.

Wyprowadziwszy króla do bram, pan Andrzej ścisnął go za nogi i prosił o błogosławieństwo, a gdy wojsko odciągnęło, wrota zamknął, zwody podniósł i stał

patrzac już tylko, rychło go zaczepią. Nie czekał też długo.

W Kwidzynie Jagiełło zwiedził celę pobożnej i świątobliwej Doroty, modlił

się i stąd jeszcze do Sztumu żywność posłał. Z rana drugiego dnia stanęło rycerstwo pod Radzynie, który od bitwy grunwaldzkiej aż do tego dnia nadaremnie oblegano.

Krzyżacy trzymali się zamku, choć miasto się już poddało. Złożono radę: czy zdobywać taki gród mocny. Znowu tedy ci, którym spieszo było, wołali, by mu dać pokój, kiedy go przez tak długi czas nie zmożono. Odłożono do jutra postanowienie.

Piękny to był i świetny dzień znowu dla owych rycerzy, co rozkazu nie

czekając jak lwy nie zdobytą twierdzę napadali. Można powiedzieć, że czterech lub pięciu dzielniejszych poprowadziło za sobą wszystkich: Dobek z Oleśnicy, Piotr Chełmski, Florek z Korytnicy i Piotr z Oleśnicy, łowczy sandomierski.

Jak mrowie obsiadło mury co żyło. Dobek podpadł pod bramę sam i kazawszy wrota rąbać, choć mu tarczę, którą robotnika zasłaniał, podziurawiono strzałami, nie ustąpił. On i jego ludzie wdarli się do niższego zamku.

Na wyższy w tej samej chwili wpadli, albo się raczej wdrapali drudzy. Florian z Korytnicy, który już stał na murze, spotkał się tu oko w oko z wicekomturem, Niemcem jak wół silnym i odważnym. Starli się i schwycili za barki, aż komtur musiał się cofnąć. Na przedmurzu Piotr z Oleśnicy już był ze swymi, choć ranny w nogę i tarczą się tylko zasłaniając.

Gdy ich ujrzała załoga, bojąc się, aby jej rozjątrzone rycerstwo w pień nie wycięło, poddała się.

Jagiełło na nieszpór wjechał do zdobytego zamku.

Piętnastu Krzyżaków stało powiązanych sznurami, czekając śmierci.

Darowano im życie. Z kaplicy szedł król do skarbcza, który strzeżono, aby się czeladź

doń nie wdarła. Stanęli kołem panowie, a król klejnoty, pieniądze, łańcuchy, sprzęt kosztowny rzucał i rozdawał najpierw tym, co zamek zdobywali, potem innym, kto się nastroczył...

Jagiełło był tak hojnym zawsze, iż ostatni płaszcz z siebie zdjąć był gotów, byle go kto poprosił.

Tu ów Jaśko Sokół został na załodze z Zyzką i innymi Czechami i Polakami.

Stąd już ciągnęło wojsko ku Wiśle, gdzie ów most długo stawiano, który wprzód tak łatwo było zbudować i przebyć. Rozchodziły się stąd łupem obciążone chorągwie.

Jagiełło jeszcze Wisłą z niewielką liczbą statków popłynął z Raciąża do Torunia, więcej aby miasto obejrzeć i wczasu zażyć niżeli z potrzeby. Wiele mu o bogactwach i piękności jego mówiono. Ludzie łącno zapomnieli, że tam się nie bardzo rycerzom wiodło, bo nie wojując z nikim, jak kasztelan nakielski, wymierali, lecz w czasie wojny nikt grobów nie liczy.

Z rana, w sam dzień św. Wacława, oznajmione mieli torunianie o

spodziewanym królewskim przybyciu. Całe niemal miasto wysypało się na brzegi i wzgórze okryte było świątecznie poprzybieranymi mieszczkami, paniami i pannami, między którymi i trzy piękne Werderówny niepoślednie zajmowały miejsce.

Wyszła z innymi i Noskowa, ale Ofka została w domu i Kuno, który tu

przesiadywał znowu, nie bardzo się rad był pokazywać.

U brzegu, kędy statki przybić miały, i szkarłatnym suknem przystań była wysłana, stanęło duchowieństwo całe w uroczystych ubiorach, z chorągwiami śpiewając: Tua est potentia, tuum regnum Domine!

Proboszcz, Krzyżak staruszek, rad nierad innym przewodniczył.

Jagiełło, z procesją wiedziony, udał się od brzegu do kościoła św. Jana, gdzie mszy wysłuchawszy jechał na zamek, kędy dlań obiad przygotowano.

Część dworu i rycerstwa podejmowano na zamku, mnogich zaś, co się z

innych grodów zbiegli dla widzenia króla, pobrali do siebie dla ugoszczenia mieszczanie.

Kuno, który stał w rynku, gdy się tłum ów rozdzielał właśnie, nie spostrzegł

się, jak go stary znajomy, ulubieniec królewski, świeżo osadzony w Radzynie, Jaśko Sokół po ramieniu uderzył wesoło się śmiejąc.

— A, to tu jesteś, zbiegu — zawołał — przecieżem cię złapał!

Kuno zmieszał się trochę; stali właśnie nieopodal od kamienicy Noskowej, a Ofka na nich z okna patrzała.

Jaśko aż wąsa pomuskał spojrzawszy na to cacko w oknie. Dziwnie strojna wyglądała dziewczyna: blada, z brwią namarszczoną, z gniewem tłumionym w duszy, usiłując się uśmiechać i ukryć, co czuła. Matki jeszcze z powrotem nie było.

Jaśko nie słuchając już odpowiedzi Dienheima oczy wlepił i cudował się dziewczęciu.

— Hej! hej! — zawołał głośno — gdyby choć godzinę w życiu w te oczy

popatrzeć.

Kuno chciał go zagadać, nie udało mu się to. Jaśko z okna nie spuszczał

wzroku.

Z wysoka spadło słowo.

— Hrabio Dienheimie, proścież swojego przyjaciela do nas! Innych już

wszystkich nasi panowie mieszczanie rozebrali między siebie, dla nas nikt nie pozostał.

Kuno pobladł; przez tych dni kilka, które spędził z nim pod namiotem, poznał

dobrze starego żołnierza i polubił go wielce. Nierad był go do Nosków prowadzić.

Sam zakochany w dziewczynie, doświadczał przy niej dziwnego uczucia

trwogi. Mówiono jeszcze o uczcie pana z Granowa, dziwne przychodziły myśli i podejrzenia.

Ofka z okna zawołała raz drugi, uśmiechając się do Jaśka i ręką go wzywając do domu.

— Chodźcie, proszę, i przyjmijcie u nas gościnę.

Rzucił się Jaśko ku drzwiom chciwie, a Kuno za nim.

Zdawało mu się, że nie zdradzając się potrafi Sokoła odciągnąć gdzie indziej; znał nienawiść dziewczyny dla nieprzyjaciół Zakonu.

— Starosto miły — rzekł wchodząc — nie idźmy my tu; dziewczę piękne, ale bałamutne. Szczerze mam rzec, nie bardzo w gościnę ochotną wierzę. Nadto tu Krzyżaków kochają, aby tym, co dla Jagiełły służą, radzi być mogli.

Jaśko się roześmiał i lekko go ręką odtrącił.

— Co mi za obawy! — zawołał — rycerska sprawa i niewieście fochy

zwycięzać. Przecież prosi, a prosi tak piękna dziewczka, że dla niej i w piekle gorzeć warto.

— To najbogatsza dziedziczka w mieście — dodał Kuno lękając się, aby Jaśko nie wziął ją za płochą zalotnicę.

— Tymci lepiej, będzie miała nas czym ugościć.

Noskowa wchodziła w drzwi z drugą jejmością, gdy się właśnie u schodów spierali. Spojrzała na urodziwego, choć niemłodego rycerza i uśmiechnęła mu się. Po rysach poznał w niej Jaśko matkę. Ona sądziła, że Kuno go prowadził.

— Chodźcie, radzi wam będziemy — rzekła. — Wszyscy w Toruniu dziś

gości mają, tyłkom ja, wdowa nieszczęśliwa, skazana na to, by jeść samotnie.

— Pan starosta królewski z Radzyna, Jaśko Sokół — odezwał się Kuno — a mój dobry i łaskawy opiekun w czasie pobytu w obozie.

Weszli tedy na górę, kędy ich Ofka czekała z jakąś niecierpliwością w progu.

Teraz z bladej twarzy jej stała się rumianą, oddech był przyśpieszony, szatański uśmiezek błąkał się po ustach. W białej rączce trzymała balsamkę złotą zawieszoną na łańcuchu.

Sokół nie wiedział już między dwiema: powabną matką a uroczą córką, na którą patrzeć i którą po

żołniersku ukochać na dwie godziny, póki na koń nie zatrąbią.

Znać się Noskowa na przyjęcie gości gotowała, gdyż stół spory był w jadalnej izbie nakryty. Prosto tam szli, bo godzina późna była. Ofka skinęła na Kuna, który był jej sługą posłusznym.

— Któż to jest ten stary gach, co tak do młodych oczyma strzela myśląc, że już i kobiety zawojowane muszą przed jego siwymi padać wąsami.

— To Czech, Jaśko Sokół, starosta z ramienia króla na zdobytym Radzynie.

— Wiem, tam gdzie stary Stein poległ mężnie na murach. To on pewnie zabił

Steina?

— Nie wiem, ale człek dobry.

— Wszyscy oni dobrzy — rozśmiała się Ofka — oni! Ależ my! my! jakie my jesteśmy dobre! Wczoraj byliśmy siostrami Zakonu, jutro gotoweśmy być diabła siostrami, gdyby do Torunia zajechał.

Spojrzała z rodzajem pogardy na Kuna, ten stał pomieszany. W drugiej izbie Jaśko dworował Noskowej i śmiał się. Usłyszawszy śmiech, Ofka drgnęła i po ustach jej przeleciało coś jak wyraz zajadłego gniewu.

W tejże chwili wbiegła do izby i siadła naprzeciw Jaśka, który z matki przeniósł wzrok na córkę.

Wtem misy zaczęto przynosić.

Żołnierz się zdumiał srebrom, pucharom i dostatkowi, choć wszystko to gasło przy blasku oczów matki i córki.

Wkrótce jednak Ofka odciągnęła go od niej zupełnie; po drugim kubku wina Sokół dopominał się całować białe ręce. Dano mu jedną, a była tak drżąca z gniewu, iż mogła się wydać drżąca jakimś uczuciem innym.

Z izby, w której jedli, po kilku schodach było wniście do wystawki oszklonej, wiszącej nad ulicą. Stały tam ławy dokoła, z których, otwarłszy okna, wygodnie patrzeć było można w ulicę. Od stołu, przy którym goście jedli, nie można było dojrzeć wnętrza, tylko jeden Kuno siedział tak w rogu, iż oko jego głębiej sięgało.

Nagle Ofka zaczęła się bardzo krzątać około kubków i wina.

Jaśko chwalił sekt przedziwny.

— A! nie będzie on smaczny, aż ja go wam z cukrem i korzeniami przyprawię

— zawołała wstając.

Kuno drgnął; dziewczę nie zważało na niego. Pobiegło po schodkach na

wystawkę i Dienheim widział, jak dobyło zza rąbków pektoralik, otwarło go, w mgnieniu oka parę kropel w kubek wpuszczając. Chciał się zerwać i biec, gdy Ofka, spostrzegłszy go, zmarszczoną brwią, okiem nakazującym w miejscu go przykuła.

Kuno struchlał. Dziewczę nalewało sekt, rzucało cukier i miałko utarte przyprawy.

Białuśka rączka kubek niosła żołnierzowi, który ze szczęścia z tej rozkoszy, łyzy miał w oczach.

— A! królowo ty moja! pewnie żaden napój w życiu tak mi jak ten nie

smakował — zawołał przejęty, kubek trzymając w ręku — ale chcesz, by mi nad wszystkie balsamy wydał się słodszy, przytknij do niego usteczka twoje, wypij kropel kilka...

Ofka się rozśmiała, oczy jej błysły.

— Jam się zarzekła, nigdy nic prócz wody nie piję — odpowiedziała śmiejąc się — tego uczynić nie mogę.

Matka chciała ją namawiać, nie wiedząc o niczym, spojrzała na nią groźnie.

Wtem Kuno, w którym serce biło, wstał, chciał podejść do Sokoła, aby mu choć przypadkiem kubek wytrącić; lecz nim doszedł do niego, stary już wychylił go do dna i przewrócił na znak, że próżny.

Wróciwszy na swe miejsce Kuno już ani jedzenia, ani napoju nie tykając dotrwał do końca, ciągle tylko patrząc na Jaśka. Ale na nim wcale żadnych skutków złych znać nie było, owszem, stał się jeszcze śmielszym i weselszym i wino dobyło z niego wspomnienia przeszłości.

— O! moje jasne gwiazdy — mówił do kobiet uśmiechając się — i ja to kiedyś byłem taki szczęśliwy, żem miał młodą, hożą i kochaną u boku niewiastę. Pan Bóg mi ją wziął. Zostawiła mi tylko po sobie dwóch chłopaków złotowłosych. Toż to będzie radość, gdy mojego Mikołajka i Jaroszka znowu na kolanach posadzę i będę im prawił, jak my się tu w Prusach bili tego i jakie piękne widzieliśmy panie.

Ofka słuchając nieco pobladła, zamyślona sparła się na łokciu.

— Powiedzcież im — dodała po cichu — jakieście wy, chrześcijanie, tłukli tych starców, co z krzyżami na piersi szli przeciwko wam... jakieście tu skarby zabrali i jak pięknie płonęły wioski, przyświecając wam po nocach do pucharów i pieśni.

Jaśko spojrzał na nią zdziwiony. Wtem przestraszona Noskowa poczęła już o czym innym mówić, usiłując to w żart obrócić.

Wtem na rynku trąbić zaczęto. — Król! król! — wołano.

W istocie Jagiełło tegoż wieczora odpływał do Nieszawy; prowadzili go

duchowieństwo i mieszczanie, i panowie Rady i rycerstwo.

W pośrodku rynku, na królewskiej drodze, stała wielka kobiet gromada; postrojone, pobielone, a ciekawe i cisnące się, by Jagiełłę zobaczyć mogły.

Król był dobrej myśli dnia tego. Ubrał się nawet lepiej niż zwykle i włożył płaszcz swój aksamitny na kożuszek i żupanik, a na głowę kołpak soboli.

Zobaczywszy to niewiast kółko przystanął i uśmiechać się począł do nich. Śmielsze z pokłonami przybliżyły się ku niemu.

— Cóż tu was tak wiele? — spytał Jagiełło — a bodaj i od mężczyzn więcej.

— Wyście to temu winni — podchwyciła śmielsza jedna — wszystkich nam

mężów wybiliście i braci. Sameśmy sieroty zostały i kłaniamy ci się. Miłościwy Panie, abys nam dał mężów i opiekunów.

— O, toć dla takich jasnych twarzy nie będzie trudno — rzekł król śmiejąc się, któremu całe rycerstwo wtórowało.

Obstąpiły tedy Jagiełłę dokoła, szczebiocąc, a choć się bał i czarów

niewieścich, i oczu dziewczęcych, rozochocony zapomniał o tym i chwilę pogwarzył.

Gdy się ruszył ku brzegowi, poszły za nim chustkami miotając i oczyma goniąc długo. *)

*) Cała ta scena i obydwie otrucia podają źródła historyczne (Długosz).

Gdy od stołu ruszyli się, a Jaśko zegnał spiesznie gospodynię, aby do króla podążyć i jeszcze go zobaczyć, bo po to był do Torunia przyjechał, kobiety do okna zbiegły patrzeć, jak w rynku króla obstąpiono.

Ofka drżąc spoglądała na to widowisko, a każdy śmiech głośniejszy kobiet odbijał się na niej drżeniem konwulsyjnym. Wtem ujrzały Jaśka, który wychodził z kamienicy słaniając się. Kuno go podtrzymywał; błądy był, sparł się o mur na chwilę, potem rzucił się dalej iść i przeciskać przez tłum, lecz chwiał się na nogach.

Pomimo to dobił się do króla i wyciągnął rękę do jego dłoni, chcąc pocałować, gdy się na bruk obalił.

Odkoczył Jagiełło na krok, nadbiegli drudzy ratować, podniesiono go z ziemi.

Sądzone zrazu, że zbyt sobie podochocił, lecz biedny Sokół jęczał skarżąc się na boleści wielkie, a że nie posądział nikogo, na rybę, której wiele zjadł, to zrzucał.

Rycerstwu zaraz przypomniała się choroba pana z Granowa, poczęli go pytać, kędy jadł. Wskazał na dom. Nic już nie powiedziano mu, lecz wszczęły się szepty i spojrzenia złowrogie ku oknom.

Kuno stał nieco opodal osłupiały.

Gdy cały lud toczył się ku brzegowi rzeki za królem, Jaśka na rękach wzięto do gospody. Kuno już za nim iść nie śmiał. Spojrzał w okna kamienicy Noskowej, nikogo w nich nie było.

Płochy i niewiele myślący chłopak pierwszy raz w życiu surowiej pomyślał o ludziach, o świecie i o kobiecie. To, co widział, przeraziło go; poczuł wstręt i trwogę razem do tej, ku której go ciągnęła namiętność. Jak pijany zawrócił parę razy po rynku.

Kilku mieszczan, których znał, obstało go.

— Ta przygoda ze starostą radzyńskim niemiła, na miasto gotowa ściągnąć złą famę. Poszalały baby!
— rzekł jeden.

— Nie żał by nam pewnie było, gdyby ich Krzyżacy do nogi wybili... ale tak...

— Ale tak! — bąkał drugi.

— Może się upił tylko.

— A pewnie! — dodał drugi.

— Tak trzeba gadać — dołożył trzeci.

— Albo lepiej nie mówić nic.

Rozeszli się.

Kuno na jakąś odwagę się zebrał i wszedł do kamienicy. Na dole miał trochę węzełków swoich, naprzód do izby się udał i spiesznie gotował do drogi. Gdy wszystko zgromadził, a pasa wziął, na górę poszedł.

Noskowa płakała siedząc na krześle i powtarzała jeden wyraz: Nieszczęście!

Dienheim, nie chcąc o tym zagajlć rozmowy, szepnął tylko, że jechać musi, bo mu czas przychodzi stawić się na słowie.

Wstała Noskowa z czułością go pożegnać i pragnąc powstrzymać.

— Rad bym został. Bóg widzi: nie mogę t— odparł cicho.

Obejrzał się dokoła, Ofki nie było; wskazała mu matka drugą izbę, w niej dziewczę, w tej wystawce właśnie na ławie siedząc, w miasto patrzyło takimi oczyma, co nic nie widziały.

Gdy się Kuno przybliżył, drgnęła, spojrziała nań i nic nie mówiąc ręką na ławę wskazała.

Potem, znowu nie mówiąc słowa, odwróciła głowę i wlepiała oczy w mury.

— Pożegnać was muszę — odezwał się Kuno.

— Jedziecie? — spytała — dokąd?

— Jestem jeńcem puszczonego na słowo i stawić się muszę.

— Złękliście się Jaśka losu, nieprawdaż? Mnie samej go szkoda. Ale po cóż im służy? My nie mamy innego oręża.

Kuno zmilczał.

— Podpatrzyliście mnie? O, niech mnie tia stos prowadzą, ja się nie zaprę!

Wiem, kto mi to dał i co mi mówił przy tym. Jednej rzeczy żałuję, że ich więcej na winie moim nie było.

Oczy miała obłąkane. Kuno spoglądał, była tak piękna, że na chwilę

zapomniał o zbrodni; zląkł się więc samego siebie i wstał, by odejść.

— Nie pytam was, czy powrócicie — odezwała się Ofka — nie wrócić

pewnie? Bo też ja bym dla was nie była żoną, ani wy mężem dla mnie... ja męża nie chcę, bo panować nad sobą nie dam. U mnie jedynym panem — Krzyż — Zakon.

— I dla niego wy... — poczynał Kuno.

— Dla niego — podchwyciła Ofka — wszystko, jam siostra w Zakonie i serce moje tam.

Dienheim nie chciał już ciągnąć rozmowy, pokłonił się, nie prosił o rękę do pocałowania. Ofka się roześmiała smutnie, spoglądając na swą dłoń.

— Lękacie się, czy tam jaka kropla nie przyłgnęła?

Skinęła mu główką dumnie i usiadła znów, patrząc w okno. Kuno, choć go ciągnęło do dziewczęcia, zwyciężył się, odszedł. Nie był jeszcze w progu drugiej izby, gdy suknia za nim zaszeleściła. Ofka biegła...

— Czekaj! — zawołała — stój! Nie jesteś wolny, bo ja cię nie uwalniam od słowa i służby. Lękasz się mnie?

Ja tak samo kochać umiem i nienawidzić. Wy walczyście z nieprzyjacielem waszą, ja moją bronią niewieścią: podejściem i zdradą.

— My, my walczymy — rzekł Kuno — bronią przeciw broni, orężem przeciw

orężowi, życiem przeciwko życiu.

— Ja także życie stawię — przerwała Ofka — lecz po cóż się mam tłumaczyć?

Spełniam rozkazy i czynię, co mi zlecono. Hrabio Kunonie, nie chcecie mnie znać więcej? Mówcie!

Spojrzała na niego wyzywająco, wlepiła oczy śmiało, patrzyła nań; choć zmieszany odwrócił wzrok, i gdy znowu spojrzał, znalazł oczy jej w sobie utkwione.

Potęga tych oczu i uśmiechu zwyciężyła go, zawahał się. Była tak dziwnie piękna, tak strasznie silna i pewna siebie, iż on uczuł się złamanym.

Ofka zdjęła z palca pierścionek i trzymając go w ręku, bawiła się nim

spoglądając na hrabiego.

— Nie chcecie więc pierścienia? odpychacie rękę? — zapytała. — Rzucę go w ulicę, niech go kruk sobie na gniazdo poniesie.

Łzy zakręciły się jej w oczach.

Nie wiedział, jak pogodzić tę czułość z okrucieństwem, w głowie mu się pomieszało, powiedział sobie:

— Zginę, ale będzie moją!

I wyciągnął rękę, milcząc, po pierścień. Ofka go z lekka cofnęła.

— Dam go — rzekła — ale służyć mi musisz... jeszcze raz. Zaniesiesz

poselstwo do Michała Kochmeistra, wójta Nowej Marchii, ażeby śpieszył pod Koronowe; dasz znać, że Osterod, Niedborg i Działdów odebrane,

Morąg się nie utrzyma, Sztum musi się poddać; Koronowe niech idą i odbiorą, siła jest mała.

Wszystko to wypowiedziała z pośpiechem, szybko, z oczyma iskrzącymi się zapałem. Pierś jej podnosiła się żywo.

— Trzeba iść — dodała — trzeba iść żywo. Niech się cieszą zwycięstwami i usypiają. My po jednym poodbieramy grody nasze.

To mówiąc obejrzała się i pobiegła do szafeczki ukrytej w murze, dobyła z niej dwa małe zwitki i wręczyła je Dienheimowi, który jedną rękę wyciągnął po nie, drugą po pierścień. Ofka patrząc mu w oczy obrączkę oddała i uśmiechnęła się, jakby z politowaniem.

— Jedź! — rzekła — wracaj; gdy do Torunia komtura powrócą, ja pójdę z tobą do ołtarza.

Za wychodzącym hrabią przestąpiła próg pokoju, w którym siedziała matka.

— Matuniu — rzekła — to mój narzeczony, dałam mu pierścień i słowo.

Lekkim okrzykiem, wesołym prawie, przyjęła tę nowinę Noskowa i podbiegła uścisnąć Dienheima, który stał zmieszany więcej, niż szczęśliwy niespodzianą dolą swoją. Nie dało mu długo zatrzymywać się despotyczne dziewczę.

— Trzeba, żeby jechał teraz — dodała — a gdy powróci...

Mówiąc to nie była wesoła, zmuszała się do uśmiechu; jakby pilno jej było pozbyć się Dienheima, przeprowadziła go do drzwi powtarzając:

— Jedź... Koronowe! pomnij! Niech idą pod Koronowo, niech odbiorą Morąg.

Wy go znacie, powinniście powiedzieć, którędy wnijsć, jak zdobywać. Jedźcie, wracajcie.

Podawała mu rękę i z dziwnym uczuciem, raczej miłosierdzia niż przywiązania, zakryta drzwiami pocałowała go w czoło. Kuno wyciągnął ręce, by ją pochwycić, lecz drzwi się zatrzasnęły i dziewczę uciekło.

Gdy z kamienicy wyszedł w rynek Kuno, w głowie mu się zawracało i długo oprzytomnieć nie mógł. Siadł wreszcie na konia, którego trzymał stary przewodnik i puściwszy go przodem, zatopiony w myślach wyjechał z miasta, które jeszcze wrzało i poruszało się świeżymi wypadkami, wyrwane ze zwykłego trybu życia. Rad był z tego, że przynajmniej sam podróżą swoją kierować nie potrzebbwał, całe staranie zdawszy na milczącego przewodnika, który na zapytania skinieniem tylko głowy znać mu dawał, ażeby był spokojnym. Zaledwie z miasta wyruszywszy, stary okiem rzucił po okolicy i gościniec wymijając przez pola i zarośla puścił się małymi ścieżkami.

Po wyjściu Dienheima Ofka przypadła do nóg matce, kryjąc głowę na jej

kolanach; nie mówiły do siebie słowa. Obie nadto, choć różnie były wzruszone.

Wśród tego milczenia, które każdy szelest, co je przerywał, czynił strasznym dla Ofki, z wolna otworzyły się drzwi. W progu ukazał się ksiądz Jan, nie jak zwykle odziany, ale w starej sukni swej podróżnej, z sakwą przewieszoną przez plecy i kijem w ręku. Powstająca na widok jego Noskowa zdziwiła się pełnemu znaczenia ubiorowi brata, więcej jeszcze twarzy, wyrażającej wzruszenie i kapłańską powagę.

W zwykłych dniach był on w jej domu jakby pokornym sługą i bogomodlęcą

nadwornym, stawał na boku, odmawiał modlitwy przed jedzeniem, mało się mieszał

do rozmów, a część dnia znaczniejszą spędzał w kościele św. Jana.

On i siostra, która mu należny dla duchownego okazywała szacunek, nigdy się dobrze zrozumieć nie mogli.

Ksiądz Jan był dawnym sługą Jagiełły, kobiety gorliwymi siostrami Zakonu.

Cichy kapłan, nie mogąc ich nawrócić, milczeć wolał niż rozdrażniać.

Nie było długo mowy o odejściu i opuszczeniu domu Noskowej, która sądziła, że brat przy niej pozostanie.

Przełękła się więc tego nagłego podróznego stroju, który dla niej i dla Ofki znaczył, że kapłan otrząsnąć chciał pył z nóg i zerwać węzły, jakie ich łączyły. W tej chwili było to wyrokiem potępienia.

Ksiądz Jan smutne, ale uroczyste miał oblicze. Wszedł do środka izby, stanął, podparł się na kiju i rękę wyciągnawszy ku Noskowej rzekł:

— Bądźcie zdrowi, mnie wracać potrzeba, niech Bóg ulituje się nad wami.

— Jak to? chcecie nas opuścić? — zawołała rzucając się ku niemu Noskowa

— dlaczego?

— Nie jestem tu potrzebny — odpowiedział wzdychając — pójdę się modlić w kościółku moim.

— Lecz, bracie, dlaczego ten pośpiech? — spytała kupcowa.

— Dziś czy jutro, wszystko to jedno; odejść potrzeba, niech Bóg ulituje się nad wami.

— Nie mówisz mi szczerze — przerwała Noskowa — chyba cię co odpycha

od domu mojego?

Staruszek zamyślił się.

— Tak jest — rzekł — odpycha mnie to, że trzymacie z ludźmi, z którymi ja trzymać nie mogę. Wyście siostry krzyżackie, a ja, ja proszę Boga, aby się ulitował

nad nami, jak nad wami, bo to nie są ani zakonnicy, ani żołnierze Chrystusowi, ale dzieci Baala, ale rozbójnicy i szalbierze.

Noskowa krzyknęła z oburzenia, a Ofka cofnęła się kilka kroków i milczała stojąc w płomieniach, niekiedy mierzając wuja okiem gniewnym.

— Oczyma moimi patrzałem na ich czyny, przeszedłem ziemię te podbite,

nasłuchałem się o ich życiu i sprawach — mówił dalej ksiądz Jan — sam Bóg kierował ręką

Jagiełły, by złamał ich potęgę.

— Ona nie jest złamana — przerwała Ofka gwałtownie — nie!

— Jeśli nie jest nią jeszcze, to będzie — ciągnął dalej ksiądz Jan — gdy czas, który Bóg dał do nawrócenia, użyją na złe, nie na pokutę i kajanie się za grzechy. A gdzież ich skrucha? gdzie pokuta? Grzeszą coraz więcej i brną coraz głębiej, a ciągną z sobą sługi swoje.

— Siostro moja — czulej odezwał się ksiądz Jan — jedna krew w nas obojgu płynie, więc choć wszystkich ludzi miłuję równo, ale więcej ciebie nad innych bliźnich. Siostro moja, nie chcę opuścić domu tego, bym ci nie rzekł: pokutuj i ty i nawróć się, ty i dziecię twoje. Chrystusowi służcie nie Krzyżakom, bo ci szatanom służą, a wy z nimi i dla nich też samą służbę sprawiacie.

Zamilkł na chwilę ksiądz, a gdy Noskowa zaniósłszy się od płaczu nie

odpowiadała, ciągnął dalej:

— Matko, źle wychowałaś dziecko, będziesz mieć na sumieniu zgubę jego.

Ofka zbliżyła się na kilka kroków zuchwale.

— Co mi macie do zarzucenia?

— Wszelką rozpustę i swawolę — odparł ksiądz Jan — przestałaś być

niewiastą, stałaś się dzikim zwierzęciem.

Ofka roześmiała się urągliwie, a matka usłyszawszy to porwała się gniewna.

— Bratem mi jesteście — zawołała — ale nie po bratersku karcicie!

— Owszem, po ojcowsku, bom duchowny; po bratersku, bom nie przestał być bratem waszym, dopóki nie tracę nadziei nawrócenia.

Wtem dziewczę przerwało, biorąc się w bok jedną ręką i podnosząc głowę.

— Przecież kapłani są też między Krzyżakami i zakonem oni są, a w

Chrystusa wierzą i N. Pannę czczą, i św. Jana mają za opiekuna, a wasz król Jagiełło poganin chrzczony dwa razy daremnie, bo pogańskiej skóry z siebie nie zrzucił. Tak, dobrzeście powiedzieli, mój Ojczy, jesteśmy siostry Zakonu, matka i ja, i chlubimy się tym, i będziemy nimi, i zostaniemy do ostatniej życia godziny.

— Bóg z wami! — spokojnie odezwał się kapłan i kij poruszywszy głowę

skłonił ku drzwiom się zwracając.

Matka i córka nieporuszone stały w miejscu. Zuchwałstwo Ofki ośmieliło Noskową, ale ją wstyd ogarnął jakiś, gdy brata ujrzała już biorącego za kłamkę.

Szybko chwyciła za worek wiszący u pasa, dobyła z niego kilka sztuk złota, które ze zwyczaju nosiła, i pobiegła za księdzem.

— Nie idźcie ode mnie z gniewem — rzekła doganiając go — proszę was.

— Nie z gniewem idę, ale ze smutkiem. — szepnął ksiądz Jan — prawdę rzekłem, obowiązek spełniłem, wszystko skończone.

Noskowa chciała mu w rękę wcisnąć jałmużnę, ksiądz Jan z lekka ją odtrącił.

— Niepotrzebne mi złoto wasze — rzekł — a lękałbym się go nieść, aby mnie dlań w drodze gdzie rabusie nie napadli. Jestem sługa Chrystusów. Gdziekolwiek krzyż i kościół po drodze, a dla ubogich szpital, idę się do stołu z ubogimi. Strawy mi nie odmówi nikt, suknia dotrwa do domu, a obuwie zdarte pomoże, bym boso spędził ciężką pielgrzymkę moją.

I powtórzył raz jeszcze:

— Bóg z wami!

Noskowa stała oparłszy się o mur, nie śmiejąc go już napastować, on, nie oglądając się, szedł zamyślony ku wyjściu i rynkowi, a spostrzegłszy drzwi kościelne otwarte jeszcze, zawrócił do św. Jana, aby przed podróżą się pomodlić.

Nad wieczorem spytawszy o wielki gościniec, pacierz razem począł i podróż, nie troszcząc się ani o wojnę, co go otaczała, ani o porę spóźnioną.

Dnia 10 października, w dzień piątkowy św. Gereona, liczne rycerstwo polskie, zbierające się w miasteczku Koronowie, właśnie do postnego zasiadło obiadu. Wesoło było pod szalaszami i szopami, w których zastawiono lada jakie stoły na beczkach i palikach, po większej części z wydartych tym samym szopom drzwi i wrót złożonych. Nie było tam obrusów wykwintnych, a mało kto ręcznik z sobą miał, by ręce otrzeć. Zastawa też nie była wykwintna wcale, bo strawę czeladź przynosiła w czarnych garnkach, a polewane miseczki niewielkie nie wszyscy mogli dostać i ręce też posługiwać musiały; lecz przy dobrej ochocie ci, co w domu na srebrze jadal, radzi byli glinie.

Rycerstwa zastęp był niewielki, lecz dobór najpiękniejsi. Co gnuśniejsze —

powróciło do domów, co przedniejsze' — zostało. Wszystko to szło pod jedną tylko chorągwią, którą niósł Toporczyk Piotr Ryterz, z dwoma krzyżami szkarłatnymi w polu białym. Trudno wszystkich policzyć, trudniej wybrać celniejszych, bo to było czoło same, ale z imion rycerskich niepoślednie miejsce zajmowały: Sędziwoja z Ostroroga, wojewody poznańskiego Nałęcza, Wojciecha Malskiego tegoż herbu, Toporczyków kilku, Łabędzi, Habdanków, Ostojów, Różców.

Starostą i dowódcą był Toporczyk Piotr, Niedźwiedziem zwany, silny jak niedźwiedź i zarosły.

Jeden Rej z Nagłowiec, Brochocki Andrzej, Skarbek, Zaklika znani byli spod Grunwaldu jeszcze. Wszyscy ci przedniejsi rycerze nie darmo to imię i pas nosili, nie tylko mieniem, ale wprawą, nauką i męstwem się sławiąc. Było naówczas tak zwane rycerskie rzemiosło sztuką, której się od młodości uczyć było potrzeba, a miało nie tylko reguły dla oręża, ale zakon dla serca. Nie był rycerzem, kto z mieczem i z uczciwym słowem obchodzić się nie umiał, kto czci swej nie szanował, kto bezbronno napadł, kto ze zdrady korzystał, kto się czymkolwiek splamił.

Siedzieli po społu rycerze, gdzie indziej młodzież, co pasów jeszcze się nie dosłużyła, i czeladź, i pacholankowie, i żołnierz zaciężny. Misy z rybami, o które w Brdzie trudno było, szły na stół i dzbany zaczynały nachylać, gdy pan Andrzej Brochocki zawołał do Jana Naszana z Ostrowiec Toporczyka:

— Jaśku, serce moje, wszystko mi się widzi, że rychło przyjdzie do rąbaniny...

dłonie mi czegoś świerzbią.

— Bogdajbyś, panie starosto, był prawdziwym prorokiem: żołnierz, który stoi, psuje się, tyje, cięższe i rozpieszca.

— Nie bój się — mówił Brochocki — nie da ci Płaceń ani Kochmeister do

tuszy przyjść, ino ich nie widać. Niemcy im zaciężnego ludu nasłali siłą, bo bitwa grunwaldzka popłoch wielki uczyniła aż do Renu, a gorszy wstyd. Sprzedali ziemię w Czechach i miły druż Zygmunta Węgrzyków im podesłał... Pilno im to poodbierać, co się samo pooddawało nam i co za Malbork stracimy.

— Nie wspominaj Wasze Malborka — wtrącił Sędziwój z Ostroroga, który w końcu stołu z Niedźwiedziem siedział. — Serce się kraje, gdy pomyślimy, żeśmy go mieć byli powinni.

— Witoldowa to robota — mruknął Malski — ja mu nigdy nie wierzę.

Zdradził nas pewnie.

— Żmudź mu za to dali — wtrącił inny.

— Panie Andrzeju — rzekł Naszan Topór — wy to lepiej od nas wiecie, dużo ich tam znowu jest?

— Jużciż nie tyle, co było pod Dąbrowną — rozśmiał się Brochocki — ale zawsze poczet duży. Niemcy to płodny naród, rodzi się ich naraz po dwóch, po trzech, i żyją to lada sucharem, a skórę mają twardą.

— Nie lubię ich — mówił Ostroróg — ale z respektem jestem. Rycerstwo

mają dobrze wyćwiczone, oręż przedziwny, a rzemiosła u nich jak nigdzie.

— Tylko — ozwał się Niedźwiedź — ani z Francuzami, ani z Hiszpanami, ani z Włochami u nich równać się nie mogą. Zobaczcie zbroje niemieckie przeciw włoskich i hiszpańskich, albo miecze lub tarcze.

Chciał coś mówić Niedźwiedź jeszcze, gdy postrzegł, że pachole, które z jego tarczą chodziło, biegło pędem doń z twarzą rozjaśnioną. A tuż u żołnierskich mis powstał rozruch, bo każdy co mógł chwycił i naprędce do ust niósł, zrywając się z ziemi.

— Co u Boga! — krzyknął Ostroróg — ludzie ruszają!

— Krzyżacy idą! Krzyżacy!

Rozległ się odgłos — Krzyżacy! ale Niedźwiedź, ruszywszy z pieńka, na

którym siedział, przez złożoną dłoń zawołał:

— Cicho! cicho, a do zbroi i koni! Cicho!

Poszło tedy hasło: — cicho! — i szmer już tylko słyhać było, a rycerstwo, rzuciwszy garnki i misy, niektórzy w prędkości i poobalawszy stoły wyruszyło wyprzedzając się co żywiej ku klasztorowi nad rzeczką, kędy stały konie i większa część tam swoje zbroje poskładała.

Taka była ochota wielka a serce do boju, iż zdyszani wszyscy dobiegli siodła kłaść, kopie chwycić, zbroje nakładać. Nie każdy dobrze sprzączki dopilnował, a szyszaki na drogę podpinać odłożono.

Tu z góry zarośla, które osłaniały nieco, dozwoliły stanąć w bojowym szyku i zastęp cały zebrać; aż gdy Niedźwiedź wszystkich oczami zliczył, wskazał ręką, Piotr Toporczyk podniósł proporzec z dwoma krzyżami i zza gąszczy

wystąpiło rycerstwo niespodzianie jak spod ziemi.

Krzyżacy o kilkoro staj, nie widząc i nie słysząc nikogo, a mając wiadomość o słabej załodze w Koronowie, posiadali byli z koni i rozpatrywali się właśnie, gdy im tuż zbroje błysły i czerwone kopie na oczach stanęły

Tak byli niegotowi do boju, iż dopiero po konie puszczone zaczęli bieć, otrąbiać się i dosiadać. A że Niedźwiedź po rycersku czas im dawał i nie śpieszył z napaścią, póki w szeregi się nie zbrali, mieli go dosyć, by koni dosiąść i puścić się cwałem nazad.

Walki snadź tak niespodzianie przyjąć nie mogli, a i miejsce do niej było dla nich niedogodne. Puścił się tedy Niedźwiedź i łucznicy królewscy w pogoń.

Chorągiew szła w porządku za nimi. Strzały leciały gęsto i trafiały wielu, ludzie i konie padali. Na łuczników coraz to się w pędzie odwracali Krzyżacy, a ci cofali się ku swej chorągwi; lecz ledwie nazad poczęli umykać, znowu im na karkach siedzieli.

Miała czas i reszta rycerstwa nadążyć, bo ten harc godzinę niemal trwał. Czuli wszyscy, że to dopiero przekąska, a sama uczta przyjść musi, gdy się ku sobie zwrócą.

Dwa zastępy gnały się tak aż pod Łącko, wioseczkę na górze położoną, nad którą wzniosłe miejsce obrawszy

Krzyżacy postanowili przyjąć bitwę, zaufawszy w to, że przeciwnik w dole się usadowi, i że całym pędem nań rzuciwszy się, szyk łatwiej złamią.

Ale mieli do czynienia z Sędziwojem, Niedźwiedziem i Brochockim, ludźmi rycerskiej sprawy, którzy też rachować umieli.

— Starosto — pędząc zawołał Toporczyk do Brochockiego — patrzcie ino na zbroje, to nie lada ciury i knechci, ale prawe rycerstwo... Hełmy i tarcze świadczą.

Płaszczy białych dosyć, ale pasów niemieckich jeszcze więcej.

— Z pomocą Bożą nie będą te zbroje za twarde na zęby nasze! — zawołał

Brochocki.

Niedźwiedź przypadł do chorągwi i w prawo z wojskiem ruszył ku wzgórzu także, aby nieprzyjacielowi korzyść odebrać. Co więcej, obrotem tym to sprawił, iż celniejszy rycerz, który już stał w pierwszym szeregu, musiał, czoło chcąc stawić, zmienić stanowisko i zawrócić w stronę.

Gdy się oba wojska ustawiły, spostrzeżono też znaczek jeden, ze dwoma

polami, białym i czerwonym, który niósł rycerz smukły i zwinny.

Mogli się dobrze przyjrzeć jedni drugim i porachować, bo stali blisko i każdy swego wybierał. Tu dopiero okazała się prawda tego, co Toporczyk zawczasu zwiastował: niemiecka siła i znaczna była, i dobrana. Rycerz w rycerza w pełnej zbroi, tarcze żelazne lśniące, hełmy kryte, miecze u boków i młoty, i toporki. Na hełmach to pierze, to różne niemieckie dziwolągi się niosły; w tarczach też znaki były dla Polaków nieczytelne, ale mocno różnymi ingrediencjami przyprawne. Gdy na polskich widziałeś podkowy z krzyżem, topory, księżyce, na niemieckich wszystko razem było pstro pomieszane. Ludzie w pierwszym szeregu jak mur stali, ramię do ramienia, rosłe, krzepkie, ogromne. Kopie długie przed nimi jak las sterczały.

Lżejszy był z drugiej strony rynsztunek, a nie pośledniejszy wcale, tylko żelastwa mniej, kaftany bite i szyte, i koszul żelaznych a misiurek z czepcami siła.

Stali tak przeciw sobie chwilę, gdy z przeciwnych szeregów, jak to było obyczajem, wyjechał Ślązak Konrad, Niemczem zwany, rycerz ze dworu króla Zygmunta, zawołany do turnieju i wybrany do boju na rękę.

Wiedzieli Niemcy dobrze, że nie odmówią Polacy i wyjedzie pewnie który przeciw niemu; rachowali zaś na to, że gdy zręczny Niemcz go zwali z konia, wojsku odejmie otuchy jednemu, a drugiemu jej doda.

Gdy się wysforował naprzód Ślązak, wywijając kopią i głośno wyzywając, spojrzeli po sobie niektórzy, bo tu się wiele ważyło. Serca nie brakło nikomu, ale siły i zręczności było trzeba. A stał z brzegu Szczycki Doliwa, który był z takich harców sławny, i gdy ruszył, uradowali się wszyscy. Ponieważ Ślązak był przystanął, a ciężko zbrojny konia nierychło ścisnął, Doliwczyk nań natarłszy

kopią go z siłą wielką pchnął, tak że się zachwiał i własna mu z ręki na ziemię padła, ponieważ Szczyckiego włócznia nie strzaskała się, dźwignął ją raz jeszcze, ugodził w pierś i Ślązaka już ruszonego z siodła na ziemię obalił.

Huknęło całe wojsko z jednej strony. Koń Niemcza, poleciał wierzgając, a Krzyżacy, nie czekając już dłużej, kopie do boków wzięwszy puścili się. Z drugiej strony też szereg cały dźwignął się ku nim.

Łomot tylko druzgocących się kopii i okrzyki słychać było.

Z obu stron ci sami to byli rycerze w większej części, co z sobą pod

Grunwaldem się ścierali, ale tego dnia szczególny charakter przybrała walka. Szyki się nie mieszały, ludzie nie rozpierzchli; każdy niemal z jednym się bił i łamał, jakby jego tylko na rękę wyzwiał. Kto kopię skruszył, a resztę jej na hełmie przeciwnika połamał, rzucił ją, a brał się do miecza i młota i kuć zaczęli wszyscy, że tylko brzęk i jęk słychać było i nawoływanie, bo łajano się też i krzyczano nieustannie. Kto swojego powalił na ziemię, albo z kim koń padł, znalazł się zaraz świeży w miejscu jego zastępcą.

Po pierwszym starciu Brochocki krzyknął do Naszana Toporczyka:

— Gorąco będzie!

Jakoż długo nie można było wcale odgadnąć, na czyją się stronę szala pochyli.

Niemcy stali mocno i bili się dzielnie. Pierwszy szereg tak był dobrany, że go złamać silono się na próżno. Tylko kto w nim, albo z koniem lub z konia się obalił, ten się już nie podniósł, bo zbyt ciężkie zbroje o swej sile wstać nie dawały, a swoje i nieprzyjacielskie konie tratowały leżących.

Trzeba było widzieć, gdy się po dwóch ścierali najdzielniejsi, jak przyłbice brzęczały i hełmy trzaskały, jak dziurawiły się tarcze i pękały miecze.

Trwał ten bój tak długo, a tak zacięty i nierozstrzygniony, iż w jednej chwili wszyscy znużeni, poczęli wołać o rozejm z obu stron.

Rozstąpili się nie dalej jak na kilkadziesiąt kroków, a widok był osobliwszy, gdy to wszystko posiadało z koni i na ziemię popadało.

— A co! — wołał z szeregu Niedźwiedź do Krzyżaka naprzeciw — pomacaj zbroi, masz na niej ode mnie pamiątkę.

— A weźcie-no hełm swój i opatrzcie — odpowiadał z przeciwnej strony — tam też pono na żelazie blizna, jeśli przez nie do głowy nie przeszła.

— Głowa cała! — śmiał się Niedźwiedź.

Tak samo Brochocki z drugim rozmawiał, inni też ze swymi, tak że i śmiechy było słyhać i patrzący z dala myśleć mógł, że jedno wojsko i przyjaciele się zabawiają.

Poodcłaganu na bok rannych i odniesiono za szeregi, pachołkom kazano konie sprzątnąć, a po pół godzinie siedli wszyscy znowu, z okrzykami i odgrózkami.

Ustawiły się szeregi, zanucono pieśń. Rzuciły się na siebie dwa wojska jeszcze zajadlej, lecz z tym samym co pierwej skutkiem.

Brochocki wołał do Naszana:

— Bracie Toporze, kto ten dzień przeżyje cały, będzie go opowiadał dzieciom, a synowie mu nie uwierzą.

Brochocki, że i siłę miał i szczęście, dwóch Niemców już wprzód w niewolę wziął. Jednego z łańcuchem pysznego człeka, co mu się odgrażał, ranił i dobił

leżącego.

Niedźwiedź i inni dokazywali cudów, lecz co się z pierwszego szeregu

sprzątnęło, zastępowali Krzyżacy niepoślednimi też i walka w miejscu trwała bez skutku.

Było dobrze z południa, gdy po dwugodzinnym boju zawołano o rozejrn raz drugi i każdy mu rad był, bo siły ustawały.

Znowu tedy z koni zsiadli.

Rozmowy pierwsze szły teraz jeszcze żwawiej. Wyzywano się do przyszłej walki. Niemcy z wozów poprzynosili baryłki z winem i krzepili się. ,

— Dziwże tu będzie, gdy nas, uchowaj Boże, przygniotą; kiedy my po wodzie, a te bestie po winie!
— zawołał Brochocki.

— Żeby walka była równa — po polsku zawołał Krzyżak z drugiej strony —

ślemy wam wina baryłkę.

— Bóg zapłać! oddamy wam to w boju i— rozśmiał się pan Andrzej —

dawajcie.

Knecht krzyżacki chwycił baryłkę i potoczył ją, ale na polu tyle było potrzaskanych drzewc, że się zaraz wstrzymała; skoczyli więc młodszy i baryłkę zabrali.

Za to rannego Krzyżaka, który leżał bliżej polskich szeregów, zaniósł dwóch, Ossoria i Doliwa, i oddało Niemcom.

— Zbroje macie za ciężkie! — mówił Niedźwiedź — wierzycie nadto w grube żelazo.

— Gdybyśmy go nie mieli — odparł któryś z przeciwnika — zdałoby się nam, że w koszulach walczyliśmy.

Ocierano pot z czoła, przewiązywano rany; ale słońce zniżało się ku

zachodowi. Gdy starszyzna znowu się do koni brać i nawoływać zaczęła, młodszy a niecierpliwszy zaklinali się głośno:

— Już tego dosyć! Żartowaliśmy cały Boży dzień, trzeba począć robotę.

To starcie miało w istocie stanowić o losie walki, i każdy teraz siadając na koń żegnał się krzyżem świętym, bo nie wiedział, czy z niego zsiędzie. Spróbowali się nie- przyjaciele wzajem i czuli, że zapaśników mieli przeciw sobie równie dzielnych jak sami byli.

Brochocki, Niedźwiedź, Naszan stanęli teraz tak, ażeby przeciwko chorągwi krzyżackiej miejsce im wypadło. Gdy po raz trzeci zwarli się, jeszcze żadna strona nie uległa, miecze się szczybiły nadaremnie, tu i ówdzie krew po zbroi ciekła, niejednemu spod hełmu szła struga, ale trzymali się wszyscy. Wtem Naszan, pochwyciwszy chwilę, gdy właśnie naprzeciw siebie dostał Henryka Franka, który niósł chorągiew krzyżacką, wpadł nań, płatną! Po drzewcu silnie i tuż za płótno chwyciwszy, zręcznie je około siodła okręcił. Rzucili się nań Krzyżacy odbierać, ale go zasłonięte. Stał się popłoch. Szereg niemiecki ugiął się. Pierwszy chorąży krzyżacki z placu począł uchodzić, co drugich za sobą pociągnęło.

Puściła się za nim pogoń Toporczyków i Okszców. Zamęt coraz był większy, a Niedźwiedź głośno począł wołać:

— Kto w Boga wierzy, siecz a bij!

Już uchodzili z placu, co żyło siadło im na karki.

— Siecz a bij! — wrzało dokoła.

Naówczas Brochocki, który się był rozpalił do niepamięci tą walką,

uchodzącego młodego chłopaka, znacznego bardzo tym, że zbroję miał szmelcowaną i złocistą, toporkiem w głowę ugodziwszy, w miejscu ubił. Gdy padł, a rozpiął mu się szyszak i rozwinęły włosy złociste i śliczna twarz ukazała, panu Andrzejowi samemu żal się zrobiło chłopięcia, bo był w kwiecie wieku i możnej rodziny Elchingerów, za którego, gdyby go był w niewolę dostał, zapłaciliby byli krewni mało sześćdziesiąt tysięcy czerwonych złotych.

Rej z Nagłowiec i inni chwycili samego wodza Michała Kochmeistra wójta; dostał się do niewoli Niemców, co taką złą wróżbą bitwę rozpoczął, a z nim dworzani króla Zygmunta wielu. Ci znać do turnieju w szrankach na podwórcu dobrzy byli, ale w polu nie tędzy.

Pospolitego ludu Franków, Ślązaków, Bawarów, Turyngów, Czechów i

wszelkiego niemieckiego plemienia nabrano mnóstwo wielkie.

Już późną nocą dopiero skończyła się pogoń i wracający z łupem i

niewolnikami legli przy ogniach na poboju. Dopieroż chórem śpiewać a weselić się poczęto, dopiero opowiadać i trefne stroić żarty.

— Co najpewniejsza — odezwał się Brochocki — że ryba nam ostygła, aby ją psy może koronowskich mieszczan zjadły. Toporze, bracie, co twój żołądek powiada?

— Strapiony wielce, a w dodatku spowiadać się trzeta, bośmy się w piątek krzyżackiego mięsa najedli i post złamali.

Na poboju pobrawszy zbroje i sakwy, i konie, i oręż, i co łupem było, powiązawszy jeńców, wreszcie łuczyna pozapalawszy poszli wszyscy z pieśnią pobożną jak należało do miasta, naprzód pod klasztor dawny cysterski, gdzie składy były, a potem do namiotów i stołów.

Ryby rannej prawda nie było i znaku, ale mieszczanie wiedząc o zwycięstwie postarali się o inną, a na zamku też coś zapasu było.

Gdy wozy krzyżackie przyszło zabierać, a Brochocki poszedł ze zbroją po Elchingerze i orężem szukać miejsca, gdzieby je złożył, o mało nie osłupiał

postrzegłszy siedzącego między wozami Dienheima. Bez zbroi, bez miecza, w odzieży prostej, dawny jeńiec Pana Andrzeja na ziemi skurczony i już związany pół

leżał, pół siedział.

— Kuno, a wy tu co robicie? a słowo? — zakrzyczał Brochocki.

— Nie biłem się — odparł zarumieniony Dienheim — wzięli mnie Krzyżacy

w drodze. Każcie rozwiązać, proszę. Gdybym się bił, albobym padł był w tej strasznej bitwie lub ranny był przynajmniej. Zbroi ani kaftana nie mam.

Brochocki podszedł i dobywszy noża sznury zaraz porozcinał.

— A co? — zapytał — cóż powiecie o dzisiejszej sprawie?

— Mój panie — smutnie odparł Kuno — albo Grunwaldzkiej waszej warta lub po rycersku więcej niż ona.

Lecz tym co polegli, oddajcie cześć, bo i oni bili się walecznie.

Brochocki hełm zdjął i głowę pochylił.

— Cześć wszystkim — rzekł.

Zabrawszy z sobą Dienheima poszedł pan Andrzej też do miasta, bo każdemu spoczynek był potrzebny.

Na poboju, że noc była ciemna, straż tylko zostawiono do jutra.

Z pola zaraz Zaklika z Korzkwi do króla do Inowrocławia pojechał z oznajmieniem o zwycięstwie, które nieco malborski błąd poprawiło.

Nazajutrz, co się tym rycerzom obojej stron należało, poszły wozy po ciała ich, zarówno Polaków jak Niemców, aby z uczciwością pogrzebione były przy kościele koronowskim. Ogromna moc jeńców, prawie cała właśnie na cmentarzu stojąc, oplakiwała straty swoje.

Spod Koronowa wojsko ruszyło do Bydgoszczy, gdzie trzy dni stało, i tu, zwyczajem ówczesnym, zniesiono łupy wszystkie dla podziału między zwycięzców.

Tu Jagiełło nadesłał sześćdziesiąt wozów po jeńców znakomitszych i rannych, a sam czekał nadchodzącej chorągwi z wielką wdzięcznością i radą, a wesół jak od Grunwaldu go nie widziano.

W Inowrocławiu dla rycerstwa i jeńców, bo dla tych szczególne zawsze miał względy, kazał król nagotować wieczerzę i służbę do niej naznaczył ze swego dworu, dla rannych wcześniej opatrzone mieszkania i opiekę.

Ten pochód do Inowrocławia i wjazd prawdziwie był uroczysty, wojsko

ochocze, pokrwawione, lecz wesołe, jeńców tłumy, wozy pełne białych płaszczy krzyżackich, dalej lud pieszy, rycerstwo konne, łupy, konie.

Miało się pod noc, gdy to wszystko nodciągnęło do miasta. Król stał na koniu i witał a poznawał.

Z rycerzy krzyżackich oniemiałych, z głowami spuszczoneymi, nikt ani urągał, ni szydzić śmiał, pocieszano ich ludzko. Jeden Kochmeister siedząc na wozie, wilczymi oczyma patrzył na króla i na to, co go otaczało. Chciał go Jagiełło dobrym słowem obdarzyć, ale się opryskliwie odezwał:

— Nie weselcie się zawczasu, oddamy za swoje i z nawiązką.

Potem królowi grozić począł, tak że go musiano osobno oddzielić i w kajdanach do Chęcińskiego zamku odesłać.

Z zaciężnym żołnierzem, gdy się do stołów usadowili, poszedł sam król mówić, aby temu obalamuconemu ludowi, który mniemał, że za krzyż walczył, okazać jawnie, iż rozbojowi, wydzierstwu dopomagał.

Stoły dla niewolników przygotowane były po szopach, a dworscy Jagiełły posługiwali — prawdziwa uczta ewangeliczna. Każdy kubrak inny, niemieckie suknie i śląskie gunie, i płaszcze

odarte, i suicmany z kapturami, i kapoty, i żupany, pocięte, odrapane, pozszywane jako tako białymi niemi. U jednych włosy długie, u drugich powygalane, wasy a brody wszelakiego kształtu, i ludzie też rudzi i czarni, mali i ogromni. Gdy król wchodził, wstawali wszyscy, ale kazał im siadać i sam poza stołem się przechadzał, niektórych zaczepiając, jako Niemca i dworaków Zygmunta, którym ostrą prawdę rzekł.

Tłumaczyli się, że byli ludźmi nieświadomymi i że prawdy się im dowiedzieć było trudno, a drudzy dowcipem i śmieszkami jak mogli się osłaniali.

Jagięło, wedle zwyczaju, prawie wszystkich jeńców, krom Krzyżaków, powypuszczał potem na słowo i obdarzyć jeszcze kazał, aby z głodu nie marli.

Potem, choć już noc byia, jeszcze się kazał z pochodniami prowadzić po kwaterach, gdzie ranni leżeli, aby im podziękować i obdarzyć. Radość była wielka wszędzie, a choć który ledwie zwlec się mógł z łóżka, wstawał na przyjęcie takiego gościa.

Wieczór to był dla wszystkich pamiętny, bo nigdy Jagiełły nie widzieli weselszym i dobrotliwszym jak tego dnia.

U jednego tylko Reja, który był szpetnie w ręce cięty, trafiła się przygoda niemiła, bo mu ktoś był miskę jabłek przyniósł i postawił na stole. Król skoro na próg wstąpił, a zapach jabłek go doszedł, którego cierpieć nie mógł, wnet się, nos ścisnąwszy w rękę, cofnął.

Nikt nie wiedział co by to było, dopiero dworzanin oznajmił i jabłka

wyrzucono precz, a okna pootwierano, aby izbę wywietrzyć. I tak przecie król długo wytrwać nie mógł, bo mu jeszcze te nieszczęsne jabłka czuć było.

Nie występowali już później Krzyżacy nigdzie w pole, aby się mierzyć z rycerstwem polskim, ale swoim sposobem, zdradą i wycieczkami, zamki na powrót odzyskiwali.

Polskie załogi wytrzymać nie mogły wpośród kraju zewsząd przez nich

zajętego, w którym krzyżowały się niewidoczne sieci, a tych uniknąć było niepodobna. Dobrowolnie więc załogi, co słabsze grody opuszczały, pobrawszy z nich, co się tylko zabrać dało. W Morağu, z pomocą tego Abła, co w popiele legał, a niby z psami kości ogryzał, tak Krzyżacy podkradali się i naciskali, że w końcu go musiał Brochocki porzucić, tym więcej Sztum, który żywności nie miał, a narażony był więcej jeszcze.

Z dozwolenia też królewskiego, do domu, dzieci i żony chciał pojechać, aby spocząć, bo przez ten czas nikogo nadeń czynniejszego nie było i szablą, i głową, a gdzie najciężej, tam albo się on sam prosił, albo go pewno posłano.

Wprawdzie się to wynagrodziło sowitym łupem, lecz zapłaciło zdrowiem.

Znalazłszy Dienheima w Koronowie, już go pan Andrzej puścić nie chciał, a Kuno też, choć pierścień

miał na palcu, jakoś do Torunia nie śpieszył. Dopiero, gdy wieść gruchnęła, że w Toruniu znowu panowanie krzyżackie wróciło, jął się niepokoić Kuno i jednego rana poszedł do pana Andrzeja sam. Było to już na drodze, właśnie w czasie pochodu do Inowrocławia, w Bydgoszczy.

Wybrał sobie taką chwilę, gdy pan Andrzej dobrego był humoru, choć mu

nigdy 'na nim nie zbywało. Wiązano sakwy, opony różne i naczynia, których po zamkach nabranych król wiele rozdarował.

— Panie starosto — odezwał się Dienheim — choć zrazu ostroście się

obchodzili ze mną, alem miał dużo dowodów waszej łaskawości dla mnie i dobrego serca. Pozwólcież mi się do niego odezwać jeszcze.

— Chcesz, bym cię bez okupu wypuścił? — spytał Brochocki.

— Jak mnie dziś widzicie — rzekł Dienheim — żadnego za siebie dać nie mogę, a do brata słać daremna rzecz.

— Więc musicie choć rok u mnie w Brochocicach konie najeżdzać — począł

śmiejąc się starosta. — Nie mam już ani jednego jeńca, aby go w domu pokazać, choć grafiątkiem znad Renu się pochlubię.

— Jam przyszedł was prosić o folgę — rzekł Kuno — mam dziewczkę, bogatą

kupcownę, która mi słowo i pierścień dała, dozwólcie mi jeszcze raz pójść się o nią upomnieć. Jeśli dotrzyma słowa, może i okup zapłacimy.

— Tym ci lepiej! rycerskie słowo — podchwycił Brochocki — stawicie się za cztery tygodnie w Brochocicach. Okupu ci wielkiego nie naznaczę, ale waszmość wiesz, my nie bierzemy żołdu, służym o własnym koszcie, okup, i łup to cała zapłata za potłuczone kości i doznaną biedę.

Począł się starosta dowiadywać jak daleko było, i co za jedna swatała mu się dziewczka, i od słowa dowiedział się w końcu wszystkiego, aż śmiechem parsknął.

— Szatan nie dziewczyna — rzekł patrzeć na nią pewnie miło, a zenić się nieprzyjacielowi bym nie życzył; ale kto w czym smakuje, radzić trudno. Znać z was rycerz mężny, kiedy się na to porywacie. Więc jedźcie i wracajcie.

Było naówczas między wszystkimi orężnymi ludźmi, choćby z obozów

nieprzyjacielskich, braterstwo takie, iż Brochocki jeńca puszczać pożałował go, że odarty był i nie mógł się przystojnie stawić przed mieszczanką. Dał mu więc i koni dobrych parę krzyżackich, i siodło jedno piękne, i delię szytą, i odzieży co było potrzeba, czym sobie ujął serce Dienheima.

Rozstali się więc w Bydgoszczy jak najlepiej, a że Kuno dawszy słowo

rycerskie powróci, o tym starosta wcale nie wątpił. O przewodnika nie było trudno, puścił się więc hrabia samotrzeć ku Toruniowi, dobrze konie podkuwszy, bo mrozy już ścisnąć zaczynały i gruda była ostra.

W drodze kilka razy to go polskie oddziały chwytaly, to krzyżackie, lecz się wykazywał papierem, że jeńcem był na słowie, a takiemu nic nie czyniono z jednej, ni z drugiej strony, chyba, gdyby go Polacy z bronią byli w walce ujęli; w takim razie odsadzony od czci, dałby na placu głowę.

W Toruniu w istocie wrócić było już panowanie Zakonu, który wrac zemstą bezsilną, sposobił się do odwetu.

Wszyscy, na których podejrzenie padało, że hrólowi nie tylko służyli, ale mu zbyt byli powolni, srogą teraz kaźń cierpieć musieli.

Plauen, obrany wielkim mistrzem, z nadzwyczajną gorliwością krzątał się dla przywrócenia sił utraconych Zakonowi, lecz straty były ogromne, kraj wycieńczony, ludzie rozpierzchli, zamki poogałacane, a owa wieża dukatów pełna, o której rozpowiadano między pospółstwem, musiała się opróżnić wielce. Wprawdzie ze sprzedaży ziemi w Czechach wpłynęły sumy znaczne, ale na zaciągi nowe

ogromnych też było potrzeba.

Chmurnym rankiem dostał się Kuno do Torunia, nieustannie po drodze i w bramach pytany, wodzony i badany, kto by był i z czym jechał — obawiano się bowiem zdrady. Nie chciał wprost zajeżdżać do kamienicy pani Noskowej, aby się odziać przystojniej i przyjść w lepszą porę, zbyt bowiem było rano. Zawróciwszy do gospody Pod Konia, że naówczas nigdzie osobnych izb dla podróżnych nie było, musiał razem z innymi pójść do hali na dole, gdzie i gwar był, i tłok znaczny. Jedni wstawali z posłania na ziemi, odziewali się drudzy, golił balwierz w pośrodku, przy wielkim ognisku grzali się zziębli, a dziewczki zaczepiane przez wesołych nocleżan gotowały i piekły co było potrzeba.

Gospoda była niemila i niespokojna, ale innej naówczas podróżny nie znalazł.

Posłańcy, kursorzy, handlarze, woźnice, kilku zaciężnych żołnierzy, wszystko w kupie gwarzyło tu, łajało, krzyczało, a nierzadko się kłóciło i do noży porywało.

Znalazł sobie przecie kątek Dienheim, gdzie mógł sakwy swe rozwiązać i odzież zrzucić. Służąca mu przyniosła kubek grzanego wina, którego zażądała a spojrzawszy w oczy i wzięwszy się w bok zapytała, czy nie do Noskowej przyjechał?

Kuno poznał w niej sługę, którą tam widywał, ale chcąc ją wypytać, słowa nie mógł dobyć; poszła do garnków ramionami ruszając.

Zostawiwszy konie i przystojnie się odziewszy, poszedł do kamienicy. Stały drzwi otworem, na górze też, gdy zapukał, wnijsć mu kazano. W znanej izbie znowu tak samo przybranej jak była, siedziała Noskowa w krześle, ręce założywszy, a obok niej młody jeszcze, zdrów i przystojny

mężczyzna, z wąsem i brodą, półtrycersko ubrany, tak że poznać było trudno czy mieszczaninem był, czy żołnierzem. Postawa, w jakiej siedział, oznajmiała, że tu był jak w domu; pochylony nieco ku wdowie, z nogą na nogę założoną, jedną ręką wąsa podkręcał, a drugą w bok się trzymał.

Noskowa ku niemu słodkie oczy zwracała, gdy w progu Dienheim się ukazał.

Zjawienie się jego widocznie ją zmieszało, poruszyła się nieco i ręce złożyła zdziwiona.

— Powracacie nam jakby z drugiego świata, grafie Dienheim — zawołała —

świadczyli ludzie i wszyscyśmy już byli pewni, że pod Koronowem zabito was; znajdowali się nawet tacy, co ciało widzieli.

— Ano, przecie żywy przed wami stoję — rzekł Dienheim.

— Podziękujcie Bogu, bo tam słyszę wojsko Jagiełły nabiło wiele rycerstwa naszego.

— Byłem świadkiem tego rycerskiego dzieła — wzdychając i oglądając się dodał Dienheim.

W czasie tej krótkiej rozmowy siedzący mężczyzna mierzył go oczyma.

Wdowa wskazała nań ręką.

— Sprzykrzyło mi się wdowieństwo i sieroctwo — odezwała się — a oto

widzicie męża mojego, pana Pawła Hentscha, rycerskiego człowieka, któremu już od kilku tygodni zaślubioną jestem.

Pan Paweł z lekka się skłonił. Hrabia Kuno nie mógł ukryć zdziwienia

swojego, gdyż po tak długim wdowieństwie, nie sądził nigdy, aby Noskowa swą wolność na jarzmo małżeńskie zamienić miała. Znać się to i w jego twarzy odbić musiało, bo wdowa poczęła się żywo tłumaczyć, że już dłużej tak żyć nie było podobna.

— Cierpiało się, cierpiało — ano raz koniec trzeba było położyć temu. Z

ludźmi sobie rady dać nie mogłam, było co cierpieć za grzechy. Teraz tak statecznego i zacnego obrawszy sobie małżonka, spocząć przynajmniej będę mogła.

Poczęła się rozwodzić nad tym, jak się Wolff zestarzał, jaki się nieład wkradł i ile strat poniosła przez wojnę. Dienheim na próżno oczekiwał jakiej wzmianki o Ofce i na wszystkie strony szukając jej oglądał się.

Dostrzegłszy to, poczęła coś na ucho szeptać mężowi pani Pawłowa, a ten rad nierad wstał i zakręciwszy się po izbie, wyszedł.

— Gdzież córka wasza? — zapytał niecierpliwie Pienheim.

— Siadaj i słuchaj — poczęła wdowa — to niewdzięczne dziecko.

I poczęła popłakiwać, więcej jednak dla przyzwoitości może niż z wielkiego żalu.

— Trafił mi się ten człowiek stateczny — mówiła dalej — ale jak tylko okazał mi miłość swoją i zamiary,

Ofka zakrzyknęła, że ojczyzna nie ścierpł. Zaklęła się na wszystko święte.

Bunt mi podniosła w domu. Stary Wolff wziął jej stronę. Szczęściem, że to mężczyzna stateczny, bardzo stateczny i ma swoją wolę, i nie dał mnie sieroty pokrzywdzić przez własne dziecko. Poszłam więc do ślubu, choć się rozbijała; ale nazajutrz...

Tu głosu zabrakło pani Pawiowej.

— Nazajutrz, gdy się Paweł wniósł do kamienicy, Ofki już nie było.

— A cóż się stało? gdzie jest? — zawołał Dienheim.

Wdowa zaczęła suknię na sobie poprawiać i oczy wywracać.

— Co ja łez wylałam, co łez wylałam — mówiła.

Dienheim słuchał chciwie, wdowa zdawała się zwłóczyć umyślnie.

— Wiecie, panie grafie, że my wszystkie tu półsiostrami jesteśmy, ale nie zakonnicami, Ofce się w głowie przewróciło. Uciekłszy z domu dała się w Elblągu postrzyc i oblec, i została siostrą szpitalną.

— A mój pierścień? słowo? przyrzeczenie?

— Ona sobie z was jak z drugich żarty stroiła — dodała Pawiowa — ona was nigdy nie kochała, a uchowaj Boże, byście ją poprowadzili do ołtarza, nie byłoby szczęścia w waszym domu.

Kuno stał osłupiały.

— Usiądź no, panie grafie, i uspokój się, ja wcale temu nie jestem winna —

mówiła Pawiowa. — Dziecko było zawsze krnąbrne i samowolne. Omałośmy

życiem nie zapłaciły za pierwszego starostę i za tego Czecha, któregoście tu wy przyprowadzili, bo i ten później w Brześciu zmarł, a na nas rzucili podejrzenie trucizny.

Zmieszała się mówiąc to, spuściła oczy i zniżyła głos.

— Kto to może wiedzieć, co ta szalona czyniła; ja życia mojego Pawełka kochanego nie byłabym pewna, gdyby ona z nami w domu mieszkała, bo się z tym nie tajiła, że go nienawidziła.

Zamilkła gospodyni, milczał i Dienheim, ale burzył się.

— Przecie słowo coś znaczy, gdy raz dane było, a jam od niego nie uwolnił, pierścień na palcu mam! Jeździłem gdzie mi kazała, czyniłem, co poleciała, wróciłem wedle jej woli i dla niej. To nie może być!

— Ale ona śluby uczyniła — przerwała Pawiowa — cóż wy, z Bogiem o nią staniecie do walki i z Zakonem.

Ona habit wdziała, ona przysięgła.

Dienheim się rzucił.

— Więc ani wspomniała o mnie? — zapytał gniew- nie — więc szydziła sobie ze mnie?

— Gdym jej mówiła o was, śmiała się tylko i ruszała ramionami i nazywała was, wiecie jak? Wiecie, co o was mówiła? „To mój knecht, a królowe za knechtów za mąż nie wychodzą!”

Krew uderzyła do twarzy Dienheimowi, wstał, miarkując się, ażeby nie wybuchnąć, ścisnął usta silnie, spod powiek przymrużonych białka mu świeciły.

— Gdzież jest córka wasza? — spytał.

Pani Pawłowa zdawała się namyślać i wahać.

— Ja nie wiem dobrze, przy szpitalu w Elblągu, albo w Malborku może lub gdzie już ją na wieś wysłali.

Skłonił się hrabia Kuno.

— Szczęścia wam życzę w małżeństwie nowym i bywaj mi pani zdrową — rzekł.

Chciała się zegnać czulej gospodyni, ale na twarzy tak srodze zawiedzionego gniew spostrzegłszy, zatrzymała się.

Dienheim drzwi za sobą zatrzasnął i poszedł nazad do gospody. Tu wprost do stajni się udał i konie siodłać kazał. Do siodła przywiązany miecz opatrzył i próbował go, ludzi zaczął pędzić, ażeby rychlej się do drogi gotowali i z miasta zaraz wyjechał.

Chociaż pani Pawiowa rozgniewana była na córkę, zostało jej przywiązanie do dziecięcia. Wychodzący z gniewem widocznym Dienheim przestraszył ją. Posłała więc natychmiast po Pawełka, który w dolnej izbie już przy korzeniach zaprawnym winie siedział. A że mu się nie chciało go porzucać, bo grzane było i smakowało, wziął z sobą kubek na górę.

W progę przyjęła go jejmość, załamując ręce.

— Nic dobrego nie wróżę — odezwała się — po tym człowieku. Gotów nie

wiem co uczynić, bo się szalenie kochał w tej głupiej dziewczce. Trzeba go śledzić, co on myśli i co pocznie.

— A cóż on począć może? — roześmiał się Paweł sącząc wino. — Ma ona

tam opiekę lepszą niż w domu i krzywdy jej uczynić nie dadzą. Nie ma się czego lękać. Na zakonnice się nie porwie, boby szyją to, albo więzieniem wiekuistym opłacił.

Jejmość patrzyła, słuchała i uspokoiła się nieco, w końcu jednak zaczęła męża prosić, po twarzy go głaszcząc, ażeby starał się wywiedzieć, a choćby za Dienheimem posłać.

Urodziwy młody mąż nie bardzo rad był ruszać z domu i wygodny

odpoczynek mieniać na podróż bez celu.

Opierał się długo, lecz zobaczywszy łzy, poszedł. Dienheima już w mieście nie było. Musiał więc konia siodłać i na zwiady wyruszyć. Dopiero drugiego dnia od ludzi się dowiadując i przepytując, doszedł Hentsch, iż ścigany do Elbląga pojechał.

Trzeba więc się było za nim wybierać, za co przynajmniej nie żałując go, wyklinał

Paweł. W Elblągu okazało się, iż ani Ofki, ani jego nie było.

Nowoobleczone siostra wybrała się z rozkazu komtura dla pilnowania rannych w odzyskanym Morągu.

Jechać za nią i za Dienheimem nie miał ochoty wysłany. Wolał, towarzyszków dobrych znalazłszy, zasiąść z nimi za stół i do kości. Miał taką naturę Hentsch, iż raz rozpoczynawszy hulankę, nierychło poprzestał; zbiegł tydzień cały na zabawie w gospodzie, gdy jednego dnia przyniesiono do niej wiadomość, że w Morągu stał się wypadek dziwny. Nieznajomy jakiś rycerz wkradł się pod szpital nocą i gwałtem porwał siostrę zakonną, którą uwiózł z sobą. Nieprędko się spostrzeżono i uganiano się za gwałtownikiem dni kilka, ale dognać go nie było podobna. Jednak znać czując pogoń rzucił po drodze zakonnice, którą osłabłą i w gorączce przywieziono na wozie do szpitala. Sprawcy tego napadu pochwycić nie było podobna.

Wiadomość ta zdała się niedorzeczną Hentschowi, lecz sprawdzić ją chcąc musiał towarzyszków porzuciwszy na koń siąść i przerzynać się na miejsce.

Już po drodze potwierdziło się z różnych ust opowiadanie, tak że o nim wątpić nie było podobna. Dobiwszy do miasteczka, dowiedział się na pewno pan Paweł, iż zakonnica porwana została, że jej przez dni kilka nie było, że pogoń odzyskała ją chorą i zabłąkaną w lesie, gdy się jej uciec udało; że potem chora jeszcze leżała w szpitalu, lecz teraz już była zdrowa i około rannych chodziła jak przedtem.

Chociaż Hentsch wiedział, że go Ofka znieść nie mogła, poszedł jednak próbując, czy mu się nie uda zasięgnąć lepszej wiadomości, z którą by powrócił do matki.

; Niełatwo mu przyszło do szpitala się wprosić, a trudniej jeszcze mówić z siostrą Magdaleną, gdyż to imię w Zakonie przybrała Ofka. Do celi jej przy szpitalu wszedłszy, gdy go poznała, myślał, iż go natychmiast wypędzi. Zmienioną ją znalazł, ale nielepszą jak była.

— Czego wy chcecie ode mnie? — zawołała.

— Przychodzę od matki.

— Ja nie mam matki — odparła Ofka.

— Nie ze złem przecież do was idę, ale żebym jej przyniósł wiadomość.

— Jaką wiadomość? — podchwyciła — że mnie zbójca pochwycił, aby mi

wstyd uczynił, zem mu się potrafiła wyrwać, powrócić, cóż więcej? Nie mam wam co powiedzieć.

I odwróciła się od niego.

Hentsch znalazł ją mizerną, zbladła i gniewliwszą niż bywała; wielka jej piękność znikła prawie, zostały tylko ślady jakby ogniem jakimś wypalonego oblicza, rysów szlachetnych z oczyma dzikimi.

Na próżno starał się ją ułagodzić i uprosić jeszcze słów kilka; w końcu groźbą wyprawiała go precz ze szpitala.

W miasteczku i między rycerstwem krzyżackim mówić się o tym wzdragano.

Komtur zakazał ust otwierać. Siostra Magdalena miała nad sobą opiekę wielką i obawiano się jej powszechnie. Czyniła co chciała w szpitalu i rozporządzała starszyzną zakonną. Ostra dla podwładnych, przykra dla chorych, obchodziła się z wszystkimi jakby mszcząc się za to, że jej na świecie źle było. Zapewne z rozkazu jej komtur kazał zaraz wyjeżdżać Hentschowi precz, zagrażając, aby się tu więcej nie śmiał pokazywać.

Musiał więc Paweł powrócić do Torunia i uspokoić żonę, połowę tylko

prawdy jej powieściawszy. Wkrótce też ucichło o tym wypadku, bo o nim mówić zakazano.

Paweł, miodowe miesiące spędziwszy z żoną, wcale niespodzianie zaciągnął

się znowu pod chorągiew, mimo jej oporu, i znudziwszy się znać w domu, życie dawne rozpoczął z zaciężnymi z całego świata, zbieranymi na Zakonu obronę.

Gdyby z mogił swych i grobów kamiennych powstali dawni kraju każdego

mieszkańcy, a przyszli szukać starych siedzib, w których spędzili życie, błędziliby po swojej ziemi

jak po obcej, nie mogąc odszukać ani dworów, gdzie stały, ani lasów, gdzie rosły, ani rzek, gdzie płynęły. W miejscu starych puszczy, wydarte zielenieją pola; gdzie były wioski, rosną teraz lasy; rzeki suche opuściły łożyska; mogiły rozorały pługi; kości w pył się obróciły. Cmentarze złotą kołyską się pszenicą; na łąki muł i piasek naniósł rzeki; stawiska wsiami zabudowano; potoki w głąb ziemi pouciekały. Mieni się tak wszystko, pada i rośnie. Ziemia chłonie ruiny i pożera mury. W owych czasach, których sięga opowiadanie nasze kraj zupełnie inną miał

postać. Większą jego część stare, jeszcze nie trzebione zalegały bory i puszcze, łączące się z sobą i stanowiące nieprzebyte kryjówki dla zwierza i ludzi, a niewyczerpaną skarbnicę. Z nich wówczas szły dochody szlachcica, z nich w większej części żył włościanin; była to komora i spiżarnia, w której ludzie i wilki gospodarowali. Wydzierano półka powoli, karczowano już lasy, ale znaczniejsze obszary zajmowały zarośla i puszcze.

Gdzeniegdzie nad brzegiem rzeki, u strumienia, nad stawem lub jeziorem wznosił się dwór częstokolony, a przy nim wioseczka niewielka. Dalej rozsypane były jak Bóg dał po uroczyskach dworki i chaty, i budy, i szałas, i ziemianki, jak nasiona przyszłych sadyb po lasach, z których wsie później i osady rosnać miały.

Na wielkich przestrzeniach ludności szczupłej było przestronno. Tam gdzie już pół wydartych świeciło więcej, na kopcu sypanym lub na brzegu podniosłym widać było grodek książęcy lub możniejszego szlachcica zameczek. Każdy z nich, od niespodzianej napaści opasywały błota i wody, wały, częstokoły lub mury. U

podzamcza cisnęły się chaty dworskiej służby, czeladzi i rolników.

Tych ostatnich prawie najmniej było jeszcze. Las dostarczał czego do życia było potrzeba — oprócz chleba. Zwierzyna stanowiła pokarm, pszczoły dawały miód i воск, krupę gotową zbierała z rosą na błotach niewiasta, gdy manny dojrzały.

Na wydartym półku, po spalonych gałęziach bujnie też zboże rodziło, choć go niewiele siano; lada jaka socha, radło i brona, często zastępowana gałęziami, starczyła do uprawy. Około chaty i dworu mały ogródek karmił warzywem i owocem. W

odległych zakątkach kraju lud jeszcze na wpół był dziki.

Ci co już chodzili modlić się do kościołów, po kryjomu jeszcze w lasach pod dębami stare obchodzili święta i bili ofiary na rozdwojach, a kościół nie mogąc wykorzenić pamiątek starej wiary, nowe do nich przywiązywał znaczenie. Drogi po kraju stanowiły rzeki i wyjeżdżone, a wydeptane ścieżyny, które deszcz wymywał.

Im dalej od miast i ognisk życia, do których nowy, obcy osadnik przybywał, gdzie się zbieg chronił, tym ciszej było i puściej. Dwa i trzy dni drogi po niektórych okolicach zrobić było można nie spotkawszy ani żadnej wsi, ani chaty. Obozowano po lasach, nocowano przy ogniskach, węgle i doły znaczyły dla przyszłych podróżnych miejsca spoczynku, w których bliskości wodę znaleźć było można i leśne dla koni wypasy. Inaczej też wyglądały naówczas dwór i osady szlacheckie, niżeli w późniejszych wiekach.

Brochocice pana Andrzeja, w których żonę i dziatki zostawił, leżały wśród wielkich lasów, obejmujących je dokoła. Coś pół wydartych przy dworze i wiosce, złożonej z dworskich ludzi służebnych, okrężało budynki. Wieś i dwór stanowiły jedno i życiem jednym tętniły, które z dworu od pana płynęło. Stara osada możnego człowieka, która by się dziś wydała nam bardzo niepozorną, na owe czasy pańską się zwać mogła.

Na wzgórzu zbudowany był ów dworzec, na kamiennym podmurowaniu, cały

z kolców dębowych olbrzymich, o dwóch gankach ze słupami rzeźbionymi, z wysokim dachem, kominami grubymi i dwiema chorągiewkami herbowymi. Po

stronach ciągnęły się podsienia, na misternych też słupkach oparte. Z głównych drzwi sień obszerna przerzynała dwór na przestrzał. W niej wielki komin dwudziestu ludzi mógł objąć pod gzymsami i ogrzać zimą, gdy służba gościnna na panów swoich tu oczekiwała. W prawo były izby dla czeladzi, spiżarnie i schowanka a alkierze i fraucymer jejmości; w lewo komnata dla przyjęcia gości i druga ze stołami do jedzenia i mieszkania państwa, i izba pana, i bokówki dla dzieci. Izby na górze pod dachem mieściły część izb dworskich.

Tuż stał folwark, gdzie mieszkał włodarz i podstarości, z drugiej strony stajnie obszerne, które pańskiego wymagały oka. W rogu piętrzył się lamus murowany, jak baszta, któremu naprzeciw odpowiadała z krzyżykiem kaplica.

Wszystko to okalał podwórzec obszerny, w pośrodku którego był słup do przywiązywania koni, gdzie też harcowano, biegano, rzucając dziryty i sprawiano sobie pod dobry humor małe rycerskie turnieje. Wysokie parkany i tyny otaczały dziedzińce, budynki i ogrody, bo i od zwierza zimą, i od ludzi po wszystek czas trzeba się było mieć na ostrożności, a nocą chodzili stróże z grzechotkami, aby nigdy czujność nie ustawała.

Z wielką prostotą urządzone było wewnątrz domu w Brochcicach, ale spod niej widać było starą pańską zamożność. Na prostej z tarcic podłodze leżały kobierce wschodnie; na kominach gliną lepionych stały puchary i konwie srebrne, i naczynia złote. Mało kto miał piec kaflowy, bo drogocenne kafle trzeba było na kopy z Niemiec sprowadzać. Większą część izb ogrzewały ceglane i gliniane ogromne piece, do których z sieni rzucano kłody całe, co się dzień i noc paliły, a stróż ich, drzemiąc, pilnował. Mieszkał on tu, spał, siedział i jadł z garnka, dopóki go drugi nie złuzował.

Wieś miała rzemieślników własnych i obchodziła się nimi. Byli tacy nawet, co na raz dwa rzemiosła sprawowali i celowali w obu.

Po długiej i niepewnej jesieni, która się z wilgocią przeciągnęła do grudnia, gdy wszyscy już na tę przepadziłą zimę utyskiwali, bo mrozu wszystkim potrzeba było, a lękano się powszechnie, żeby spóźniona nie odbierała swej należności na wiosnę — w wigilię wigilii Bożego Narodzenia niebo się wyjaśniło i silny mróz pochwycił.

Z radością powitano blady lazur, słońca trochę i drogi rozkisłe stężały, a kałuże szklaną pokryły się powłoką.

Zbierało się na ponowę, bo mimo mrozu czuć było śnieg w powietrzu i lasy czarno z daleka wyglądały, co było znakiem jeśli nie deszczu, to śniegu.

Starościna Brochocka z dwiema dorastającymi córkami siedziała w swojej izbie, przepatrując bieliznę stołową, którą z ogromnych skrzyń dobywano, przejętą ziół wonnych zapachami. Pani Hanna była jeszcze w sile wieku, twarzy miłej, tuszy wspaniałej, a w domowym niewykwintnym stroju bardzo jej było do twarzy.

Obyczajem owego czasu miała na głowie czepiec biały jak śnieg, zawinięty tak, iż całą jej twarz świeżą i różową okalał i końcami szerokimi spadał na ramiona. Ciemna suknia obramowana szkarłatną wstęgą w szerokich fałdach układała się na kształtnej jej postaci. Dzień to był powszedni i starościna żadnych, oprócz grubego, ślubnego pierścienia nie miała klejnotów.

Dwie jej córeczki, które się prawie jednolatkami wydawały, choć jedna od drugiej o rok przeszło starszą była, Hela i Ofka, ubrane jednakowo, stały skromnie przy pani matce podając jej i odbierając od niej bieliznę świeżą. Obie miały główki jasnowłose, nie pokryte niczym, a splecione kosy obfite zwisały ze wstążkami w nie wmieszanymi na białe dziewczątek ramiona. Sukienki ich były ciaśniejsze, rękawy ich długie część palców nawet okrywały.

Oprócz dwóch córek, dwóch synów jeszcze miał starosta, ale ci już z

bakałarzem do Krakowa byli wysłani.

Nie spodziewano się ich nawet na święta tego roku, bo i drogi złe, i nauka w podróż się wybrać nie dozwalały.

Wzdychała za nimi jejmość sama, tęsknił ojciec, ale człowiek był surowy i powinność zawsze nad pociechę przekładał. Pocieszano się tym, że oboje mieli, gdyby sanna stanęła, pojechać zobaczyć, jak też tam to rosło i wyglądało.

Powróciwszy z wyprawy, w której pod koniec wiele doznał przykrości, bo mu ludzie zazdrośni wpoprzek drogi stawali. Brochocki szukał oczyma dzieci w progu i musiał się tymi cieszyć, które zastał.

Serdeczne to było powitanie, choć nie bez łez na oczach jejmości, a córki ojcu do kolan przypadły. Brał je w silne ręce wojak, podnosił do góry i w białe czoła całował. Dziwił się i cieszył, bo mu przez tych kilka miesięcy dziewczęta porosły.

Wnet, choć je konno wyprzedził niespokojny, zaczęły nadciągać w dziedzińce: dwór, wozy, konie i ludzie.

A było tego daleki więcej niż z domu wyszło. Koni pędzono niemal całe stado, a były między nimi i godne siodła, i woźniki doskonałe.

Wozy pookrywane skórami mieściły w sobie wojenne łupy z wyprawy, wcale niemałe: gotowy grosz znaleziony na zamkach krzyżackich, naczynia srebrne, klejnoty i przepyszne zbroje, a co najwyżej ceniono, relikwiarze z kośćmi świętych, krzyże i sprzęty kościelne. Tych Krzyżacy mieli po zamkach

pod dostatkiem; nie potrzebowano z nich kaplic odzierać, bo wszędzie, jak w Morażu tak i w Sztumie, dostarczyły ich skarbcie i zakrystie.

Jagięło wiele nimi w Polsce obdarował kościołów na pamiątkę zwycięstwa swojego.

Wnet się czeladź zajęła znoszeniem tych zdobyczy do lamusa i do dworu, a gawiedzi nadbiegło mnóstwo, przypatrującej się ze zdumieniem bogactwu

pańskiemu. Sam Brochocki rozporządził co miało iść na skład, do zbrojowni, do skarbcza, co do dworu, do sypialni i do skrzyń jejmościnych lub na podarki i ofiary.

Dostała się dziesięcina parafialnemu kościołowi i niejednemu z krewniaków sąsiadów. Cały wóz poszedł do Rostkowa do pana Jakuba Kostki, rodzica jejmość, który zwłaszcza jedną zbroją szmelcowaną nacieszyć się nie mógł.

Dziewczętom też coś poprzybywało do przyszłej wyprawy; dostała każda po łańcuchu pancernym, po dwa pierścienie i po sztuce jedwabnicy. Jejmość się już kłopotowała, że chyba nową skrzynię trzeba będzie na to sprowadzić, co dla niej przyszło; kochali się Krzyżacy w wymyślnych porządkach i obfitych zapasach, więc gdzie przyszli zwycięzcy, mieli co zabierać.

Teraz już siedział pan Andrzej w swojej izbie u komina, piwo z grzanki stało przed nim, a opowiadaniom nie było końca.

Słuchały ich z upodobaniem niewiasty, słuchał stary Mszczuj ze Szczawina, krewny pana Andrzeja, który w jego domu dożywał spokojnie lat sobie

wyznaczonych, wioskę swoją oddawszy Brochockim. A gdy się starosta głośno rozgadał, a wszyscy zasłuchali, służba, też podkradała się pode drzwi, żeby coś pochwycić.

Na folwarku tak samo i po dworkach: ci, co na wyprawie panu towarzyszyli, mieli co opowiadać o wojnie, a widzieli i oni wiele takich rzeczy, których oprócz nich mało kto mógł dojrzeć. W czasie bitwy grunwaldzkiej, gdy rycerstwo się potykało, służba w obłokach kurzawy i dymu widziała postać świętego biskupa nad polskimi unoszącą się zastępy; widziała też owej nocy, co poprzedziła walkę, postacie mnicha i króla na księżycu; ich oczom najjaśniej błyszczała Panna Maria na złotej ścianie malborskiej kaplicy, która broniła zamku, boby go żadna ludzka siła nie osłoniła, gdyby nie ten wizerunek święty, co gniazdo grzeszników jak tarczą okrywał, aby im dać czas do poprawy.

Mszczuj ze Szczawina, którego Brochocki dziadusiem zwał, człowiekiem był

w wieku już bardzo podeszłym, ale po budowie jego poznać było można, że i on niegdyś tak dzielnym jak pan Andrzej musiał być żołnierzem.

Teraz mu się nieco przygarbiły plecy i zgięły w kabłąk ramiona, ale wychudłe kości olbrzymich były rozmiarów.

Twarz też długa z wąsami rozrosłymi z krzaczastymi brwiami, z obnażoną czaszką, na której szable popisały blizny chwalebne, budziła poszanowanie i grozę.

Mszczuj chadzał teraz z toporkiem, włókł się powoli, lecz gdy czeladź z daleka jego stukanie posłyszała, chowała się po kątach, zwłaszcza jeśli grubym tubalnym odezwał się głosem. Miał zwyczaj bowiem wymyślać i służbę zwał plugastwem, choć w sercu był dobry i więcej nałajał niż karał.

W czasie niebytności starosty on miał jakby urząd Wojskiego w dobrach pana Andrzeja, i choć stary, nie zasypiał, doglądając wszystkiego, a ludzi w tak surowej trzymał ryzie, że go się jak ognia obawiali. Głodu w domu, ani na wsi nie dopuścił, ale robota musiała iść zwawo; o drugich kurach wstawał i nocą stróżę dopatrywał.

Małe szyby, w ołów oprawne, pozamarzały tego dnia we wszystkich oknach, skrząc się, gdy na nie światło padało i błyszcząc jak drogim kamieniem sadzone. W

kominię płonęły kłody olchowe. Mszczuj ze starostą się dzieli naprzeciw siebie, popijając piwo; wczesny wieczór zimowy nadchodził.

Zamknęła więc i starościna skrzynie, zabrała córki i poszła do izby męża, w której zwykle na podanie wczesnej wieczerzy oczekiwała.

Brochocki miał na sobie żupanik i krótki kożuszek, Mszczuj dostatnią i długą suknię podbitą popielicami, a na głowie czapczkę jedwabną, bo za lada chłodem blizny mu dolegały. Gwarzyli po cichu, gdy starościna weszła. Krzesło dla niej naprzeciw komina stało przygotowane, siadła na nim, dziewczęta się umieściły z obu stron, przy wysokiej poręczy.

— Ha! no — rzekł pan Andrzej — chyba albo gdzie zginął, albo słowo złamał, a musi mi się przed Nowym Rokiem mój jeniec stawić, żeby albo wykup dać, lub na moją łaskę czekać.

— Eh! eh! — jęknął Mszczuj — szukaj wiatru w polu, gdyś Niemca na słowo puścił.

— I ja tak myślę — dodała jejmość. — Krzyżacy go gdzieś obalamucą, albo i siłą wstrzymają. Nam też tam nic po nim; chłopak pono ubogi, tyle tylko, że zbroję miał piękną, ale w mieszku pustki.

— Prawda, moja panno, prawda — mówił starosta — ubogie to było, ale rodu dobrego i w herbie ma nasze godło. Butny zrazu był, potem się uchodził, natura znać poczciwa, krew zdrowa, tylko w głowie jeszcze pstro.

Mnie ta jego tarcza najwięcej ciągnęła. Nie darmo nasze godło nosi. Coś to z dawnych czasów nas łączy. A przyznam się — dodał — żal mi się go też zrobiło, gdy swoją historię z bratem i bratową opowiedział. Pokrzywdzili chudzinę. Puszczę go bez wykupu ale mi się więcej chce: pomógłbym mu do ojcowizny... toby się przy tym trochę Niemców natłukło, a to miła sprawa. Z chłopca też, gdyby go na nasze kopyto przerobić, mogłoby coś być.

— Ale, ale — przerwał Mszczuj — łatani ludzie jak buty łatane, zawsze potem przemakają, niewiele to warta.

Z Niemca tylko skóra na bęben dobra, więcej nic. Starościna się rozśmiała.

— Gdzież to dziaduś widział bęben taki?

— Nie widziałem go, alem słyszał rozpowiadana gadkę, że sobie jeden wódz znaczny kazał, nieprzyjaciela pokonawszy, skórę jego wyprawić — dodał Mszczuj.

— Jeżeli nie wróci — rzekł Brochocki — a zawiodłem się na jego słowie, niechże mi się w życiu drugi raz nie nawija, bo go ściąć każe jak niepocziwca.

— Może i nie żyje — odezwała się starościna.

— I to być może — kończył starosta — chociaż zginąć by nie powinien.

Podobało mi się to w nim, że sobie radę umiał dawać w najgorszych razach; ano, może go dziewczka tak trzyma, którą zaswatał, co już najniebezpieczniejsza rzecz.

I tu się śmiać począł, ku jejmości spoglądając. Ona też spojrzała na męża.

Chciał coś mówić dalej, ale nagle zamilkł widząc, że dziewczęta stały, przy których o owej Ofce mówić nie chciał, aby ich tą powieścią nie gorszyć.

Jejmość była ciekawa; domyśliła się łatwo powodów nagłego milczenia i zwróciwszy się do córek, posłała je do kobiet, aby motki liczyły, póki wieczerzy nie podadzą.

Dopiero, gdy wyszły dziewczęta, Brochocki znowu w śmiech i opowiedział po raz pierwszy, jak dziewczynę do pocztu swego przyjąć musiał i co się z tą szaloną później stało.

Starościna słuchała z brwią namarszczoną, widocznie zgorszona bardzo. Stary Mszczuj węża kręcił, a prychał, wytrzymać nie mogąc.

Bywało i w Polsce z niewiastami różnie, boć pamiętano Russanowską, co

konno z ludźmi po gościńcach się rozbijała; nie było żadną osobliwością podówczas widzieć kobietę w butach, na koniu i przy orężu, ale młode dziewczę przebrane w obozie nieprzyjacielskim, wciskające się zuchwale, zjawiające i znikające, narażające życie, nie dbające o cześć swoją, rzadko kto mógł spotkać w zamożnym stanie.

Niewiasty co za obozami ciągnęły zwano fraucymerem św. Marka.

Mszczujowi szczególnie powieść się wydawała dziwną; patrzył na

Brochockiego jak w tęczę i z podziwu się żegnał.

— Zajadłe wojny tylko lęgną takie potwory — rzekł — niech tam sobie będzie jak chce, ale żeby chłopak szlacheckiego rodu o taką drapieżną istotę dobrowolnie się dobijał i na zgubę oczywistą szedł, to osobliwa rzecz. Takie szalenie nie na żony stworzone.

Mówili o tym długo, pani Brochocka najmniej, potrząsała głową i za plec własną wstyd jej znać

było.

Nareszcie o wieczerzy znać dano, skromnej bardzo, z krupniku i kaszy

złożonej, bo i na pańskich stołach naówczas w powszednich dniach rzadko co innego dawano, a na króla Jagiełły dworze za przysmak służyły kiszzone ogórki i kapusta.

Potem jejmość poszła pilnować placków na wigilię przeznaczonych, które po dziś dzień zachowały kształt swój, przypominający dziecię zawinięte w pieluszki, dla uczczenia dnia Narodzin Zbawiciela. Naówczas też także w tej postaci kołacz na gody stawiano; na każdym stole piekły go wszystkie gospo-
dynie.

Brochocki od okna do okna chodził wyglądając ponowy, aby nazajutrz jeszcze łowów spróbować, a nuż by dzika się udało dostać na święta; ale śniegu jeszcze widać nie było.

Wigilię godów wszyscy aż do gwiazd surowym obchodzili postem, nic do ust nie biorąc. Byli tacy, co i wody kropli tknąć nie śmieli, póki się na niebie gwiazda nie ukazała.

Mróz tego dnia powiększył się jeszcze, ponowa nie przyszła, tylko szron drzewa brylantami okrył;
pan

Andrzej u komina siedział, gdy około południa chłopak mu znać dał, że Niemiec jakiś przybył i do jegomości się prosi.

W sieniach stał zziębły Dienheim, a chuda szkapa jego przywiązana do-
pala w dziecińcu ze łbem zwieszonym, z sakwami przy siodle bokami robiła. Jeden rzut oka starczył na przekonanie się, że nadziei okupu z sobą nie przywiózł, ale się stawił w słowie.

— Otóż o wilku mowa, a wilk zza płota! — zawołał, śmiejąc się, zoczywszy go starosta i rękę doń wyciągnął.

— No, słowny Wasza Mość jesteś, to pięknie, a cóż, czy go kosmato mam
witać?

Nie zrozumiał Kuno, chociaż się domyślał, że go o powodzenie konkurów pytano.

— Cóż się z waszą dziewczką stało? — dodał Brochocki patrząc mu w oczy.

Chłopak głowę spuścił, westchnął i nie odpowiedział nic. Nie było co więcej pytać.

— Dziękuj Panu Bogu — rzekł Brochocki — tymczasem nim co będzie izbę ci każę ciepłą dać, spocznij sobie, rozmówimy się, co dalej poczniemy.

Niespodziany ten gość, przybyły na samą wigilię Bożego Narodzenia, we

wszystkich wielką obudzał ciekawość, począwszy od czeladzi, aż do gospodyni i jej córek. Gdy się

potem zjawił wieczorem dość ubogo przyodziany w izbie, w której już wszyscy byli zgromadzeni, ubrani jak na gody przystało, niemal litość obudził, nawet w tych, co się każdym Niemcem brzydzą. Wyglądał biednie a pokornie.

Nad wyraz smutnym się wydał wszystkim, a jako jeniec trzymał się na uboczu, i z językiem też mało będąc oswojonym, więcej oczyma niż usty rozmawiał.

Bawił go tylko jeden starosta, który tyle umiał po niemiecku, co tamten po polsku; lecz z językiem obchodził się po żołniersku, nie czyniąc zbytniego zachodu.

Mówił jak umiał, źle ale śmiało. Znać obyczaj niemiecki inaczej dzień ten święcić musiał, gdyż jeniec i sianu na stole, i snopowi w kącie, i potrawom osobliwym dnia tego pilnie się przypatrywał, a zabawy wiejskie, wieczorami temu towarzyszące, kolędy, śpiewy, ludzie za zwierzęta poprzebierani, obsypywanie ziarnem, gwiazda, z którą klecha z organistą przywędrował — wszystko to w wielkie go zdumienie wprawiało.

Gdy późno jeszcze siedziano, zabawiając się z kuflami, u próżnego, sianem zasłanego stołu, Dieniem, któremu było obco i przykro, znikł wyniosłszy się do izby swojej.

Wszczęły się więc rozmowy o nim i o jego losie.

Starosta tyle tylko wiedział o tym, iż dziewczyny nie dostał, bo już była krzyżacką mniszką.

— To i lepiej — rzekł Mszczuj — jej to do miary przystało raczej, niż żoną być i u kądzieli siedzieć.

— A z jeńcem — dodał Brochocki — nie widzę innej rady, tylko mu się dać odpaść, aby gdzie po drodze nie zdechł i w świat go puścić, niech sobie szczęścia szuka.

Miasto okupu, przyjdzie do niego dołożyć, ale to uczynię z serca, bo mi sieroty żal, choć Niemczysko.

Mszczuj potwierdził.

— Tak się należy; wziąć od niego słowo tylko, że przeciwko nam bić się nie będzie, kilka groszy mu dać i niech sobie idzie.

— I ja nie inaczej myślę — mówił starosta — ale że to zawsze nasz herbowny i chrześcijański człek, trzeba mu dać się odkarmić, wysapać i trochę biedy zapomnieć.

Potem o wyprawie i odprawie pomyślimy.

Nazajutrz Kuno się nie pokazywał, aż go do stołu zawezwano; siadł w końcu, choć dla grafostwa wyżej go sadzić chciano. Nie mówił nic, a jadł niewiele. Posępna jego postać, wejrzenie ponure, cierpienie widoczne — obudzały litość.

Chłopak był przy tym bardzo urodziwy, a coś szlachetnego miał w sobie.

Mimo przymusowej pokory, rycerską godność znać na nim było.

Aż do Nowego Roku trzymał go tak Brochocki w nie- pewności, nic nie

mówiąc, on też o swój los pytać nie śmiał, a nieźle mu się działo. Nawet, jak to młodym właściwe, prędko na twarzy poprawiać się zaczął.

Z rana, na sam Nowy Rok, kazał piękniejszą zbroję, którą był zdobył na Dienheimie, tarczę i cały rynsztunek spod Grunwaldu, do tego dołożywszy, co brakło na wyprawę, zanieść do izby, w której stał Kuno, sam przed pacholkiem poszedłszy.

Zastał jeńca swojego na kładce przed kominem sie- dzącego, łokcie na

kolanach, głowa w dłoniach... Miał na sobie ino łośiowy kaftan, przesywany, stary, od zbroi poczerniały i powycierany, który mu służył za przyodziewek, czechczery lada jakie skórzane też, a na nogach buty podarte. Mimo tej nędzy, postawę miał

żołnierską, a bujny włos rozrzucony na ramionach pięknym go czynił.

Gdy za panem Brochockim ów rynsztunek wnosić poczęto, zdumiał się i

zerwał ze swego siedzenia Kuno, oczyma pożerając starą pamiątkową, straconą własność.

Chłopak to wszystko poukładawszy wyszedł.

— Jest u nas obyczaj — odezwał się Brochocki — że się ludzie na Nowe Lato obdarzają czym kto może. .Ja też w imię Chrystusa, którego dzień dziś obchodzimy, przynoszę ci naprzód swobodę, a potem na co mnie stać, a co ci miłym być może.

Jednego tylko od was żądam, abyście kamieniem nie ciskali na tych, co radzi chlebem rzucają, i żebyście przeciw nam nie podnosili zwróconego oręża.

Zrazu Kuno niedobrze to zrozumiał, potem się zarumienił z radości i poszedł, nie wstydząc się, za kolana ścisnąć pana starostę jak ojca. Trochę mu się w oczach jaśniej zrobiło.

— Nie mogę inaczej rzec, po ojcowsku postąpiliście ze mną — odezwał się rozczulony — radźcież mi teraz, gdzie mam iść i co z sobą poczynać? Nad Ren do Dienheimu nie mam po co, do Krzyżaków mi nie wolno, gdzież służby szukać?

— Dopóki król Zygmunt nie walczy z nami, u niego wam najłacniej znaleźć służbę — rzekł pan Andrzej. — Mielibyście ją i u nas, ale my nie dziś, to jutro naprzeciw tych łotrów Krzyżaków pójść znowu będziemy musieli, a to wam nie przystało tak samo, jak się z nami bić. Pierwsza rzecz, spoczniście u mnie teraz jak gość, gdyście jeńcem być przestali. Herbowym mi Wasza Mość jesteś, więc w domu jak u powinowatego wywczasuj się swobodnie. Z wyprawy, dziękować Bogu, nie wróciliśmy z gołymi rękami, jest ci co dać na drogę; dalej już sami sobie radźcie, bo najlepszy człowieka przyjaciel to on sam.

Położył starosta spory mieszek na stole w dodatku do rynsztunku i nie chąc, by mu dziękowano wyszedł.

Zjawił się ku obiadowi Kuno jakby innym człowiekiem, bo mu się twarz

rozpogodziła i duch w niego wstąpił. Z jeńca stał się wolnym, równy innym, i mógł

teraz śmiało w oczy patrzeć każdemu. Była naówczas hańbą ucieczka z pola bitwy, jak po wszystkie czasy, ale niewola czci nie odbierała. Ta i najmężniejszego spotkać mogła, przy przemagającej sile. Odzyskując swobodę, rycerz swój pas i cześć miał

przywróconą.

Obejście się pana Andrzeja z nim takie poszanowanie i miłość ku niemu w Dienheimie wzbudziły, że tegoż dnia poprzysiągł głośno, iż w jego obronie życia stawić gotów.

Od tego dnia też hrabia Kuno, lepiej widziany przez wszystkich, sercem do rodziny przystał. Nie bardzo mu się też i wyjeżdżać stąd chciało, bo go już jako młodego oczy pięknych dziwaczek wabiły. Choć to tam przystęp był trudny, rozmowa niełatwa, ale wzrok ma swą mowę i sięga daleko.

Z dnia na dzień odjazd odwołując, gdy Brochocki też więcej wstrzymywał niż namawiał do zimowej podróży, zwłaszcza, iż w tym roku ciężka była zima, choć spóźniona, pozostał tak Kuno aż do Wielkiej Nocy.

Stał się niemal domowym, bo na łowy ustawicznie razem jeździli i pan

Andrzej go jak przyjaciela zażywał, a Dienheim miał czas i języka się po trosze nauczyć.

Przed Wielką Nocą przecież pochwyciła go do jazdy tęsknica i pożegnawszy się jak z ojcem i matką z Brochockimi, o kwietniej niedzieli ruszył nie spowiadając się jak i dokąd. Wszyscy go w domu żalowali, bo już był jak swój, i wesół, i usłużny, a jakoś do niego nawykli, choć hrabią Niemcem go zwali. Nawet stary Mszczuj, który najtrudniejszym był i tym Niemcem najchętniej szafował, pogodził się z nim wreszcie, a gdy wyjeżdżał, pobłogosławił go na drogę.

Dziewczęta długo za nim przez okna patrzyły. Po odjeździe pusto się jakoś w domu zrobiło. I Brochockiemu jakby czegoś brakło, ale dawszy raz wolność, wstrzymywać go nie mógł.

Dwa lata potem ani słychu o nim nie było. Starosta tymczasem wojował i gospodarzył, dziewczęta rosły, chłopcy już byli przy chorągwiach. Starszą córkę zaswatano i wyposażona poszła do zacnego domu z błogosławięństwem

rodzicielskim. Ofka przy matce została i nieradzi byli ostatniego ptaszka dać z klatki, bo by pustką stała smutną.

Późną jesienią tego roku, gdy znowu do domu powrócił starosta, a wybierał się właśnie na łowy, bo mu o niedźwiedziu szkodniku znać dano, na grobli naprzeciw dworu ludzie postrzegli orszak z kilkunastu koni złożony, który wprost do Brochocic ciągnął.

Żadnych się natenczas gości nie spodziewając, starosta trochę się tym zdumiał, tym bardziej, że orszak okazały wcale niepospolitego zwiastował.

Dano wnet jejmości znać, ruszyły się sługi. Starosta na ganek wyszedł sądząc, że odgadnie, kogo Pan Bóg prowadził.

Tymczasem jezdni się ku dworowi zbliżali, a była ich gromada pokaźna i z cudzoziemska to wyglądało, a świetnie. Jechał jeden z pańska ubrany na koniu dzielnym, za nim dwóch sług zbrojnych, na których stał świeciła jak srebro; dalej pachółków dobrze przyodzianych i orężnych sześciu, wóz podróży zagranicznym sposobem zbudowany i para koni powodnych. Starosta, narzuciwszy na siebie kożuszek z kun, stał patrząc w ganku, a właśnie w tej chwili ten co przodem jechał, podbiegłszy żywo, wierzchowca osadził.

Krzyknął z podziwienia Brochocki poznając Dienheima, który wesoło z konia skoczył i z poszanowaniem zbliżył się ku niemu. Pańsko było teraz około dawnego jeńca: odzienie z aksamitu i sznurów złocistych, na szyi łańcuch, pas piękny sadzony, miecz w pochwach złotonych, na głowie czapka z piórem. Twarz też rumiana, jasna, tchnęła jakąś radością i swobodą.

— Bogu dziękuję, że cię tak widzę pięknie wyposażonym i żeś o mnie nie zapomniał.

Wprowadził go zaraz do izby, gdzie staroscina i Ofka z równą go uprzejmością przyjęły. Posłano po Mszczuja, który spoczywał i ten się, stukając toporkiem, przywłókł witać. Zgrzano zaraz wina i posadzono gościa pytając o jego przygody, bo się łatwo domyślić było, iż mu się powiodło szczęśliwie.

Począł je zaraz opowiadać Dienheim.

Z Brohcina wyjechawszy, w istocie, jak mu radzono na dwór cesarski się udał

dla służby i dla uzalenia się na brata, który go z ojcowizny wyrzucił, a nic mu dać nie chciał.

Pozwany został starszy przed trybunał cesarski, ale się nie stawiał. Tymczasem, gdy się nań zbierano, aby siłą krzywdę pomścić, zwadziwszy się z sąsiadem ów brat w zasadzce nocnej zabity został. Wdowa po nim, choć dzieci nie było, dobrawszy sobie szlachcica, który za życia męża koniuszym u nich był, z zamku i posiadłości wyrugować się dać nie chciała. Rościła, do nich pretensje za sumy jakieś, które wniosła, ale o nich tylko pergaminy podejrzane świadczyły, bo w istocie ubogą będąc grosza nie miała. Przyszło tedy Dienheim zdobywać siłą, a że Kuno sobie przyjaciół na dworze cesarskim zjednał, a na zamku miał swoich dawnych, udało się podstępem wdrzeć i wdowę z jej nowym małżonkiem uchwyciwszy, pozbyć się ich na zawsze.

Do swojej posiadłości ojcowskiej powróciwszy, sownie przy tym nagrodzony przez cesarza za rycerskie usługi, Dienheim był teraz możliwym panem, który już nikomu, oprócz cesarza, służyć nie potrzebował.

Na przyjęcie osobliwego gościa sprosił zaraz starosta sąsiadów wyprawił łowy i dawnego jeńca podejmował z gościnnością szczerą.

Szlachcic mu się też teraz wielce podobał, bo się na dworze otarł i śmiałości a humoru nabrał. Mszczuj mu stary też do zarzucenia nic nie miał oprócz tego, że Niemcem był, choć herb ten sam co

Brochoccy nosił, o którym i legendę przywiózł

znad Renu, iż się były dwie rodziny przed wieki jeszcze pokumały.

Mszczuj nie bardzo temu chciał wierzyć, w jego przekonaniu między dwoma plemionami żadnej spółki być nigdy nie mogło, bo stworzone były, aby się wzajem gryzły a zajadały.

— Tego grzechu pierworodnego — szeptał stary zza wąsów — żaden chrzest nie zmyje. Ze niezły sobie z niego Niemiaszek, to prawda, ale cóż gdy Niemiec?

Gościna się jakoś przeciągnęła długo, bo to czas był samych łowów, a zwierza mnóstwo. Szły tygodnie za tygodniami, o wyjeździe nie było słyhu. Co się Kuno niby zbierać poczynał do powrotu, Brochocki wstrzymywał i jechali w puszcze, i siedzieli u komina, i opowiadali sobie rycerskie dzieła, którym i kobiety się przysłuchiwały rade.

Aż starościna raz do męża zafrasowana przyszła, szepcząc mu w ucho, że coś Ofka na hrabiego, a on na nią zbyt często patrzy i że po kątach z sobą szeptali.

Starosta ramionami ruszył przecząc, aby co podobnego na myśl przyjść mogło dziewczęciu i gościowi.

Ciągnęło się tak znowu, tylko starosta pilniej na dziecko uważał, a zachmurzył

się dostrzegłszy, iż w istocie coś było. Nie rzekł nic, ale pomyślał, że gdy Kuno jechać zechce, wstrzymywać go nie będzie.

Półzartem, pół naprawdę wszczęła się u komina rozmowa o różnych

małżeństwach. Stała i Ofka za krzeselkiem jejmości i słuchała.

Starosta głośno i dobitnie rzekł, że córki by nie dał nikomu, choćby

królewiczem był, tylko własnemu rodakowi, obcemu za nic.

Nie spostrzegli jak dziewczę i hrabia ukradkiem ku sobie spojrzeli i rozmowa przerwana została.

Pochmurniał Kuno, przy wieczerzy był milczący, o wyjeździe coś począł; nie proszono go już — i to coś znaczyć miało. Poczęto więc nazajutrz do podróży się sposobić.

Starościna spostrzegła nazajutrz na oczach córki ślady łez wodą zimną zmytych; dziewczę się tłumaczyło, iż z komina dymiło i dym piękne oczki wygrzyzał.

Trzeciego dnia o świcie, gdy jeszcze starosta spał, wbiegli go zbudzić ze straszną wieścią, że hrabiego nie stało, a z nim córka uciekła. Co żyło na koń siadło do pogoni. Matka we łzach ręce łamała na progu, Mszczuj kijem w podłogę bijąc Niemca przeklinał, Brochocki krzyczał, iż zmije odgrzał na piersiach.

Nie pomogły pogonie. Przyszły w tydzień listy, iż się hrabia z Ofką ożenił w Krakowie i o przebaczenie błagał.

Nie było już co innego do czynienia, tylko błogosławić. Tak się też stało.

Wysłano, aby wracali. Padli oboje w ganku do nóg rodzicom, którzy się popłakali...

Mszczuj milczał.

— Co się stało, odstać się nie może — rzekł Brochocki. — Przeznaczonym znać było, żeby się te rody z sobą łączyły, dziej się wola Boża.

Mszczuj tylko na to nastawał, aby i kropla krwi polskiej nie wsiąkła w niemiecką, żeby do nazwiska Dienheimów dodać Brochockich i żeby znad Renu się wynieśli, a bliżej rodziców mieszkali. I puścił im później starosta dobra znaczne, a ów zameczek nad Renem powoli upadał, i wnuki pono już się go pozbyły, bo tam oprócz ptactwa i kun nikt już mieszkać nie mógł. Stoi to jeszcze dziś malowniczą ruiną, a o złej bratowej rybacy opowiadają przerobioną powieść, do której co pół wieku coś przybywa... jak na drzewie starym coraz nowa gałąź wyrasta.

KONIEC